

**Tomasz
P. Terlikowski
PRYMAS
NA CZASY
NAJTRUDNIEJSZE**



**Piotr
Lisiewicz
OLIMPIJCZYK ZNIKĄD,
CZYLI SOKOLE OKO
POLSKIEGO WYWIADU**



NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PANSTWO



OPOZYCJA TOTALNA

**czyli dziedzictwo
Komunistycznej Partii Polski
rozpisane na głosy**



Ilustracja: Mariusz Trolński



Opozycja totalna, czyli dziedzictwo KPP rozpisane na głosy / 4



fot. Arch.

QUIGLEY, czyli jak ocalić zachodnią cywilizację / 14



fot. Wikipedia

Olimpijczyk znikąd, czyli Sokole Oko polskiego wywiadu / 34



fot. mat. pras.

Kino w telewizji, czyli 10 najcenniejszych filmów na VOD / 62



fot. YouTube

Pandemia wryje nam się w pamięć / 76

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz

Opozycja totalna, czyli dziedzictwo
Komunistycznej Partii Polski rozpisane
na głosy 4

Dawid Wildstein

Szamani strachu 10

Ryszard Czarnecki

„Totalsi” spod znaku skorpiona 13

IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski

QUIGLEY, czyli jak ocalić zachodnią
cywilizację 14

Tomasz P. Terlikowski

Prymas na czasy najtrudniejsze 22

Małgorzata Matuszak

(De)konstrukcja ładu społecznego 26

Ryszard Czarnecki

Unia na zakręcie czy na równi pochyłej? 30

HISTORIA

Piotr Lisiewicz

Olimpijczyk znikąd, czyli Sokole Oko
polskiego wywiadu 34

Dariusz Jarosiński

Kapłan, który odważnie wyznawał wiarę 40

Ewa Polak-Palkiewicz

Hiacynta idzie do Nieba 46

Agnieszka Kowalczyk

Hitler. Droga do wojny 52

Benedykt Heydenkorn

Szlaki na śmierć z okrzykiem:

„Niech żyje Stalin!” 58

KULTURA

Sylvia Kołodyńska

Kino w telewizji, czyli 10 najcenniejszych
filmów na VOD 62

Krzysztof Karmkowski

W kinie dziś nie zaśnie nikt 66

ŚWIAT

Z z prof. Jürgenem Margrafem rozmawia

Olga Doleśniak-Harczuk

Pandemia wryje nam się w pamięć 70

Antoni Rybczyński

Maseczkowa dyplomacja Kremla 74

Hanna Shen

Tajwan w czasie zarazy 78

Stefan Czerniecki

Miasto w okolicy limes 82

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji 92

oprac. Antoni Rybczyński

Niczego dobrego z tego nie będzie 94

– wywiad z Jurijem Felsztynskim

Stale rubryki



Katarzyna Gójska

Musimy zacząć rozmawiać o tym, czym jest zdrada swojego kraju

NA POCZĄTEK 3



Małgorzata Matuszak

Czym jest... polityka jako troska o dobro

KATECHIZM INTELIGENTA 29



Marcin Wolski

Ostatnia walka pieniacza

PAPKULTURA 33



Marek Kalinowski

Symfonia na trudne czasy

DO GRAJĄCEJ SZAFY... 65



Ryszard Czarnecki

Rosja: kompleks Polski i Polaków

CZARNECKO TO WIDZĘ 69



Olga Doleśniak-Harczuk

Wirus wyrócił stolik

Z GLOBALNEGO TYGŁA 90



Tomasz Sakiewicz

Nowy model

OSTATNIE SŁOWO 99



miesięcznik

wydawca

SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA

02-056 Warszawa

ul. Filtrowa 63/43

e-mail: redakcja@niezalezna.pl

www.panstwo.net

ZESPÓŁ

Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-

Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart,

Anita Gargas, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny),

Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz,

Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan

Urbanowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko,

Grzegorz Wierchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI

Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY

Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY

Mariusz Trolński

DTP

Aleksander Raczewski

KOREKTA

Irena Biśta-Kanciara

INFORMACJA O PRENUMERACIE

tel. +48 22 290 00 90 wew. 3

prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

4712401053111001019991772

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.

ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska

NA POCZĄTEK

Musimy zacząć rozmawiać o tym, czym jest zdrada swojego kraju

Trudno mówić o porozumieniu z opozycją przy realizacji takiego czy innego strategicznego planu dla Polski, bo nie interes kraju jest priorytetem działania ugrupowań tworzących dziś tzw. totalną opozycję. Rzeczpospolita jest ich żerowiskiem, niekiedy narzędziem w realizacji celów, ale nie największą troską.

W kulminacyjnym momencie epidemii – związanym z koniecznością uruchamiania gospodarki, z obowiązkiem przeprowadzenia w terminie konstytucyjnym wyborów prezydenckich oraz ciągłego ograniczania transmisji choroby – totalna opozycja uznała, iż nadszedł czas na zorganizowanie Polakom totalnej jatki. Polityka ma – wedle ich planu – ociekać pogardą, manipulacjami i odstępstwami. Nastąpiła odpowiednia pora na króla politycznego szamba. Donald Tusk wszedł do akcji. Misję ma do bólu przewidywalną – musi zrobić wszystko, by odebrać Polakom prawo wyboru głowy państwa – bo kandydatka jego formacji okazała się groteskowo niekompetentna – i rozchwiać sytuację w państwie, by stało się ono mniej wydolne do realizacji swych powinności. I zdaje się, że w takich zadaniach czuje się najlepiej, a być może ku nim ma największe predyspozycje. Przez ostatnie lata, mimo ogromnych możliwości działania jako szef RE, nie był w stanie zaproponować nic, co byłoby jego sukcesem, co tworzyłoby wartość dla państw Wspólnoty. W opiniach publicystów wielu europejskich gazet był nikim. Nieporadnym, bezbarwnym i nic nieznającym urzędnikiem, trzymanym na stołku dzięki usługom wobec największego unijnego kraju. W Polsce nadal postkomunistyczne media ukazują go jako bożyszcze, bo to środowisko nie dorobiło się równie zdemoralizowanego, odartego z najmniejszych patriotycznych odruchów, cynicznego gracza. A takiego potrzebuje. Tusk od lat nie ma Polakom nic do zaproponowania poza chamstwem i destrukcją. Przed wyborami europejskimi zorganizował prymitywną ustawkę obrażającą osoby wierzące, teraz będzie dwoić się i troić, by wywołać w kraju polityczny, a przez to także gospodarczy chaos, zablokować – pierwszy raz od obalenia komunizmu – demokratyczną procedurę wyborczą. Nic innego nie ma do zaproponowania, nawet więcej – nic innego nie potrafi. Aktywność Tuska to kwintesencja postkomuni-

stycznego modelu opozycyjności, którego cel działania sprowadza się wyłącznie do obrony interesów swojej grupy. Dlatego trudno mówić o porozumieniu z opozycją przy realizacji takiego czy innego strategicznego planu dla Polski, bo nie interes kraju jest priorytetem działania ugrupowań tworzących dziś tzw. totalną opozycję. Rzeczpospolita jest ich żerowiskiem, niekiedy narzędziem w realizacji celów, ale nie największą troską.

W najnowszym numerze naszego miesięcznika Piotr Lisiewicz analizuje tradycje działania współczesnej opozycji w Polsce. Nie ulega wątpliwości, iż zgoda części środowisk opozycyjnych na uznanie ciągłości między PRL a III RP musiała skutkować blokadą usuwania z instytucji państwa ludzi budujących swe kariery na umacnianiu dominacji sowieckiej nad naszym państwem. To z kolei miało kolejne fatalne konsekwencje – z debaty publicznej wyeliminowano bowiem niemal zupełnie sprawę zdrady nie tylko w kontekście historycznym, lecz także – jak widzimy to wyraźnie od kilku lat – w bardzo współczesnym. Społeczeństwo, które nie ocenia lojalności swoich reprezentantów względem siebie i państwa, będzie zawsze w sposób ułomny bronić swoich interesów. Bo właśnie ta ocena jest pierwszą i podstawową – skoro nie można powiedzieć, iż ten czy inny polityk dopuszcza się zdrady wobec Rzeczypospolitej, wzywając do ingerencji instytucji zewnętrznych, to oznacza, że nie można stanąć w obronie niepodległości i suwerenności swojego kraju. To sytuacja niezwykle groźna i warto w porę uświadomić sobie jej realne konsekwencje. Dziś TSUE domaga się od rządu RP wyłączenia jednej z izb Sądu Najwyższego. Być może za jakiś czas będzie żądać zablokowania kolejnej. Czymże zatem jest domaganie się przez polityków tzw. totalnej opozycji takich działań, które w sposób oczywisty uderzają w niezależność naszego państwa? Czymże innym, jeśli nie zdradą? ■

OPOZYCJA TOTALNA, CZYLI DZIEDZICTWO KOMUNISTYCZNEJ PARTII POLSKI ROZPISANE NA GŁOSY



Piotr Lisiewicz





„Komendant miał wilgotne oczy, a może było tak, jakby Komendant miał w oczach łzy... Było to największym naszym odznaczeniem, jakąś prawdą, która wyciągnęła do nas rękę... Słyszałem bicie serca Polski” – to wspomnienie Henryk Józewski pozwolił opublikować po swojej śmierci. Ukazało się w 1982 roku w „Zeszytach Historycznych” paryskiej „Kultury”. Piłsudski miał łzy w oczach, gdy przyjmował jego meldunek o szaleńczym bohaterstwie polskich studentów z Filarecji, którzy jako komórka polskiego wywiadu rozpracowywali komunistów w Kijowie w 1920 roku. Potem w II RP walka z nielegalną Komunistyczną Partią Polski także wymagała niemałego zaangażowania – w jej ramach zatrzymano przez 20 lat ponad 100 tys. osób. A gdy w 1938 roku Stalin likwidował KPP, prasa sowiecka uzasadniała to jej infiltracją, od samego początku, przez „agenturę piłsudczykowski-peowiacką”. Przyczyny decyzji Stalina były bardziej złożone, jednak ów cytat cudownie brzmi dziś w uszach – jako laurka dla niepodległej Polski.

Zjemy w czasach, w których wiele dawnych pojęć zostało rozmyte. W całym świecie, ale u nas rozmywane były w sposób szczególny. W III RP zdeprecjonowano pojęcie racji stanu, przyzwyczajając nas do traktowania go jak pustego frazesu. Natomiast nieodpowiedzialnie poszerzono akceptację dla istnienia „różnych koncepcji” w polskiej polityce zagranicznej i bezpieczeństwa. Jednym słowem to, co nasi dziadowie nazywali zdradą, my rezygnując z używania tego niemodnego słowa, nazbyt często nazywaliśmy innym poglądem. Zachowania, z powodu których KPP była w II RP nielegalna, w III RP uchodziły jej kontynuatorom na sucho.

Grzechem pierwotnym był tu rzecz jasna brak rozliczenia komunizmu. W ten sposób z wysługiwania się Sowietom uczyniono niemal jedną z orientacji w polskiej polityce zagranicznej. Całe dziesięciolecie bajdurzenia politruków o Związku Radzieckim jako potężnym sojuszniku w walce z niemieckim rewizjonizmem zostały implementowane jako element polskiej myśli politycznej. Peerelowska inteligencja uczona była przez te dziesięciolecie, że jej kolaboracja jest aktem realizmu, bo alternatywą dla sojuszu z „narodami Związku Radzieckiego” (tą formułką kamuflowano obecność potwora) jest wykrwawianie się milionów młodych Polaków.

Jak się wydaje, ostatnim aktem istnienia tej kliszy były tchórzostwo i paraliż owej inteligencji w 2010 roku, które Jacek Kowalski zrekonstruował w pieśni „Nie możecie dwóm panom służyć” w słowach „Lepiej, że zginęło tych 96-ciu, niż miałby zginąć cały naród”. Od tego momentu dla wszystkich uczciwych Polaków jasne stało się, że pozbycie się jej z życia publicznego jest absolutnie niezbędne, byśmy mogli mówić o niepodległej Polsce.

► PiS, partia bez zdolności koalicyjnych

Z wysokiego C, z wyżyn bohaterstwa beztroskich i wesołych kilka miesięcy wcześniej polskich studentów z kijowskiej Filarecji, których nazwisk w niepodległej Polsce po roku 1918 nie wymieniano w czasie uroczystych apeli i nie padały przy nich słowa „polegli na polu chwały”, bo walka z sowiecką agenturą wciąż trwała, przeniesimy się na niziny III RP. Jak zestawić ze sobą dwie rzeczywistości, które są własnym zaprzeczeniem, a składają się na historię tego samego kraju, co więcej, niepokojąco nam się ze sobą zabiegają?

By porozmawiać o totalnej opozycji, powiedzmy coś o koalicjach. Koalicjach, które nigdy nie powstały i nie powstaną. Przyjmuje się, iż PiS jest w Polsce rodzajem chadecji. Powinny być więc ugrupowaniem o dużych zdolnościach koalicyjnych. Oczywiście z racji

na fakt, że jest on chadecją bardziej konserwatywną od wielu podobnych partii w Europie, koalicja z socjaldemokratami – taka, do jakiej na przykład doszło w 2005 roku w Niemczech – byłaby mało prawdopodobna. Ale już ludowcy byłiby naturalnym koalicjantem PiS. A liberalowie z PO? Przecież niemiecka CDU przez lata była w koalicji z liberalną FDP – w niektórych resortach więcej wolnego rynku, w innych opiekuńczości i da się rządzić. Z kolei dla radykalnych narodowców chadecja byłaby jedynym partnerem umożliwiającym udział we władzy. Bo przecież niemożliwe, by nacjoniści dogadali się z kimkolwiek innym...

Tymczasem nad faktem, że niemożliwa jest koalicja z PiS, nawet gdyby dla którejś z głównych partii – z punktu widzenia każdego politologa nieznającego polskiej specyfiki – w oczywisty sposób było to opłacalne, przechodzi się do porządku dziennego. Bo tłumaczenie, dlaczego się nie da, jest dla wielu liderów opozycji bardzo niewygodne. A ściślej biorąc, coraz bardziej niewygodne. W początkach III RP miało być jasne, że „oszołomy” niszczy gospodarkę, ale potem okazało się, że jej nie niszczy, a nawet odwrotnie. Rządy PiS miały doprowadzić do izolacji Polski i obniżenia naszego bezpieczeństwa, ale mimo zabiegów opozycji, z izolacji nic nie wyszło, a sojusz z Ameryką wypada w oczach Polaków korzystniej niż ocieplenie z Rosją z lat 2007–2014. Wykrzywione twarze polityków PiS na okładkach tygodników miały dowodzić, że są szaleńcami, ale w szczególności epidemia pokazała, że PiS jest obliczalny i racjonalny.

Odpowiedź na pytanie, dlaczego nie koalicja z PiS, brzmi więc cokolwiek mgliście. No bo skoro jest „oczywiste, że z PiS się nie da” albo „wszyscy wiedzą, że z każdym, byle nie z PiS”, to dlaczego nikt tego nie potrafi uzasadnić, dlaczego tak jest? Merytorycznie, nie posługując się wyzwiskami oraz tanim karykaturyzowaniem liderów PiS...

► Zagmatwane mapy sztabowe

Dla odświeżenia ludzkiej pamięci przypomnijmy, jak było. Pokażmy te polityczne mapki szczegółowo, jak na mapie sztabowej z pola bitwy. Słynna anegdota, jak to Waldemar Pawlak na pytanie, kto wygra wybory, odpowiedział: „nasz koalicjant”, nie oddaje prawdy. Postkomunistyczne PSL mimo deklarowanego konserwatyizmu obyczajowego nigdy nie stworzyło koalicji z prawicą. Mało kto pamięta, że jedynym przypadkiem poparcia niepodległościowego rządu przez PSL było głosowanie 23 grudnia 1991 roku za powołaniem rządu Jana Olszewskiego. W zamian PSL obiecane miało kilku wiceministrów. Skończyło się „nocną zmianą” z 4 czerwca 1992 roku, choć Waldemar Pawlak nerwowo przebiegał palcami

i miał jako jedyny z gangsterów opory, że to „trochę gangsterski chwyt”.

Teraz parę niezbędnych słów o „liberałach”. Dla PO, stworzonej głównie w oparciu o struktury dawnego Kongresu Liberalno-Demokratycznego, najbardziej charakterystyczna jest postawa z 2005 roku, gdy mimo zapowiadanego od wielu miesięcy utworzenia koalicji PO-PiS-u, Platforma wycofała się z negocjacji w sprawie jej powstania w bardzo konkretnym momencie – gdy okazało się, że to nie ona będzie w tym duecie silniejsza, a Jarosław Kaczyński nie chce jej oddać władzy nad służbami specjalnymi.

To pokazuje żelazną zasadę obowiązującą w tej formacji: wchodzimy do rządu tylko wtedy, jeśli mamy gwarancję, że nie jest on zdominowany przez siły niepodległościowe. Tak było w 1991 roku, gdy KLD wpuściła do rządu Jana Krzysztofa Bieleckiego ministrów z Porozumienia Centrum Adama Glapińskiego i śp. Jerzego Eysymonta, mając gwarancję, że to formacja premiera będzie rozdawać w nim karty. I w czasie powoływania rządu Jana Olszewskiego, gdy KLD nie poparła go, wiedząc, że osoba premiera oznacza oddanie kluczowych decyzji w ręce niepodległościowego polityka.

Natomiast późniejsze koalicyjne rządy Akcji Wyborczej Solidarność z Unią Wolności ta sama grupa uznała za dające rękojmię, iż siły antysystemowe nie będą dominować. I tak się stało. Politycy niepodległościowi w rządzie oczywiście byli, ale proporcje oddaje fakt, że tylko czterech z nich trafiło później do PiS, a zdecydowana większość w okolicy PO. Co charakterystyczne, w PO znalazł później swoje miejsce premier Jerzy Buzek, a Marian Krzaklewski również w 2009 roku kandydował z list Platformy Obywatelskiej do PE. Jarosław Kaczyński wycofał się z negocjacji w sprawie utworzenia AWS i kandydując z listy Ruchu Odbudowy Polski, został posłem niezależnym. Stare układanki, stare dzieje...

O lewicy pewnie szkoda rozmawiać, bo każda próba stworzenia lewicy niepostkomunistycznej, bliżej Piłsudskiego niż Jaruzelskiego, kończyła się porażką, ewolucyjnym wciąganiem w bagno różnych Zandbergów i wypływaniem w niebyt wszystkich tych, którzy w bagno nie chcą.

Ale także gdy chodzi o możliwość stworzenia skutecznej koalicji z udziałem ugrupowań „narodowych”, to okazała się ona fikcją. 5 maja 2006 roku kierowana przez Romana Giertycha Liga Polskich Rodzin weszła w koalicję z PiS i Samoobroną Andrzeja Leppera. Skończyło się rozpadem koalicji po roku i trzech miesiącach funkcjonowania.

W lipcu 2014 roku Roman Giertych w wywiadzie dla „Newsweeka” przyznał się, że to on w 2007 roku „rozwalił rząd PiS”, w którym był „Konradem Wallenro-

dem”. Stwierdził, że to nie był nagły wyskok, lecz „Wallenrod” potajemnie przez wiele lat przyjaźnił się z Tuskiem oraz Schetyną: „My się przyjaźniliśmy z Donaldem Tuskiem, Rokitą, Schetyną itd., grywaliśmy z nimi po cichu w piłkę, w koszykówkę. Gdyby wówczas się o tym dowiedział nasz elektorat, toby nas rozszarpał. Ale taka była rzeczywistość”.

► „Kości połamane zrastają się”

„W naszej komunistycznej międzynarodówce kości połamane zrastają się” – pisała w 1924 roku Maria Koszutska, pseudonim Wera Kostrzewa, notabene siostra babci przyszłego sędziego piłkarskiego i prezesa Polskiego Związku Piłki Nożnej Michała Listkiewicza. Ta zasada obowiązuje wśród postkomunistycznych ugrupowań w III RP do dziś. Natomiast jakkolwiek współpraca z obozem niepodległościowym dyskwalifikuje tam... moralnie. Jak ujęła to Wera Kostrzewa, zapewniając samego Józefa Stalina, u którego KPP popadła w niełaskę: „niebezpieczni dla was nie są tacy ludzie, którym można, jak nam, łamać kości, ale tacy, którzy w ogóle kości nie mają”.

Znów dla porządku mapka sztabowa, ale sprzed stulecia. Komunistyczna Partia Polski, w latach 1918–1925 używająca nazwy Komunistyczna Partia Robotnicza Polski, była bezspornie partią zagranicy. Przejawy tej postawy można wymieniać długo, najbardziej znany to ten, że wbrew tezmom głoszonym przez Lenina, który zakładał, iż państwa podlegające caratowi mają prawo do oderwania się od Rosji, KPP, czerpiąc z poglądów Róży Luksemburg, przeciwna była niepodległości Polski. Miała być ona jedną z republik sowieckich. Nie uznała ona niepodległości Polski ogłoszonej 11 listopada 1918 roku.

KPP, partia zagranicy, postulowała zrzeczenie się przez Polskę Górnego Śląska i Pomorza Nadwiślańskiego na rzecz Niemiec, które miały przekształcić się w republikę sowiecką. A na Wschodzie zapowiadała rezygnację z terenów etnicznie mieszanym byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów na wschód od linii Curzona na rzecz Rosji Radzieckiej i jej republik. Nie wielka Polska Republika Rad w granicach Kongresówki i Galicji Zachodniej miała stać się jedną z sowieckich republik.

Gdy powstała niepodległa Polska, KPRP wezwała do bojkotu pierwszych wyborów do Sejmu Ustawodawczego wyznaczonych przez Naczelnika Państwa na 26 stycznia 1919 roku. Cel był jasny i bardzo podobny do sytuacji z 2020 roku – poprzez obniżenie frekwencji wyborczej podważyć legitymizację niepodległego państwa polskiego na forum międzynarodowym. Na szczęście bojkot zakończył się fiaskiem i pokazał, że wpływ komunistów na Polaków jest marginalny.

Podczas wojny polsko-bolszewickiej utworzony przez nich Polrewkom na czele z Julianem Marchlewskim jechał pociągiem pancernym, zaopatrzonym w drukarnię polową, w ślad za nacierającymi oddziałami Armii Czerwonej. Perspektywy były zachęcające wraz z jej postępami: 24 lipca – Smoleńsk, 25 lipca – Mińsk, 27 lipca – Wilno i 30 lipca – Białystok. Z drukarni polowej rozchodziła się propaganda, w lipcu „Warszawska Rady Delegatów Żołnierskich” pisała do Piłsudskiego: „Rozpadła na kawałki kontrewolucyjna armia polska, którą pędziłeś w głąb Rosji i Ukrainy Sowieckiej dla obrony majątków szlacheckich, dla celów grabieżczych i zaborczych”. Zaś do robotników z Zachodu KPRP wystosowała haniebny apel: „Niech rząd kapitału polskiego znajdzie się sam wobec proletariatu rosyjskiego i polskiego, sam wobec Armii Czerwonej”.

Skutek tej postawy był oczywisty – II RP KPP była nielegalna i zwalczana przez służby niepodległego państwa. Zakres tej pracy nie jest do końca znany, historycy wyliczają, że w latach 1918–1926 pod zarzutem działalności komunistycznej zatrzymano 23 tys. ludzi. W latach 1927–1932 liczba ta wyniosła już ponad 52 tys. W latach 1934–1939 liczba zatrzymań wyniosła około 28 tys.

Gdy w 1938 roku Stalin podpisał wniosek dotyczący „oczyszczenia” Komunistycznej Partii Polski, sowiecka prasa pisała, że KPP od początku była infiltrowana przez „agenturę piłsudczykowski-peowiacką”. Argumentu tego używano instrumentalnie, chodziło o komunistyczne walki frakcyjne, ale była to niezamierzona laurka dla niepodległej Polski.

► Zamiast grubej kreski, gruby kij

Zanim z grubej rury, która jest tu równie niezbędna, jak w 1989 roku prawdziwa była teza śp. Kornela Morawieckiego, iż dla komunistów zamiast grubej kreski bardziej właściwy byłby gruby kij, ważna, a nie dla wszystkich oczywista uwaga. W przypadku ugrupowań opozycji totalnej różnica je głoszone ideologie, co nie ma znaczenia, bo żadna z nich nie jest głoszona na serio. Większe znaczenie ma rywalizacja o wpływy, co widzieliśmy w kampanii wyborczej, gdy Kosiniak-Kamysz czy Biedroń cieszyli się ze słabnięcia Kidawy-Błońskiej. Ale i po takich sporach reprezentacja postkomunistycznej oligarchii ZAWSZE na nowo się zrasta.

Jeszcze przed chronologią zdrady w III RP, coś o przypadku szczególnym. Dowodem obliczalnym, niezbitym, twardym, rozwiewającym wszelkie wątpliwości, czym były partie rządzące III RP, jest sprawa niezależności energetycznej Polski. Po prostu o dywersyfikacji naszego zaopatrzenia w gaz i ropę nie da

się napisać po gombrowiczowsku, że była albo i nie była.. I nie ma innego wytłumaczenia trwania przez ponad ćwierć wieku, od 1989 roku, zależności Polski od rosyjskiego gazu, niż sabotowanie interesu narodowego przez rządzących. I ich działanie w interesie Moskwy. Szach, mat.

O uwłaszczeniu nomenklatury i tym, jak komuniści zostali panami III RP, pisano wiele. Trochę rządziej posługiwano się argumentem racji stanu. Tu poszlak były tysiące, ale były też twarde dowody, które widzieliśmy zawsze, gdy w III RP pojawiali się realne szanse na niepodległość. Pierwszą taką szansą był rząd Jana Olszewskiego z 1992 roku.

Czym była ówczesna zgoda prezydenta Lecha Wałęsy, by w dawnych sowieckich bazach działały polsko-rosyjskie spółki joint-venture? I będąca jej konsekwencją decyzja o obaleniu rządu Jana Olszewskiego, gdy się ich obecności przeciwstawił? Czym była wcześniejsza deklaracja prezydenta Lecha Wałęsy, że zamiast członkostwa w NATO proponuje NATO-bis z udziałem Rosji? Innym poglądem? Naprawdę?

A postawa SLD i Unii Demokratycznej wobec członkostwa Polski w NATO, wypowiedzi posłów Longina Pastusiaka i Tadeusza Iwińskiego oraz kompromisy Bronisława Geremka? Mówię o pierwszej połowie lat 90., gdy o NATO mówiły Porozumienie Centrum, Klub Atlantycki i minister obrony Jan Parys, a nie o czasach późniejszych, gdy byli sabotażyści wsiedli do parowozu dziejów i „wprowadzali Polskę do NATO”.

Czym było ogłaszanie po upadku rządu Olszewskiego przez polityków Unii Demokratycznej, że lustracja już, zaraz, tylko rozsądna, by potem pozostawić agentów w strukturach państwa? Czym było trwanie w nich dawnej wojskowej bezpieki szkolonej w Moskwie? Czym był festiwal robienia w mediach wariata z Antoniego Macierewicza, bo był zagrożeniem dla agentury?

Czym było wspólne tuszowanie tego, co stało się w Smoleńsku, po 10 kwietnia 2010 roku? Czym był wspólny festiwal robienia świrów z domagających się prawdy? Po tej dacie nikt rozsądny już nie powinien mieć wątpliwości, czy to dziedzictwo KPP, czy nie.

Czym było wreszcie polsko-rosyjskie ocieplenia z lat 2007–2014, szczególnie nasilone po 10 kwietnia 2010 roku? Przecież nie można być przywódcą polskiej partii politycznej, a jednocześnie człowiekiem tak głupim, by wierzyć, że podpułkownik KGB Putin i aparat władzy rządzący Rosją, w 70 proc. składający się z ludzi KGB, mają wobec Polski dobre intencje.

► Dowód nie wprost, czyli nieistnienie programów politycznych

Wśród dowodów nie wprost, lecz bardzo czytelnych dla zwykłego człowieka, czym są partie politycz-

ne wykonujące wolę oligarchii III RP, jest prosty fakt: żadna z nich nigdy nie zrealizowała własnego programu. I nie chciała go realizować, bo nie po to została powołana.

PO nie wprowadziła podatku liniowego ani nie obniżyła podatków. SLD, czyli dawna komuna przebrana za socjaldemokrację, nie poprawiła warunków bytu ludzi pracy. W programie PSL z 2006 roku słowo „liberalizm” pojawiało się aż 17 razy, za każdym razem jako źródło wszelkich plag i coś, co trzeba przezwyciężyć. Tymczasem w czasie wspólnych rządów PSL z „liberalną” PO ani razu partię te nie pokłóciły się ze sobą o te kwestie, a odwrotnie – to Władysław Kosiniak-Kamysz chwalony był przez Jana Kulczyka za podwyższenie wieku emerytalnego i przejęcie pieniędzy przez OFE. Narodowcy w latach 2005–2007 nie zmuszali PiS do radykalniejszych reform, a spiskowali z PO.

Tego nie da się zbagatelizować frazesem: „Tak to już jest w demokracji, że politycy często nie dotrzymują obietnic”. Nie, tak w demokracji nie jest. Ten frazes jest bezsensowny, bo nic nie mówi o skali oszustw polityków. Zawsze da się zarzucić rządzącym, również PiS, że czegoś tam nie zrealizował. Ale praktycznie nigdy nie jest tak, by z głównych obietnic nie zrealizowano nic lub prawie nic. Co więcej – nic nie próbowano zrealizować.

Dodajmy przekornie, że także w narzekaniach antyklerykalów na SLD, że zamiast walczyć o neutralność światopoglądową państwa, postkomuniści woleli iść na kompromisy z Kościołem, było ziarno prawdy. Zniszczenie Kościoła oczywiście pozostaje ich celem, a nie atakowanie go na wariata. Systematyczna praca, a nie wyżywanie się w antyklerykalnych ekscesach wtedy, gdy szkodzą one nie Kościołowi, a postkomunistycznej oligarchii.

Instrukcja Lenina zawarta w artykule „Socjalizm a religia” z 1905 roku: „nie oznacza to jednak wcale, że należy wysuwać sprawę religii na bynajmniej nieprzystługujące jej pierwsze miejsce”, mówiąca też o tym, iż są sytuacje, gdy to „reakcyjna burżuazja zaczyna zabiegać o to, ażeby wzniecić właśnie religijne, ażeby w tę stronę odciągnąć uwagę mas od istotnie ważnych i podstawowych zagadnień” – nadal obowiązuje.

Po tym jak PiS wprowadził w życie program 500 plus i inne obietnice związane z poprawą bytu zwykłych Polaków, socjolog Jarosław Urbański, od lat 80. związany z poznańskimi anarchistami, trafnie stwierdził, że mają oni odtąd do czynienia z zupełnie innym przeciwnikiem niż dotychczas – władzą, która dotrzymuje obietnic.

► Cykle III RP

W ciągu trwania III RP mieliśmy do czynienia z pewnym powtarzającym się cyklem wydarzeń. Przez

większość jej trwania rządy pozostawały narzędziem postkomunistycznej oligarchii. Jednak mimo, że oligarchia ta panowała nad mediami, rządy te z czasem się zużywały. Zużywanie się ich wiązało się zawsze z wychodzeniem na jaw ich prawdziwego charakteru – kolejnej wymuszki postkomuny.

Dlatego pod koniec rządów w dyskursie politycznym nie mówiło się niewiele lub zgoła nic o ideologiach. Odzywał podział my kontra oni, ubekistan kontra niepodległość, jako o niebo bardziej racjonalnie opisujący rzeczywistość niż oderwane od niej akademickie spory o racje zachodnich konserwatystów, liberałów i socjaldemokratów.

Potem do władzy dochodził bądź obóz niepodległościowy, bądź hybryda w stylu rządów AWS-UW. Rzecz jasna wcześniej oligarchia całe swoje aktywa angażowała w to, by po stronie deklaracyjnie zwalczającej ubekistan umieścić jak najwięcej swoich ludzi i założonych przez siebie ugrupowań.

Lata rządów obozu niepodległościowego bądź hybrydy służyły zawsze fałszowaniu i zaciemnianiu tego, czym jest opozycja wobec niego, rozmywaniu podziału my-oni, obóz niepodległościowy-ubekistan. Gdy zaczęliśmy wierzyć, że opozycja to faktycznie liberałowie, socjaldemokraci albo narodowcy, z którymi należy toczyć spory o Friedmana, Hayeka i Keynesa, było już bardzo źle. Skoro niepodległościowa elita opiniiotwórcza w swej większości traciła umiejętność opisywania, a nawet rozumienia motywacji przeciwnika, utrata władzy na rzecz postkomuny była już pewna.

Potem znów były cztery lata albo i osiem lat jej rządów, pod koniec których zawsze na nowo wychodziło na jaw, że nie ma żadnego Friedmana, Hayeka ani Keynesa, tylko jest Marek Dukaczewski. I tak dalej, w koło Macieju.

► Dygresja zamiast zakończenia

Na koniec dygresja, ale ważna – do najbardziej szkodliwych dla obozu niepodległościowego person należeli osobnicy roztaczający wokół siebie nimb intelektualisty, cedzący naukowe terminy, szpanujący międzynarodowymi kontaktami, wyrozumiałe spoglądający ze swych wyżyn na pisowski lud. I łączący owo intelektualne wyrafinowanie z totalną głupotą względnie konformizmem w kwestii walki z postkomunizmem. Byli tacy wśród polityków Zjednoczonej Prawicy i publicystów. Rzecz jasna osobnicy o podobnej konstrukcji psychicznej szkodliwi są pod każdą szerokością geograficzną, jednak w realiach postkomunizmu była to szkodliwość podniesiona do szczytów.

Ciąg dalszy dopisać mogą sobie Państwo sami, spoglądając przez okno. ■



Dawid Wildstein

SZAMANI STRACHU

Totalna opozycja przekracza kolejne granice zidiocenia i chamstwa. Swoistym „rekordem” były ostatnie występy pod domem Jarosława Kaczyńskiego, gdzie zgromadzona tłuszcza, poza standardowymi, pełnymi nienawiści okrzykami, zaczęła... kasłać. Usiłując „symbolicznie” zarazić Kaczyńskiego wirusem.



Oglądając wspomniane „happeninki” zwolenników totalnej opozycji, ciężko nie odnieść wrażenia, że oglądamy jakiś film dokumentalny, pokazujący szamańskie rytuały w głębokiej Afryce. No, może jest dużo chłodniej. Niemniej warto zwrócić uwagę, że jest to sytuacja w swej istocie plemienna. Grupa ta zachowuje się quasi-religijnie, poprzez zestaw magicznych działań, usiłuje przepędzić zło ze swojej wspólnoty. A tym złem, a jednocześnie kozłem ofiarnym, którego trzeba się pozbyć, który reprezentuje wszystkie grzechy, jest oczywiście Kaczyński. Personifikacja wszystkiego co niewłaściwe, ucieleśnienie najgorszych koszmarów, istota przerażająca i quasi-boska. Zdolna bowiem do rzeczy ponadludzkich, takich jak zmanipulowanie wielkich rzesz ludzkich, powodowana nie przesłankami politycznymi, a chęcią destrukcji. Warto zwrócić uwagę, jak często w opisach środowisk negatywnie nastawionych do prezesa Prawa i Sprawiedliwości pojawia się słownictwo typu „opętał”, „omamił” etc. Niczym biblijny kusiciel. Nic dziwnego, że jedynie, co może pomóc, to jakaś polska wersja voodoo, jak to już zapowiadały autorytety Platformy Obywatelskiej pokroju Nurowskiej czy Holland. W tym kontekście opisywana tu sytuacja nie tylko pokazuje głupotę, bezczelność czy degenerację ludzi biorących w niej udział. Jest także świadectwem tego, jak, niezależnie od prezentowanego chamstwa czy bezczelności, konstytutywnym elementem ich tożsamości jest strach. Nawet nie tyle jako realnie odczuwana emocja, lecz jako konieczny warunek, umożliwiający opis otaczającego świata.

► Metamorfoza liberałów

Współczesny liberał bowiem, także w jego wersji polskiej, tak lubiący epatować swoją postępowością i nowoczesnością, coraz bardziej przypomina człowieka pierwotnego. Żyjącego w świecie magii, jednoznacznych granic, a zwłaszcza – w świecie ciągłego zagrożenia, a więc i strachu. Kulącego się przed wątlwym ogniem, a w mroku, tuż za jego plecami, czai się świat pełen demonów i bestii. Dlatego jednym z najważniejszych elementów szeroko pojętego liberalnego dyskursu, do którego także odwołuje się Platforma, a zwłaszcza jej intelektualne i medialne zaplecze, jest strach. Upraszczając, współczesny liberał ciągle się boi. Kluczowym elementem jego istnienia jest poczucie zagrożenia, ciągłe wrażenie, że to, co posiada, może być mu odebrane, że jego status społeczny i przekonania są przedmiotem ciągłego

ataku. Współczesny liberał zatracił właściwie przekonanie o swojej sprawczości i sile. To zresztą historycznie ciekawa metamorfoza. I nie chodzi tu tylko o przemiany, jakie w obrębie liberalnego dyskursu zaszły przez ostatnie lata. Także, patrząc ze znacznie szerszej perspektywy czasowej, obejmującej świat po II wojnie światowej, można zauważyć, że nastąpiło „polityczne” odwrócenie ról w zachodnim świecie. O ile faktycznie kiedyś to szeroko pojęty obóz konserwatywny był tym „bardziej zaniepokojonym”, zwracającym uwagę na zagrożenia, ostrożnym, niechętnym gwałtownym zmianom, zaś obóz lewicowo-liberalny wręcz obnosił się ze swoją sprawczością i pewnością siebie, dziś jest wręcz odwrotnie. To konserwatyści i prawica są gotowi podjąć wyzwania zmieniającego się świata, ostro mówią o konieczności reform, o rezygnacji z utopijnych mrzonek, zaś ich oponenci zachowują się niczym prawdziwe „karły reakcji”, kurczowo trzymające się nieadekwatnej wizji rzeczywistości.

► Ciągły strach

Okazuje się, że dziś stałą emocją życia liberała jest „zaniepokojenie”. To, razem z „obroną”, słowa klucze dzisiejszego dyskursu. Liberałowie wciąż się czymś niepokoją. Instytucje, które ich reprezentują, regularnie wyrażają zaniepokojenie. Co drugie sympozjum naukowe zahaczające o tematy społeczne bądź polityczne ma w sobie słowo „niepokój” albo „obrona”. Niepokoi wszystko, a więc i broni się wszystkiego. A zagrożenie czai się wszędzie. Jak zwykle przy tak totalnej emocji, jej obiekt staje się coraz mniej konkretny. Słowa, posiadające jakieś znaczenie, są coraz bardziej wypychane przez wyduszki semantyczne, które tylko nakreślają emocjonalną relację wypowiadającego do przedmiotu wypowiedzi, ale same w sobie nie mają żadnego znaczenia. Faszyści, populiści, zwolennicy zniszczenia Unii Europejskiej, nacjonaści etc. Tego typu terminy można mnożyć. Dawno zostały oderwane od swojego znaczenia. Są tylko sposobem napiętnowania i określenia – tego się boimy, to jest niebezpieczne. Kolejne Ostaszewskie, Cieleckie i podobne do nich celebrytki z całego świata, wiecznie przerażone, z wiecznie zafrasowaną miną, żenujące Kasandry współczesności, ostrzegające nas wciąż i wciąż przed nadchodzącymi zmorami. A to nowa fala populizmu, a to klimatyczna apokalipsa, odrodzenie faszystów czy jeszcze jakiś inny demon przyszłości bądź przeszłości, do jakiego się będą odwoływać.

► Prawdziwy potwór

Platforma bardzo umiejętnie te demony kreowała. Od bardzo długiego czasu. Wszyscy pamiętamy, jakim szokiem dla milionów Polaków, po 10 kwietnia 2010 roku, było odkrycie, że istnieją ładne zdjęcia Lecha Kaczyńskiego. Normalne, bez wykrzywionej twarzy, bez grymasów, z rodziną, ciepłe. Ale to, co totalna opozycja i jej media robią od czasu wygranej PiS-u, prześcignęło nawet tamte paskudztwa. Okazało się, że Jarosław Kaczyński odpowiada już nie tylko za upadek Polski, lecz także Unii Europejskiej, a nawet całego świata, jako współnik – równorzędny – Putina i Trumpa. Jest prawdziwym diabłem, zesłanym z piekieł do naszego świata. Naczelną figurą panteonu wyimaginowanych potworów. Co jednak, gdy pojawia się prawdziwy potwór? Jak najbardziej realne zagrożenie, takie jak śmierć z powodu epidemii? Ci, którzy zarządzali strachem, kreowali go i kulturowali tę emocję, aby utrzymywać odpowiednie poparcie dla swoich działań politycznych – muszą czuć się zagrożeni. Z konieczności, nieważne jak potworny byłby Kaczyński w kolejnych quasi-horroropisach znanych dziennikarzy, mędrców etc, niezależnie od tego, ile razy wprowadza on nazizm i rozwała demokrację, okazuje się, że obok istnieje coś realnego. Coś, co wykracza poza nasze, przeciętne obywatela, możliwości kontroli i ochrony, coś, co powoduje, że musimy odwołać się, by poczuć się bezpiecznie, do czegoś innego i bliższego niż wszystkie potencjalne raje, kreowane przez liberałów. Następuje, z konieczności, swoiste rozproszenie strachu. Dotychczasowi wyznawcy szamanów przestają tak się skupiać na kreowanych przez nich demonach. I zaczynają też gdzie indziej szukać obrony. Szaman przestaje wystarczać, pojawia się potrzeba państwa.

► Państwo – pierwszy wróg

Państwo w tym momencie musi ucieleśniać wszystko to co najgorsze, z perspektywy tych, którzy strachem usiłują zarządzać strachem. Jest to element wspólnotowy, płaszczyzna porozumienia, na rzecz której, w teorii, powinni wszyscy działać, niezależnie od różnic światopoglądowych. Jest to sposób organizowania zbiorowości idący na przekór identyfikacji plemiennej, bo wymagający szerszego typu tożsamości. Staje się punktem oparcia, w momencie, w którym realne niebezpieczeństwo zaczyna zagrażać. Sposobem, w jaki jednostka działa jako element większego, bardziej skutecznego, silnego organizmu. Dlate-

go dla plemienia, które szamani utrzymują pod kontrolą poprzez ciągle wzbudzanie strachu, państwo będzie się jawić jako kolejne zagrożenie, bo delegitymizuje ich dotychczasowy sposób identyfikacji. Jedynie, co mogą zrobić szamani, to utożsamić państwo i tych, którzy nim rządzą, z tym co groźne, z tym co śmiertelne, z nowym zagrożeniem, które się pojawiło – w ten sposób mogą spleść nowy typ doświadczenia z już utrwalonym sposobem myślenia. I tak usiłują robić. Tworząc kolejne spiskowe teorie o tym, jak służby państwowe współpracują z PiS, ukrywając prawdziwy stopień epidemii. Przedstawiając państwo i jego instytucje oraz zasady jako zagrożenie. Przykładów mamy multum, jak ostatnio stwierdzenie, że każda koperta dostarczana przez pocztę może zabijać. Albo werbalnie dokonując swoistego „rokoszu” samorządów pod władzą PO, które odmawiają wykonywania, jako niebezpiecznych, wskazań ze strony centralnych instytucji (jednocześnie, po cichu, wciąż wyciągając ręce do państwa po pieniądze i pomoc). Absurdem w tej sytuacji jest oczekiwać od szamanów postawy dyskusyjnej. Cała ich władza jest uzależniona od utrzymania magicznego świata, w którym rządzą demony i czary. W którym należy regularnie odprawiać ceremonie, aby odpędzać złe duchy. Nie mogą stanąć po stronie państwa w obliczu tej klęski. Bo sprawnie działające państwo pokaże, jak są fałszywi i groteskowi. Jednak epidemia koronawirusa jest nie tylko zagrożeniem dla szamanów od strachu. W zależności od tego, jak się potoczy, może równie dobrze okazać się mordercą dla zdrowego rozsądku. Każda tego typu klęska ma przecież także gigantyczny potencjał chaosu, który może przenieść się na postrzeganie świata przez ludzi. Może ich zwrócić właśnie w kierunku myślenia magicznego, ku gusłom, absurdom, quasi-religijnym sektom. Na to tylko czekają nasi szamani, nie tylko zresztą Platforma, bardzo duża część opisów w tym tekście pasowałaby przecież także do Konfederacji, która prawicą i konserwatywną partią jest tylko deklaratywnie, a nie realnie. Która także usiłuje tworzyć banalny świat prostych podziałów i jednoznacznych kolorów, świat pełen demonów, acz w ich wypadku głównie żydowskich, unijnych albo ukraińskich. Tym ważniejsze jest, w tej sytuacji, by państwowa prawica potrafiła przeciwstawić tym politycznym gusłom swoją największą siłę – czyli zdrowy rozsądek, spokój, przywiązanie do standardów. Chroniąc za wszelką cenę państwo. Pytanie, czy faktycznie całość prawicy ma tego świadomość? ■



Ryszard Czarnecki

„Totalsi” spod znaku skorpiona

Opozycja w Polsce jest doprawdy wyjątkowa na tle Europy. Ta nad Wisłą, Odrą, Wartą i Bugiem dodaje gazu, nawet wtedy, gdy jej wyborcy oczekiwali by hamowania – tak jak to jest w czasie pandemii. Opozycja w Polsce, a mówiąc ściślej jej znacząca część, utwierdza nas od pięciu lat w przekonaniu, że nie tyle jest opozycją wobec rządu – to przecież jest normą w demokracji – lecz opozycją wobec państwa.

Jestem tylko skromnym magistrem historii, ale gdybym był profesorem, natychmiast zleciłbym swoim magistrantom napisanie pracy porównującej działalność opozycyjnej Komunistycznej Partii Polski (KPP) z opozycją lat 2015–2020. To, co ich łączy, to identyczne postrzeganie państwa polskiego: niegdyś rządzonego przez Narodową Demokrację chadeków i ludowców („Chjeno-Piast”) do maja 1926 oraz Piłsudczyków od 1926 roku do agresji Niemiec na Polskę i II wojny światowej – a teraz przez PiS. Dla jednych i drugich nasze państwo jawi się jako coś obcego, wrogiego, coś, co trzeba zdemontować, a przynajmniej osłabić. Niegdyś KPP u progu II RP opowiadała się za przyłączeniem Górnego Śląska do Niemiec (bo wówczas rzekomo łatwiej byłoby nad Renem wznieść rewolucję...). Teraz słyszymy o Wolnym Mieście Gdańsk, o ignorowaniu decyzji władz państwowych w czasie uroczystości rocznicowych w Poznaniu, czytamy dokumenty PO, w których mowa o maksymalnym zabieraniu kompetencji państwu. Jednocześnie jesteśmy świadkami sytuacji, w której punktem odniesienia są organizacje międzynarodowe, jak Unia Europejska (w sprawach moralno-obyczajowych także ONZ) oraz poszczególne duże państwa europejskie. Każda krytyka Polski ze strony Macrona czy polityków niemieckich (skądinąd w tym względzie ostrożniejszych niż Francuzi – albo z wyrachowania, albo z uznania, że po dwóch wojnach światowych „Niemcom mniej wolno”) – jest przyjmowana jako objawienie i dogmat. Cóż, a jaka była praktyka przedwojennych komunistów? Dla nich punktem odniesienia była wyłącznie Moskwa. To Kremlowi, a także Międzynarodówce Komunistycznej KPP spijała z ust i one dla niej były niczym krynica mądrości.

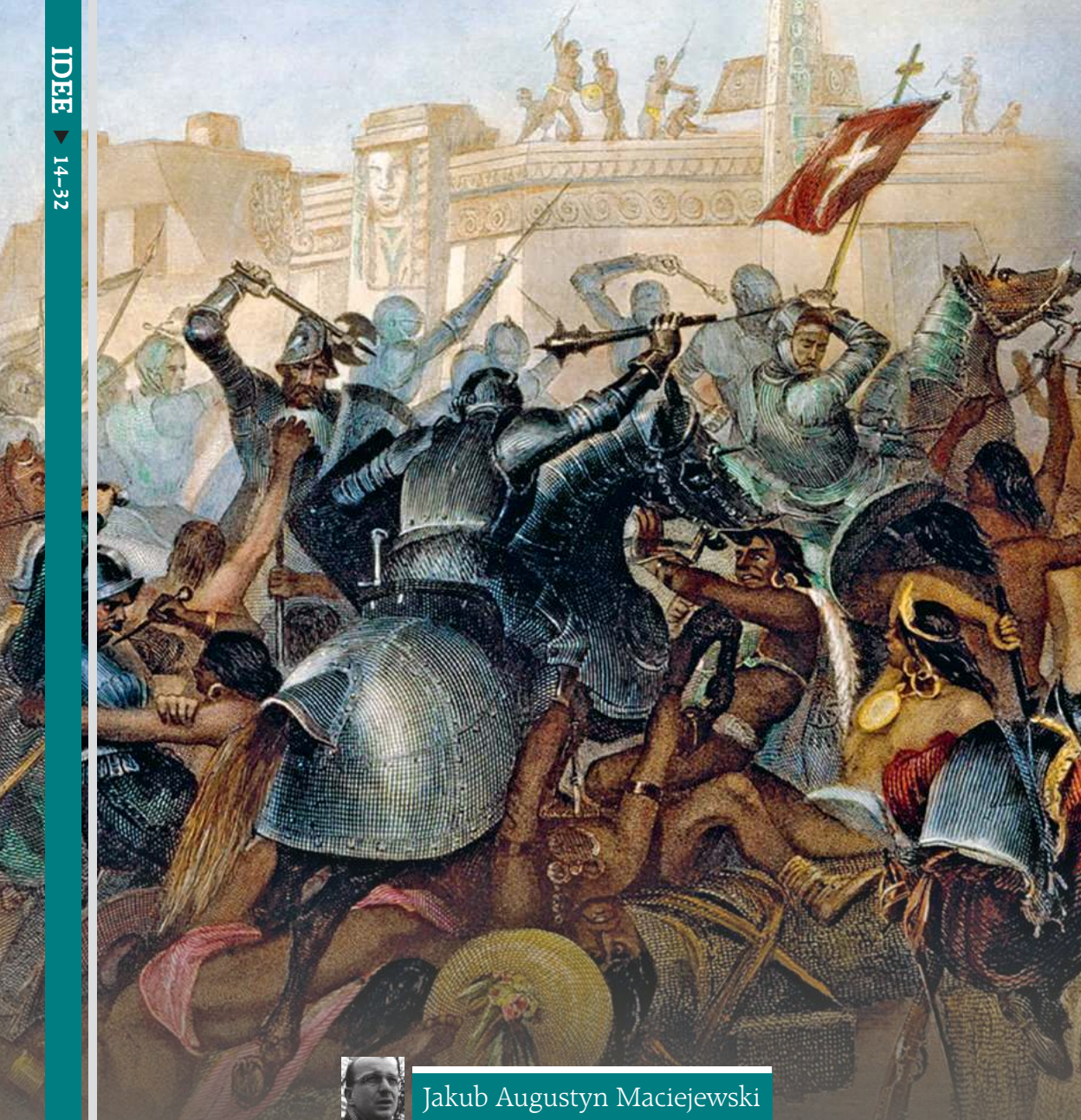
Czasem dochodzi do sytuacji politycznej schizofrenii, gdy opozycja totalna, z definicji wrogo nastawiona do Ameryki Trumpa, natychmiast się w niej zakochuje, gdy Departament Stanu ustami swej rzeczniczki, byłej dzienni-

karki Fox News Heather Nauert, skrytykował bodaj jeden jedyny raz polskie władze.

Opozycja totalna jest totalna nie dlatego, że jest to efekt głębokich przemysłów lub kalkulacji – ona musi być totalna. To część jej tożsamości, tylko tak może funkcjonować. Z całą pewnością opozycja w Polsce miałaby znacznie większe poparcie, gdyby – tak jak to jest na Zachodzie – właśnie totalna nie była, rząd krytykowała, ale czasem, w niektórych sytuacjach – popierała. Ale nie – totalsi nie mogą inaczej! Niczym w dowcipie o skorpionie, który błagał krokodyla, aby ten przewiózł go na drugi brzeg rzeki: „Ależ ty mnie ukąsisz i wtedy utonę. I co z tego, że Ty ze mną?” – odparł krokodyl. „A skąd, krokodylu, przecież w moim interesie jest, żebyśmy dołączyli obaj”. Krokodyl zgodził się, w połowie rzeki skorpion śmiertelnie ukąsił krokodyla. „Co Ty robisz?!” – wykrzyczał krokodyl resztkami sił, „przecież zaraz zginiemy”. „Ale to było silniejsze ode mnie” – odrzekł, tonąc, skorpion. Właśnie, opozycja jest jak ów skorpion, który ukąsi, nawet jeśli okupi to śmiercią – bo to wynika z jego „jestestwa”.

Opozycja działa na zasadzie „im gorzej, tym lepiej”. Kompletnie nie obchodzi jej, że przez jej działania osłabia państwo w każdym wymiarze, choć jakoś niespecjalnie osłabia rząd, skoro w ostatnich pięciu latach Prawo i Sprawiedliwość dwukrotnie wygrało wybory parlamentarne, ale też europejskie i samorządowe, a za chwilę zapewne drugi raz z rzędu wygra wybory prezydenckie. Z czego bierze się zatem to zaślepienie? Z faktu, że ci Państwo bardziej nienawidzą PiS niż racjonalnie myślą o dojściu do władzy. Opozycja jest chora z nienawiści, ale też cierpi na swoistą alergię na Jarosława Kaczyńskiego i „pisiorów”. Gdy liderzy opozycji, ale także szeregowi jej posłowie i eksperci, słyszą „Kaczyński”, „Duda”, „PiS” czy prawica – wyłączają im się racjonalna analiza i pragmatyzm.

I to właśnie gubi opozycję – ku radości milionów Polaków...



Jakub Augustyn Maciejewski

QUIGLEY, CZYLI JAK OCALIĆ ZACHODNIĄ CYWILIZACJĘ



Jeśli zastanawiamy się, jak świat, a przede wszystkim poszczególne państwa radzą sobie w dobie kryzysu pandemii, można odkopać z niepamięci dzieła prof. Carolla Quigleya (1910–1977), wybitnego amerykańskiego polihistora, który nie tylko opisał, jak zmieniają się i upadają cywilizacje, lecz także sformułował wnioski, jak temu upadkowi zapobiec.

Ato ostatnie jest szczególnie rzadkie – teoretycy cywilizacji opisywali dziełnictwo różnych wspólnot ludzkości, ale przeważnie dochodzili do pesymistycznych wniosków. Arnold Toynbee twierdził, że jak państwo zejdzie poniżej pewnego poziomu politycznego, to już się nie podniesie. Feliks Konieczny uważał, że przy mieszaneczce cywilizacyjnej upadek jest nieunikniony. Oswald Spengler twierdził, że Zachód wchodzi w fazę rozkładu.

Tymczasem wizja historii, którą zaproponował profesor z Georgetown University, tchnie autentycznym amerykańskim duchem – tym sprzed rewolucji 1968 roku, jasnością umysłu, uznaniem dla chrześcijaństwa, wolności, patriotyzmu, zachodniej przedsiębiorczości i odwagi. U Quigleya nie ma rozpacz, jest typowo anglosaskie „weźmy się do roboty”, jest typowo protestancka nadzieja na odnalezienie nowej energii w cywilizacji Zachodu. Choć swoje główne dzieło historyk wydał w 1961 roku, to jednak „Ewolucja cywilizacji” zachowuje świeżość, w dobie kryzysu Unii Europejskiej, zmagających amerykańsko-chińskich, spazmach neoimperialnej Rosji i pandemii COVID-19 można przyjrzeć się wnioskowi historiozofa, by łatwo wskazać, gdzie Zachód popełnił błąd i co powinien zrobić teraz, by ocalić swój los, a może nawet wrócić do wielkości.

► Samotny rycerz na upadającym uniwersytecie

Caroll Quigley był intelektualistą w dobie największej próby dla USA – międzywojennego wielkiego kryzysu, II wojny światowej oraz zimnej wojny – to pozwoliło mu spojrzeć na historię z perspektywy także obserwatora bieżących dla niego wydarzeń, a więc metodę postrzegania cywilizacji mógł przyłożyć zarówno do starożytnej Mezopotamii, średniowiecznego państwa Karolingów, jak i XX-wiecznych Stanów Zjednoczonych.

Miał być biochemikiem, ale na Harvard University trzeba było zaliczyć także kursy humanistyczne i zajęcia z „Historii Europy od upadku Rzymu”, co zmieniło jego patrzenie na świat. Wiedza matematyczna i fizyczna miała pomóc mu nieraz przy precyzyjnych wywodach. Na wstępie swojej pracy „Ewolucja cywilizacji” przyrównywał więc cywilizację do kryształu, który rozwijałby się w doskonałą bryłę, gdyby nie wpływające na niego czynniki zewnętrzne – ciśnienie,

temperatura czy wilgotność. Tak samo uważał, że cywilizacja ma swoje prawa, które by go ukształtowały w wyraźną formę ustrojowo-duchowo-technologiczną, ale wspólnota ludzka targana jest wichrami historii, które zmieniają strukturę tego kryształu: wojny, zapaść ekonomiczna, klęski żywiołowe odwracają czasem tendencje rozwoju.

Był profesorem starego stylu, dumnym, wymagającym, zdyscyplinowanym i mającym otwarty umysł. Niech o jego wszechstronności zaświadczy fakt, że był konsultantem amerykańskiego Departamentu Obrony, amerykańskiej marynarki, Smithsonian Institution (największy na świecie kompleks muzeów), ale także... Amerykańskiej Państwowej Komisji ds. Nauki, Przestrzeni Kosmicznej i Technologii. W 1941 roku wykładał na Georgetown University, za słuchaczy mając często amerykańskich chłopców, idących zaraz na wojnę. W 1943 roku wygłosił cykl wykładów w Szkole Służby Zagranicznej, pt. „Historia Europy XX wieku”, na które przychodziło aż 700 słuchaczy, z czego kilkudziesięciu miało już doktoraty, ale uznawało, że wystąpienia Quigleya będą dla nich wartością dodaną. Gdy po 1945 roku amerykańscy żołnierze zaczęli wracać na studia, profesor miał już na swoich kursach ponad 1300 studentów.

Druga połowa lat 60. nie była dla niego łaskawa i wydarzenia tamtego czasu szybko zmarginalizowały jego znaczenie. Z jednej strony nadeszła lewicowa rewolucja 1968 roku i młodzież zaczęła nie tylko lekceważyć naukowców starej daty, lecz także w jego wypadku lewicowe bojówki nie dopuszczały do egzaminów, uznając je za zbyt wymagające.

Permanentny chaos i bunt młodzieżowe dotknęły Quigleya z jeszcze jednego powodu. Protestantcy fundamentalści, których w USA nigdy nie brakowało, uznali Quigleya za członka i świadka działań... tajnego spisku mającego rządzić światem. Nieporozumienie wzięło się z wyznania w książce „Tragedia i nadzieja” (1966), że profesor należał do sekretnej grupy wielbicieli kultury anglosaskiej, założonego jeszcze przez ojca brytyjskiej doktryny kolonialnej Cecilę’a Rhodesa. Historyk chciał opisać tym samym istnienie grup, które dbają o wartości danej cywilizacji, ale ekstremistyczne grono wielbicieli teorii spiskowej zinterpretowało to jako zdradzenie informacji o sprzysiężeniu rządzącym Zachodem. Quigleya załapała fala listów, telefonów i wizyt osobiśliwych fanów, którzy chcieli dowiedzieć się więcej o światowych spi-

skach, pojawili się autorzy, którzy przerabiali fragmenty jego książki i w spotęgowanym opisie sekretnych gremiów przyprawiały profesora o nieoficjalne wpływy. Stając się bohaterem środowisk uznanych w USA za skrajną prawicę, tym bardziej zetknął się z agresją lewicy. W dekadzie upadających i zideologizowanych uniwersytetów Carroll Quigley udał się w 1976 roku na emeryturze i rok później zmarł.

Dziś jego prace można śmiało nazwać niepoprawnymi politycznie – podkreślają wielką wartość cywilizacji zachodniej, chrześcijańskiej filozofii (augustianizmu i tomizmu), opisują Azję czy Rosję jako zapóźnione względem naszej wspólnoty, a jeszcze przynależność do klubu białych, wykształconych, zamożnych chrześcijańskich Amerykanów o patriotycznym usposobieniu, musi czynić z Quigleya wyobrażenie bohatera z epoki przedpotopowej.

Dziś zupełnie zapomniany, rzadko cytowany, choć żyjący jeszcze w legendzie, jakoby ukształtował myśl intelektualną Billa Clintona (późniejszy prezydent miał u niego zajęcia), przypomina nieco samotnego rycerza dawnych uniwersytetów, który swoimi pracami walczył z wiatrakami skostnienia intelektualnego.

► Problemy z cywilizacjami

Jako że prac na temat cywilizacji jest na rynku wydawniczym dużo, są znane, cytowane i szeroko omawiane, panuje w metodologii i terminologii „cywilizjologii” pewien chaos. Tak na przykład Daron Acemoglu i James A. Robinson, autorzy pracy „Dlaczego narody przegrywają”, pisząc o kulturze, mają co innego na myśli niż Ian Morris, autor pracy „Dlaczego Zachód rządzi”. Na przestrzeni 100 lat cywilizacje starali się opisać Philip Bagby, Feliks Koneczny, Samuel Huntington, Fared Zakaria, Oswald Spengler, Arnold Toynbee i wielu innych – niemal każdy inaczej definiuje cywilizacje, inaczej je kategoryzuje – na przykład jedni widzą Amerykę Łacińską jako część wspólnoty Zachodu, inni wyróżniają ją jako odrębny świat. Te koncepcje mają jednak ten wspólny element, że starają się wykażać czynniki, które przyczyniają się do wzrostu lub rozkładu świata konkretnych wartości – Chin, Europy czy Rosji – carskiej, sowieckiej czy postsowieckiej. Warto więc przyrzeć się „Ewolucji cywilizacji” Quigleya, porzucając na chwilę niuanse terminologiczne i zastrzeżenia co do dat albo przypisywania jakiejś armii przewagi nad inną – bo bez względu na

konkretne przykłady mechanizm opisany przez amerykańskiego profesora przedstawia nam konkretną receptę na kryzys. I to do niej warto się odnieść.

► Czym jest cywilizacja? Podstawowe założenia

Każdy „cywilizacjolog” w swojej pracy ustala najpierw założenia metodologiczne, brzmiące nieco abstrakcyjnie, dopiero później wlewa w nie konkretną historyczną treść. Tak jak Feliks Koneczny miał swój *quinunx* (pieciomian bytu), czyli pięć wartości, co do których stosunek określał cywilizację, tak i Quigley ma swoje sześć potrzeb ludzkich, które tworzą płaszczyzny rozwijania się cywilizacji. Zdaniem autora „The evolution of civilisations” mamy więc sześć poziomów potencjału wspólnoty politycznej: militarny, po-

Profesor pozwala sobie na jeszcze bardziej obrazowy przykład. „Jeśli człowiek z Marsa, który nic nie wie o naszych zwyczajach, ale [...] może komunikować się z nami i nagle pojawi się w środku jakiejś grupy społecznej, drużyny piłki nożnej podczas treningu, nabożeństwa w kościele albo sali lekcyjnej [...] to nie będzie w stanie zrozumieć, o co tym ludziom chodzi [...] bez opowiedzenia o zwyczajach, które panują na zewnątrz tej grupy” – czyli właśnie wspomnianych sześciu poziomach cywilizacji.

Oczywiście cywilizacja poza poziomami rozwoju ma też swoje fazy rozwoju. „Tych siedem stadiów będzie się nazywać następująco: 1. Skrzyżowanie, 2. Cięża, 3. Ekspansja, 4. Wiek konfliktu, 5. Uniwersalne imperium, 6. Schyłek, 7. Inwazja”. Historyk zakłada, że cywilizacje rodzą się zazwyczaj na peryferiach umiera-

DZIŚ PRACE QUIGLEYA MOŻNA ŚMIAŁO NAZWAĆ NIEPOPRAWNYMI POLITYCZNIE – PODKREŚLAJĄ WIELKĄ WARTOŚĆ CYWILIZACJI ZACHODNIEJ, CHRZEŚCIJAŃSKIEJ FILOZOFII (AUGUSTIANIZMU I TOMIZMU), OPISUJĄ AZJĘ CZY ROSJĘ JAKO ZAPÓŹNIONE WZGLĘDEM NASZEJ WSPÓLNOTY.

lityczny, ekonomiczny, społeczny, religijny i intelektualny. Wyrazem aktywności w tych sferach są więc: wojsko (na przykład armia poborowa czy zawodowa?), system rządzenia (na przykład monarchia czy republika?), ustrój gospodarczy (kapitalizm czy socjalizm?), dominująca grupa społeczna (urzędnicy czy przedsiębiorcy?), religia (katolicyzm czy ateizm?) oraz dominująca filozofia (marksizm czy liberalizm?). Na podstawie tych związków widać, kiedy jest mowa o osobnej cywilizacji, a kiedy o wspólnocie wewnątrz jakiejś cywilizacji.

„Fakt, że Kanadyjczycy mają więcej relacji na zewnątrz swojego państwa niż wewnątrz, oznacza, że Kanada nie może być rozumiana czy nawet opisana bez używania takich pojęć jak: chrześcijaństwo, poznanie świata za pomocą nauki, społeczeństwo przemysłowe, monogamiczne, narodowe, protestanckie, kapitalistyczne, z ustrojem parlamentarnym, demokracją itd.” – pisze w „Ewolucji” Quigley, sytuując więc Kanadę jako część cywilizacji. Patrząc na przykład na Chiny, dostrzeżemy wiele różniących je od nas cech (konfucjanizm, komunizm, ateizm, rządy partii komunistycznej, autorytaryzm, dominacja urzędników).

jących cywilizacji, po wymianie, dyfuzji idei i doświadczeń z innymi peryferiami. I tak Rzym powstał na obrzeżach świata greckiego (Ateńczycy mieli swoje kolonie w Italii), świat arabski wyrósł w odległych granicach Bizancjum, a średniowieczna Europa powstała na gruzach starożytnego Imperium Romanum. Cięża, narodziny cywilizacji to okres krystalizowania się jej sześciu płaszczyzn, a ekspansja oznacza na tyle skuteczne funkcjonowanie, że nadmiar sił można spożytkować na rozszerzanie granic – militarnie, politycznie lub kulturowo. Wiek konfliktu oznacza pewne stadium kryzysu, gdzie wewnątrz cywilizacji toczą się boje o hegemonię, z której przeważnie wyrasta uniwersalne imperium. To ostatnie, choć potężne, nie dźwiga równomiernego rozwoju sześciu płaszczyzn i następuje schyłek, który osłabia wspólnotę tak bardzo, że inwazja z zewnątrz jest tylko kwestią czasu. I tak oto Rzym istniał na „skrzyżowaniu” kultury Etrusków i Greków, z czego narodziła się (cięża) nowa cywilizacja, zdolna do ekspansji na cały półwysp apeniński (i dalej), aż wstrząsnęły nim wewnętrzne konflikty i walki o władzę: między Cezarem a senatem, a potem Markiem Aure-

liuszem i Oktawianem Augustem. Uniwersalne imperium, które zakwitło po tym okresie, przyniosło szczyty cywilizacji, ale z drugiej strony nie mogło sprostać zmieniającej się rzeczywistości i w fazie schyłkowej trwało ze swoimi przestarzałymi strukturami, aż jego los zakończyły inwazje słabo rozwiniętych i prymitywnych przecież plemion.

Quigley jednak nie był deterministą i twierdził, że cywilizacja może uniknąć fazy schyłkowej i w punkcie czwartym lub piątym wykształcić formułę, która pozwoli na nową ekspansję. Widział bardzo wyraźnie przykład jednej takiej cywilizacji, która trzykrotnie przeżywała fazę ekspansji i nie popadała w etap schyłkowy – tą cywilizacją jest oczywiście Zachód. Z drugiej strony, choć Quigley nie zajmował się tym specjalistycznie i nie koncentrował się na tym zagadnieniu, także w Chinach obserwował pewną powtarzalność cyklu, która nie zatrzymuje się na schyłku i upadku, tylko potrafi się odrodzić. Tylko jak to odrodzenie przeprowadzić?

► Rewolucyjne rozróżnienie: instrument a instytucja

O ile dotychczasowe założenia Carolla Quigleya mieszczą się w płaszczyźnie rozważań innych badaczy – wyróżniki cywilizacji, fazy rozwoju, zależności pomiędzy nimi – o tyle pełnym novum było wprowadzenie dwóch pojęć: instrumentu (do realizowania poszczególnych poziomów rozwoju) a instytucji, które z nich wyrastają. Amerykański polihistor twierdził krótko: ludzie zbierają się, by osiągnąć cel (podbój, rządzenie krajem, produkcja żywności) i tworzą instrumenty, które mają ten cel osiągnąć (armia, monarchia stanowa, feudalizm). Te instrumenty są dynamiczne, koncentrują się na swoich zadaniach, są efektywne i zmieniają całe społeczeństwa. Grecka falanga, niby tylko szczyk piechoty w bitwie, zmieniła ustrój społeczny (wymagała równości), wprowadziła etos bojowy (sprzyjała demokracji), przyniosła Grecji siłę i okres pokoju potrzebny do gospodarczego prosperity. Z kolei średniowieczna wspólnota chrześcijan potrzebowała przede wszystkim obrońców – przed muzułmańskimi Saracenami zwłaszcza. I tak, zdaniem Quigleya, wykształciła się jazda oparta na właścicielach ziemskich, którzy byli samowystarczalni i byli zawsze na miejscu (na swojej ziemi), gotowi i zdeterminowani, by bronić kraju. Wpływało to na cały podział społeczeństwa, bo rycerstwo ze swoim

niezwykle drogim uzbrojeniem (dziś na pistolet mógłby sobie finansowo pozwolić niemal każdy, średniowieczna zbroja wymagała pokaźnego majątku) musiało być wyżywione przez chłopów, którzy mieliby zagwarantowany spokój, a nie byłiby co chwilę powoływani do armii, jak to miało miejsce na przykład w starożytnym Rzymie (stąd tam potrzebni byli niewolnicy). I oto instrumenty cywilizacyjne są kołem zamachowym rozwoju, czasem jeden z nich ciągnie za sobą drugi i w ten sposób cywilizacja przeżywa swój złoty wiek.

Jednak za tym idzie ryzyko, które jest, zdaniem Quigleya, zgodne z naturą ludzką – zwyrodnienie instrumentu, jego degeneracja. Historyk twierdzi, że wtedy instrument przeradza się w instytucję. O ile w XXI wieku słowo instytucja ma raczej pozytywne konotacje, o tyle nie termin jest tutaj ważny, lecz charakter tego ludzkiego tworu. Instytucja, jak uważał amerykański wykładowca, jest skostniała, koncentruje się nie na swoich obowiązkach, ale na przywilejach, nawet zmienia swoje funkcje na zupełnie odległe od tych pierwotnie zakładanych. Tak się dzieje w makro- i w mikroskali, to naturalna tendencja funkcjonowania grup ludzkich. „Wszystkie społeczne instrumenty mają tendencje do stawiania się instytucjami” – ostrzega naukowiec.

Quigley podaje wiele przykładów takiego zwyrodnienia. W pomniejszych przypadkach można by wskazać idee gry w piłkę nożną. „Gra zwana footballiem została wynaleziona około 1870 roku, by zapewnić zdrowe fizyczne ćwiczenia studentom” – czytamy w „Evolution of civilisation”. Autor wskazuje, że celem tego instrumentu miało być rozruszanie zasiedziałej w bibliotekach anemicznej młodzieży, gdy tymczasem... sport stał się zabawą samą dla siebie, biznesem, uciechą kibiców, nawet sposobem na życie, a tymczasem „w jasne jesienne popołudnia 70 lat później, studenci, którzy potrzebowali ćwiczeń, idą na boisko do baskebala, by napić się piwa i posiedzieć tam ze swoimi dziewczynami”. I tak, zdaniem historyka, gry ruchowe z instrumentów służących zdrowiu i kondycji młodych naukowców stały się instytucją, realizującą zupełnie inne cele. Gdyby Quigley widział, co się dzieje dzisiaj z piłką nożną, z zawodnikami-celebrytami, wielomilionowymi transferami pieniędzy, całym przemysłem kibicowsko-sportowym, to mógłby się tylko uśmiechnąć i rzucić krótkie: „a nie mówiłem”.

Ale dla funkcjonowania cywilizacji znacznie poważniejsze są degeneracje innych instrumentów – takich jak na przykład wojsko. O ile kiedyś zbierało się tylko do walki, o tyle potem przybrało także funkcje reprezentacyjne, ceremonię, demonstrację siły, obrosło w cywilną biurokrację, która z obroną kraju ma coraz mniej wspólnego. Poszczególne instrumenty w tej armii, stając się instytucjami, przyczyniły się do zagłady swoich ojczyzn. Historyk wskazuje na późne imperium rzymskie, które już w IX wieku powinno zamienić swoją piechotę na ciężką kawalerię, ale nie zrobiwszy tego – padła pod ciosami barbarzyńców.

Innym irytującym Quigleya przykładem była instytucja szabli w późnej, XIX-wiecznej kawalerii. Choć 31 października 1868 roku pismo

my jedną dziedzinę życia, a resztę pozostawimy bez zmian, zwyrodnąć może cała wspólnota. „Kulturowe zmiany nie muszą być rozwojowe, ale często są irracjonalne, wsteczne i destrukcyjne” – zaznacza profesor. „Kultura może nawet popełnić samobójstwo” – dodaje. Quigley podaje przykład XV- i XVI-wiecznych Azteków, którzy dali się podbić małej armii hiszpańskich konkwistadorów. Dlaczego?

„W dawniejszym okresie kultura Azteków w Meksyku zmieniła swój poziom religijny, wprowadzając składanie bogom ofiary z ludzi. Sztuka wojskowa dostosowała się do tej religijnej zmiany poprzez przejście z zabijania przeciwnika do brania go do niewoli (żeby złapany mógł być złożony w ofierze podczas uroczystości). [...] Kiedy Hiszpanie pod dowództwem

QUIGLEY W CYWILIZACJI ZACHODNIEJ WIDZIAŁ WIELKI POTENCJAŁ. W KOŚCIELE KATOLICKIM DOSTRZEGAŁ SIŁĘ NAPIĘDOWĄ... DEMOKRACJI, PODKREŚLAJĄC, ŻE TYLKO TEN INSTRUMENT (A NIE INSTYTUCJA) ZAPEWNIŁ EUROPEJCZYKOM MOŻNOŚĆ OGRANICZANIA WŁADZY CENTRALNEJ; TO KONFLIKT PAPIEŻA Z CESARZEM UNAOCZNIŁ CHRZEŚCIJANOM, ŻE W PRZYPADKU ŁAMANIA PRAWA PRZEZ WŁADCĘ MOŻNA MU SIĘ PRZECIWSTAWIĆ.

„Army and Navy Journal” postawiło tezę, że „czas szabli się skończył”. Brytyjczycy uparli się trzymać przy tej szlachetnej broni białej, nadającej dostojności, honoru, ale w bitwie kompletnie bezużytecznej. Jeszcze 30 lat później Douglas Haig, nieustraszony kawalerzysta z wojny burskiej, w której Brytyjczycy doznali potężnych strat w związku ze swoim nieprzystosowaniem do nowych czasów, zapewniał, że „kawaleria będzie miała swoje pole do działania w przyszłych wojnach”.

Pojawia się zatem konkretna recepta polihistora na radzenie sobie z kryzysami – instrumenty powinny nieustannie ewoluować, zmieniać się, dokooptowywać nowych ludzi, bo starzy członkowie nabywają prawa i opierają się zmianom, cele powinny być weryfikowane, a cała struktura – reformowana.

► Nie zostawać w tyle

Ale reformowanie instrumentów na jednej płaszczyźnie nie wystarczy. Cywilizacja to system naczyń połączonych, gdzie każdy poziom rozwoju zazębia się z innym – jeśli zreformuje-

Hernando Corteza przybyli do Meksyku w 1519 roku, Aztekowie mieli taką trudność, że próbowali pochwycić wroga, gdy Hiszpanie walczyli, by zabić”. Można tu powrócić do metafory kryształu – cywilizacja nie będzie się w nieskończoność rozwijać wedle swoich teoretycznych wzorców, bo wreszcie przychodzą czynniki zewnętrzne – i wtedy potrzebna jest zmiana: filozofii, organizacji, ustroju.

Gdy więc pojawia się nowa okoliczność, cywilizacja może zareagować na trzy sposoby, aby pod wpływem presji zmienić swój kształt. Może się zreformować, może zastosować podstęp albo popaść w kryzys. Przykładami reformy są na przykład średniowieczne uniwersytety – w dobie herezji i odstępstwa od ortodoksji stworzenie pola do dyskusji dla teologów i filozofów pchnęło cywilizację naprzód. Kostyczne monarchie absolutne XIX wieku zostały zastąpione państwami narodowymi, a armię poborową zastępuje się wojskami zawodowymi. Drugą metodą reagowania jest podstęp – tworzymy nowy instrument do realizacji celów, ale stara instytucja pozostaje, bo jest zbyt silna i ma zbyt wiele determinacji obrony swojej po-

zycji. I tak oto obok szlachty XVII wieku powstaje armia poborowa, choć dworzanie Ludwika XIV, mający przecież te same tytuły co ich prapradziadowie, nie bronili już kraju, a tańczyli menuety w Wersalu. Monarchia zachowała ten stan, równolegle powołując nowoczesną armię, choć za utrzymanie próżniaczej szlachty przyszło jej zapłacić rewolucją francuską. I trzecią reakcją jest po prostu kryzys, który Quigley zobrazował przykładem Azteków albo starożytnych Rzymian, którzy nawet w V wieku nie zrezygnowali z formuły uniwersalnego imperium zarządzanego przez cesarza, który zamiast formułować własną kawalerię, wołał wynajmować germańskich, obcych, najemników do strzeżenia granic. Jak to się skończyło dla cywilizacji – wszyscy wiemy.

► Witalność Zachodu

Quigley w cywilizacji zachodniej widział wielki potencjał. W Kościele katolickim dostrzegał siłę napędową... demokracji, podkreślając, że tylko ten instrument (a nie instytucja) zapewnił Europejczykom możliwość ograniczania władzy centralnej, to konflikt papieża z cesarzem unaoczniał chrześcijanom, że monarcha nie musi być panem życia i śmierci i w przypadku łamania prawa przez władcę można mu się przeciwstawić. Zdaniem historyka Zachód trzykrotnie zdobywał się na ekspansję, po której przychodził okres wewnętrznego konfliktu i nieomal etap upadku. O ile między XI i XIII wiekiem średniowieczni rycerze potrafili nie tylko wyprzeć Arabów z Europy, lecz także do 1270 roku zdobyć i utrzymać, drogą Krucjat, posiadłości na Bliskim Wschodzie.

Na przełomie XIV i XV wieku doszło jednak do serii wojen na kontynencie (I faza konfliktu): wojna stuletnia pomiędzy Anglią i Francją, wojna dwóch róż w Królestwie Anglii (po naszej stronie można by dodać wojny z Zakonem), rozpada się Burgundia, Niemcy, Italia – ale z tej fazy z jednej strony zrodziła się próba zbudowania uniwersalnego imperium (wojny włoskie pomiędzy cesarzami niemieckimi a królami Francji), ale też właśnie ekspansja pierwszych dekad kolonializmu, która wraz z wykształceniem nowych form gospodarczych (pierwotny kapitalizm) i nowej myśli intelektualnej (humanizm, renesans) sprawiła, że wszystkie poziomy cywilizacji zachodniej dostały nowe instrumenty działania (banki w finansach, broń

palna w armii, monarchia dynastyczna w sposobach sprawowania władzy).

Drugą epokę konfliktu (XVII/XVIII wiek) widzi Quigley nie w wymiarze militarnym (choć i tutaj doszło do wojny trzydziestoletniej i serii wojen francuskich z resztą Europy), lecz na płaszczyźnie gospodarczej. Feudalizm stał się instytucją nieodpowiadającą wymogom produkcji, wyżywieniu społeczeństwa, książęta i szlachta nie zagwarantowali dynamicznego rozwoju. Tym razem jednak cywilizacja nie zdobyła się na reformę, a na podstęp – dokonuje się rewolucja agrarna, na Zachodzie chłopci uzyskują pewne swobody osobiste i do gry wchodzi z jednej strony kupcy, a z drugiej państwowa administracja – to ona będzie kontrolować rozwój ówczesnego świata. Ale stare formuły arystokracji i średniowiecznych tytułów i stanów społecznych pozostaną w mocy. W połączeniu z rewolucją przemysłową, wynalezieniem maszyny parowej, która uwolniła energię z węgla, cywilizacja Zachodu odzyskała siły i zasoby do ponownej ekspansji – wtedy już na cały świat.

Trzecia faza konfliktu, którą Quigley już osobiście obserwował, dotyczyła dwóch wojen światowych, tym wymowniejszych w jego postrzeganiu cywilizacji, że próbujących ustanowić uniwersalne imperium – jeden z syndromów upadku – III Rzesze.

Lata 50., w których profesor pisał ostateczną wersję swojej „Ewolucji cywilizacji”, przynosiły dopiero pewne symptomy nowych „instrumentów”. Historyk widział potencjał w odradzaniu się religijności (zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych) i widział, że na poziomie społecznym coraz większą rolę odgrywają już nie posiadacze kapitału (burżuazja), lecz menedżerowie, dynamiczni, dysponujący wiedzą i energią do zarządzania firmami, finansami i instytucjami państwowymi. W swojej pracy „Tragedia i nadzieja” naukowiec stwierdzał, że o ile tragedia jest oczywista (katastrofa wojen światowych), o tyle nadzieja wciąż pozostaje niepewna – Zachód ma szanse stworzyć nowe instrumenty, o ile zachowa swoją otwartość, nie zamknie się w totalitarnych pomysłach, które rzekomo znają odpowiedzi na wszystkie pytania.

► Pół wieku po Quigleyu

Choć Carroll Quigley miał w ostatnich latach życia wiele powodów do irytacji, to jednak oczywiście jego myśl z chorych interpretacji, można z jego życiowych dzieł wyciągnąć wiele wnio-

sków na rok 2020. Zresztą podczas swoich wykładów historyk zachęcał do stosowania jego metody, do szukania praw historii, o ile nie będą one deterministyczne, jak na przykład marksizm. Mając przed oczami mechanizm, który nakreślił, dla rozeznania zagrożeń i szans dla cywilizacji, trudno nie dostrzec tych przejawów kryzysu, które on scharakteryzował: Unia Europejska jako próba powołania uniwersalnego imperium, światowe instytucje, takie jak ONZ czy WHO powołane po II wojnie światowej, już dawno zamienione w Quigleyowskie instytucje, i wreszcie dominująca grupa społeczna, nieprzystosowana do rzeczywistości bardziej niż cesarze rzymscy w V wieku – unijni biurokraci.

Pandemia COVID-19 przypomina nieoczekiwany zwrot w historii, jak pojawienie się Hiszpa-

grantów, wzrost ekstremizmu na Bliskim Wschodzie. Bruksela i relacje transatlantyckie wymagałyby głębokiej naprawy, a także w wielu przypadkach rozgonienia instytucji, co do których Quigley pisał, że będą bronić swoich przywilejów i budować mitologię swojej przydatności, niczym Haig przekonywał, że kawaleria nie zwykle się przyda w XX wieku.

Być może Zachód potrzebuje podstępu? Przeniesienie władzy do innych gremiów niż brukselskie salony, być może jakaś formuła wielostronnych porozumień rządowych, błyskawicznych i opracowanych algorytmami czy procedurami metodach dzielenie się kompetencjami, musiałaby jednocześnie zachować część unijnej biurokracji, by nie wywołać wewnętrznego konfliktu.

WEDŁUG QUIGLEYA CYWILIZACJA MA FAZY ROZWOJU. „TYCH SIEDEM STADIÓW BĘDZIE SIĘ NAZYWAĆ NASTĘPUJĄCO: 1. SKRZYŻOWANIE, 2. CIĄŻA, 3. EKSPANSJA, 4. WIEK KONFLIKTU, 5. UNIWERSALNE IMPERIUM, 6. SCHYLEK, 7. INWAZJA”. HISTORYK ZAKŁADA, ŻE CYWILIZACJE RODZĄ SIĘ ZAZWYCZAJ NA PERYFERIACH UMIERAJĄCYCH CYWILIZACJI, PO WYMIANIE, DYFUZJI IDEI I DOŚWIADCZEŃ Z INNYMI PERYFERIAMI.

nów w granicach azteckiego imperium, po którym cywilizacja musi odejść od niewydajnych i przestarzałych instytucji albo się po prostu rozpadnie. Siódmy etap żywotu cywilizacji – inwazja – możliwy jest tylko w stanie rozkładu wspólnoty, ale obrazy ze świata islamskich radykałów czy bezkarnych nielegalnych emigrantów na Zachodzie nasuwa samoistne skojarzenia – głęboki kryzys może stać już o krok od nas.

Przypominając więc trzy drogi reakcji na kryzys, należałoby analitykom i politykom pozostawić przeforsowanie programu zmian. Może być to droga reform – ustanowienie nowych instrumentów w miejsce przerośniętych i skompromitowanych instytucji. Zdaje się, że w Europie niemal każdy poziom rozwoju cywilizacyjnego wymaga zmiany.

Ustrój? Ani przejęte wegetarianizmem europosłanki, ani wybierani za zamkniętymi drzwiami przywódcy UE czy blisko 12 tysięcy (!) organizacji lobbyngowych nie udźwigną konieczności błyskawicznego reagowania na pandemię, agresję rosyjskie na europejskich sąsiadów, fale emi-

Wyglądałoby to na powtórzenie manewru francuskich królów absolutnych, którzy zorganizowali wojsko i administrację, a swoich szlachciców trzymali na spektaklach teatralnych i bankietach – można sobie wyobrazić Ursulę von der Leyen, Verę Jourową i Donalda Tuska obradujących nad rozstawianiem nadajników internetowych, a strategiczne decyzje przekazać do nowego, Quigleyowskiego, instrumentu zachodniej wspólnoty.

I nie tylko w rozwoju politycznym trzeba widzieć ratunek – podobnie wypalenie się formuły liberalizmu, ateizmu, nihilizmu, które w starciu z islamem czy Rosją odpowiadają jedynie strachem albo marazmem, należałoby wymienić drogą reform lub podstęp.

Wreszcie jest też trzecia formuła – kryzys i upadek. Ale tu nie musimy szczególnie się starać. Wystarczy nic nie robić, a Europa zostanie peryferią dawnego, dumnego Zachodu. Choć, kto wie, przecież to na obrzeżach cywilizacji Quigley widział potencjał do stworzenia czegoś zupełnie nowego. ■

Tomasz P. Terlikowski



PRYMAS NA CZASY NAJTRUDNIEJSZE

**Lpszego
patrona na czasy
podnoszenia Polski
po koronawirusie
niż kardynał Stefan
Wyszyński nie
będzie. Dlatego
szkoda, że jego
beatyfikacja
w czerwcu się nie
odbędzie.**

To nie są dobre informacje. Beatyfikacja Prymasa Tysiąclecia miała się odbyć w czerwcu tego roku, została przeniesiona w bliżej nieokreśloną przyszłość. Powodem jest oczywiście pandemia koronawirusa, która uniemożliwia publiczne uroczystości religijne. I choć można się zastanawiać, czy rzeczywiście beatyfikację trzeba było przenosić, czy nie można jej było dokonać nawet za zamkniętymi drzwiami, a z uczestnictwem setek tysięcy, a może milionów wiernych za pośrednictwem telewizji czy internetu, to pozostaje faktem, że decyzja została podjęta. Wiadomo też już, że gdy już do beatyfikacji dojdzie, to będzie ona zdecydowanie skromniejsza niż ta, którą planowano w czerwcu tego roku, bowiem kryzys ekonomiczny uderzy w nas wszystkich. Niezależnie jednak od braku uroczystej celebry już teraz można powiedzieć, że Polska ma potężnego patrona. I nie chodzi tylko o modlitewne wstawiennictwo, lecz przede wszystkim o to, że sposób posługi Prymasa Tysiąclecia może być dla nas dobrym przykładem działania w czasach bardzo trudnych. A te właśnie się w Polsce i Europie rozpoczęły.

► Budowanie nowego Polaka

Skąd taki wniosek? Odpowiedź jest prosta. Prymas Wyszyński w okresie po wojnie miał odwagę zrekonstruować polski katolicyzm, nadać mu nowy dynamizm i oprzeć się zarówno pokusie ulegania komunistom, jak i ślepego, pozbawionego rozsądku antykomunizmu. I właśnie dlatego to on ukształtował polski katolicyzm na dziesięciolecia, on dał mu duszpasterski dynamizm, a jednocześnie pozostał zakonieniony w Tradycji, on wreszcie był wielkim obrońcą wartości pracy i solidarności społecznej.

A warto przypomnieć, że moment, w którym ksiądz Stefan Wyszyński został najpierw biskupem włodawskim, a później prymasem Polski, był niezwykle trudny. Przesunięcie granic, rzeź Powstania Warszawskiego dopełniona przez mordy dokonywane za czasów przymusowej stalinizacji, zniszczenie lub odebranie najważniejszych dla polskiej kultury miast – zniszczyło naród i społeczeństwo polskie. „Polska, jaką znam i w jakiej żyłem od urodzenia, to Polska zerwanej ciągłości. Powstała jako twór nowy, budowany świadomie w opozycji do wszystkiego, czym była przez wieki” – opisywał tamte czasy Ryszard Legutko w znakomitym „Eseju o duszy polskiej”. I uzupełniał: „Polacy żyjący w PRL-u byli różni od mieszkańców II Rzeczypospolitej, bo zostali złamani przez historię, przez ideologię i przez system władzy. Wszystko było w nich inne: sposób mówienia, myślenia, ubierania się, mieszkania [...] Polska przedwojenna, mimo wszystkich słabości, była Pol-

for NAC

ską odrodzoną, to znaczy krajem, który wchłaniał swoje dziedzictwo i doświadczenia obywatelskie, który był budowany przez pokolenia posiadające poczucie ciągłości w wcześniejszymi generacjami rodaków, który terytorialnie nawiązywał do okresu sprzed utraty niepodległości. Polskę powojenną stworzono od stanu zerowego, według planu narzuconego z zewnątrz: powstała na gruzach, w części na ziemiach obcych, w poczuciu klęski, postawiona wobec nakazu odrzucenia lub zafalszowania całej swojej przeszłości. Intencją Polski przedwojennej było zjednoczenie Polaków w odrodzonej Ojczyźnie. Intencją Polski powojennej było stworzenie zupełnie nowych Polaków”.

Prymas Wyszyński przygotował projekt, który zatrzymał tamten proces, pozwolił nam zachować własną tożsamość, odnowił katolicyzm i nadał mu – dzięki bardzo inteligentnemu posłuszeniu się wartościami katolicyzmu ludowego – nowe oblicze. I choć oczywiście wszyscy nosimy w sobie pozostałości *homo sovieticus*, choć nie udało się odzyskać wszystkich wartości tamtej Polski, to wszyscy też jesteśmy dziedzicami programu kardynała Wyszyńskiego, programu, który nadał nam zakorzenioną w tradycji, ale nowoczesną tożsamość.

► Program odnowy

Jeśli szukać fundamentów tego programu budowy polskości katolickiej, solidarnej, zakorzenionej w najlepszych tradycjach Ewangelii i kultury naszego narodu, to znajdują się one w Jasnogórskich Ślubach Narodu, które warto nieustannie przypominać, bo wiem są one programem budowy Polski nowoczesnej i tradycyjnej, solidarnej, sprawiedliwej i prawdziwie chrześcijańskiej. Język, którym ten program jest wyrażony, może niekiedy razić, może wydawać się przeniesionym z poprzedniej epoki, ale sam projekt pozostaje niezmiennie aktualny.

A widać to już po pierwszym „ślubie”, w którym Polacy zobowiązują się do budowania w naszym kraju „rzeczywistego królestwa” Matki Bożej i Jezusa Chrystusa. „Przyrzekamy uczynić wszystko, co leży w naszej mocy, aby Polska była rzeczywistym królestwem Twoim i Twojego Syna, poddanym całkowicie pod Twoje panowanie, w życiu naszym osobistym, rodzinnym, narodowym i społecznym” – wołali wtedy Polacy. A zadanie to postawił przed nami później także św. Jan Paweł II podczas pierwszej pielgrzymki do wolnej Polski w 1991 roku, gdy proponował nam zbudowanie demokracji chrześcijańskiej w miejsce demokracji liberalnej, budowy ekonomii solidarności w miejsce balcerowiczowskiego programu zbudowania polski neoliberalnej ekonomicznie. Wtedy środowiska chrześcijańskie były zbyt słabe i zbyt podzielone,

by ów projekt podjąć, ale teraz naprawdę warto do niego powrócić. Zarówno kardynał Wyszyński, jak i św. Jan Paweł II byli wielkimi piewcami ekonomii wprawdzie opartej na wolnym rynku i własności prywatnej, lecz jednocześnie solidarnej z ubogimi, z ludźmi pracy, z tymi, którzy nie radzą sobie. W naszej rzeczywistości, gdy globalna ekonomia jest w gigantycznym kryzysie, a płacą za to ogromną cenę zwykli ludzie, jest to program jak najbardziej na czasie.

Nie mniej istotny, i także nadal niezrealizowany, jest drugi postulat Jasnogórskich Ślubów Narodu, czyli ten dotyczący obrony każdego życia. „Święta Boża Rodzicielko i Matko Dobrej Rady. Przyrzekamy Ci z oczyma utkwionymi w żłóbek Betlejemski, że odtąd wszyscy staniemy na straży budzącego się życia. Walczyć będziemy w obronie każdego dziecięcia i każdej kołyski równie mężnie, jak ojcowie nasi walczyli o byt i wolność Narodu, płacąc obficie krwią własną. Gotowi jesteśmy raczej śmierć ponieść, aniżeli śmierć zadać bezbronnym. Dar życia uważać będziemy za największą łaskę Ojca Wszelkiego Życia i za najcenniejszy skarb Narodu” – ślubował wtedy naród, idąc za nauczaniem Prymasa. Niestety, choć w Polsce mamy lepsze prawo niż w wielu innych krajach, to nadal nie jest tak, że każde życie jest broniące. Dyskryminowani są bowiem nadal ludzie chorzy, niepełnosprawni czy mający nieodpowiednie – bo w wyniku przestępstwa – pochodzenie. I choć Polską od ponad pięć lat rządzi prawica, to akurat w tej sprawie nic się nie zmienia. A przecież, co podkreślał zarówno Prymas Wyszyński, jak i św. Jan Paweł II, nie będzie sprawiedliwej Polski, nie będzie Polski chrześcijańskiej, dopóki będzie ona zabijała własne dzieci. Polityka czy polityczny rozstrzał nie powinny być usprawiedliwieniem tego zaniedbania.

Istotnym elementem programu uzdrowienia Polski jest wzmacnianie rodziny, a to dokonywać się może tylko poprzez ograniczenie niszczącej fali rozwodów i zwiększenie dzietności. Bill Gates wcale nie musi dokonywać depopulacji w Polsce, bowiem zastraszcyli się o to sami Polacy, którzy z pewnością nie mają dzieci. I także do zaangażowania w te kwestie wzywa nas Prymas Tysiąclecia. „Matko Chrystusowa i Domie Boży. Przyrzekamy Ci stać na straży nierozwrotności małżeństwa, bronić godności kobiety, czuwać na progu ogniska domowego, aby przy nim życie Polaków było bezpieczne. Przyrzekamy Ci umacniać w rodzinach królowanie Syna Twego Jezusa Chrystusa, bronić czci Imienia Bożego, wszczepiać w umysły i serca dzieci ducha Ewangelii i miłości ku Tobie, strzec Prawa Bożego, obyczajów chrześcijańskich i ojczystych. Przyrzekamy Ci wychować młode pokolenie w wierności Chrystusowi, bronić go przed bezbożnictwem i zepsuciem i otoczyć czujną opieką rodzicielską” – głosił tekst Ślubów Jasnogórskich. W tej

kwestii sporo zostało zrobione, ale nadal dużo jest do zrobienia. A jeśli nie zostanie to uczynione, to Polska będzie się demograficznie zapadać.

► Solidarna Polska

Ale wezwania Prymasa nie ograniczały się tylko do kwestii rodziny, życia i religii. On miał także niezwykle mocny program społeczny, budowania sprawiedliwości. Jako reprezentant społecznej nauki Kościoła, i to raczej w jej bardziej prospołecznym wydaniu, zawsze podkreślał, że konieczna jest sprawiedliwa dystrybucja dóbr i opieka nad biedniejszymi. „Zwierciadło Sprawiedliwości. Wsluchując się w odwieczne tęsknoty Narodu, przyrzekamy Ci kroczyć za Słońcem Sprawiedliwości Chrystusem Bogiem naszym. Przyrzekamy usilnie pracować nad tym, aby w Ojczyźnie naszej wszystkie Dzieci Narodu żyły w miłości i sprawiedliwości, w zgodzie i pokoju, aby wśród nas nie było nienawiści, przemocy i wyzysku. Przyrzekamy dzielić się między sobą ochotnie plonami ziemi i owocami pracy, aby pod wspólnym dachem Domostwa naszego nie było głodnych, bezdomnych i płaczących” – pisał Prymas.

Tych słów nie należy traktować tylko jako wezwania do osobistej dobroczynności, lecz jako coś o wiele głębszego, bo do zbudowania sprawiedliwej i solidarnej Polski. „Dla utrzymania ładu społecznego i podniesienia wydajności gospodarczej – wyjaśnia kardynał Wyszyński w swoim komentarzu do Ślubów Jasnogórskich – Kościół broni własności prywatnej. Jednocześnie jednak głosi, że chociaż »posiadanie jest prywatne, to jednak użytkowanie jest wspólne«. Z owoców naszej własności i pracy musimy ochotnie dzielić się ze wszystkimi, którzy nie są w stanie sami zarządzać swoim potrzebom”. O tym także nie wolno nam zapominać w trudnych czasach kryzysu gospodarczego.

Najtrudniejszym zadaniem zaś stawianym przed nami przez kardynała Wyszyńskiego pozostaje niewątpliwie wezwanie do nawrócenia osobistego. „Zwyczajna Pani Jasnogórska. Przyrzekamy stoczyć pod Twoim sztandarem najświętszy i najcięższy bój z naszymi wadami narodowymi. Przyrzekamy wypowiedzieć walkę lenistwu i lekkomyślności, marnotrawstwu, pijaństwu i rozwiązłości. Przyrzekamy zdobywać cnoty wierności i sumiennosci, pracowitości i oszczędności, wyrzeczenia się siebie i wzajemnego poszanowania, miłości i sprawiedliwości społecznej” – pisał Prymas Tysiąclecia. Tego nikt za nas nie załatwi, żadna władza nie sprawi, że będziemy jako jednostki żyć lepiej, że będziemy bardziej sumienni, pracowici, wierni i oszczędni. Nie ulega jednak wątpliwości, że jeśli ten element programu Prymasa podejmujemy, to w Polsce będzie zwyczajnie lepiej.

► Koniec *status quo*

Dlaczego piszę o tym właśnie teraz? Odpowiedź jest prosta. Ten projekt jest idealny na czasy kryzysu, jakie nadchodzi. Kryzys, z jakim przychodzi i przyjdzie jeszcze przez wiele miesięcy nam się borykać, jest czymś zupełnie nowym. Wielu ekonomistów, ale też historyków podkreśla, że jego skala może być – biorąc pod uwagę, że uderza on jednocześnie w cały niemal świat (nie tylko zachodni), a także że niszczy on system opieki zdrowotnej oraz społeczne zaufanie – o wiele większa niż to, co spotkało Europę i świat po wielkim kryzysie z końca lat 20. i początku 30. Jakie były jego skutki, nie trzeba, akurat nam, Polakom, przypominać. I chodzi nie tylko o gigantyczną biedę, wielkie bezrobocie, utratę poczucia bezpieczeństwa przez miliony (jeśli ktoś chce w pięknej literacko formie je poznać, to polecam „Grona gniewu” Johna Steinbecka), lecz także o to, że kryzys ten wyniósł do władzy autentycznych dyktatorów, by wymienić tu tylko Adolfa Hitlera, a także zwiększył potencjał oddziaływania komunistów różnej maści.

Wiele wskazuje na to, że obecnie może być podobnie. Nadchodzi koniec świata, jaki znamy, upada globalne *status quo*. Ludzie, nie tylko w Polsce, lecz także w świecie zachodnim, będą coraz bardziej sfrustrowani, kryzys gospodarczy odbierze wielu z nich środki do życia, a to – szczególnie że dzieje się to po stosunkowo długim okresie społecznego spokoju, rosnącego dobrobytu i stabilności – rodzi potencjał rewolucyjny i umożliwia dojście do władzy populistów, przy których ci, którymi się straszą obecni wieszczę końca „liberalnej demokracji”, to będą niewinne przygrywki. Niestety, nie widzę w politykach (także polskich, i to niezależnie od tego, czy są w koalicji czy w opozycji) świadomości powagi sytuacji. Klasa polityczna, choć to ona może być zmieciona jako pierwsza, i dotyczy to nie tylko Polski, żyje starymi sporami, wojenkami politycznymi. Silnie plemienne media wspierają zaś swoje obozy, tak jakby nic się nie zmieniło. Tyle że zmieniło się wiele, a jeszcze więcej się zmieni.

W takiej sytuacji warto powracać do słów i pomysłów proroków. A jednym z najważniejszych nauczycieli naszej historii pozostaje niewątpliwie kardynał Stefan Wyszyński. Jego myślenie, jego działanie, jego zaangażowanie może stać się programem politycznym i duszpasterskim na wiele lat. Jeśli tylko odważymy się mu zaufać i ruszyć jego śladami. Mam nadzieję, że tak się stanie, i to niezależnie od tego, w którym momencie dojdzie do beatyfikacji. ■

Małgorzata Matuszak



(De)konstrukcja ładu społecznego

Sytuacja, w której się znaleźliśmy, a związana z epidemią koronawirusa, będzie katalizatorem zmian w wielu obszarach naszego życia. Czy w długiej perspektywie może przynieść jakieś dobre skutki dla społeczeństwa?



Czas, w którym się znaleźliśmy, jest trudny dla wszystkich. Nawet dla tych, którym izolacja początkowo się podobała. Nasz świat się zmienił i wygląda na to, że nawet po powrocie do „normalności” nie będzie już taki sam, jak przed epidemią koronawirusa. Kiedy to nastąpi – nie wiadomo. Naukowcy o nowym wirusie wiedzą już wiele, wciąż jednak nie na tyle dużo, by można było powiedzieć, że w krótkim czasie będziemy w stanie nową chorobę ujarzmić. Bardzo chcielibyśmy zamknąć już bilans ofiar i ogłosić, że mamy kontrolę nad SARS-CoV-19. Niestety, z ograniczeniami, które są na nas nakładane, w mniejszym bądź większym stopniu będziemy musieli żyć przez jeszcze jakiś czas.

► Czego obawiają się Polacy?

Co rusz słyszymy o różnych scenariuszach wydarzeń, trudno jednak przewidzieć, który z nich będzie najbliższy prawdzie. Z pewnością nie można ufać wszystkiemu, z czym się stykamy. Koronawirus odebrał nam życie, do którego przywykliśmy, jednak strach i lęk to w sytuacji, której się znaleźliśmy, najgorsi doradcy.

Miedzy początkiem marca a początkiem kwietnia popularność wyszukiwania frazy „koronawirus prognoza” w polskich wyszukiwaniach w Google wzrosła czterokrotnie. Wynika z tego, że doskwiera nam niepewność wypływająca z nieprzewidywalności rozwoju sytuacji, w której się znaleźliśmy, i poszukiwaniu jakichś rzetelnych danych, na podstawie których moglibyśmy dowiedzieć się, co może nas spotkać i co możemy, mimo wszystko, w tej chwili zaplanować. Na różnego rodzaju ekspertach, doradcach czy publicystach spoczywa dziś duża odpowiedzialność za to, co prognozują. Choć przecież i oni mogą się mylić, bo sytuacja jest nowa także dla nich.

Mierzymy się i mierzyć się będziemy ze strachem i niepewnością o zdrowie nasze i naszych bliskich, w szczególności osób starszych i przewlekle chorych. Jak wynika z najnowszych badań, dokonanych przez CAWI na panelu Ariadna, strach w odniesieniu do siebie dotyka 34 proc. ankietowanych, a względem bliskich – 45 proc. Stresogennym czynnikiem dla większości badanych jest obawa o dostęp do lekarzy w sprawach niezwiązanych z koronawirusem – dotyczy aż 54 proc. badanych. Niepokoi nas ponadto o sytuację gospodarczą w kraju (44 proc.) i o własną sytuację materialną (33 proc.).

W porównaniu do badań wcześniejszych coraz mniej jednak boimy się samego koronawirusa niż konsekwencji ekonomicznych, które są jego skutkiem. Coraz bardziej obawiamy się, że sytuacja finansowa w kraju ulegnie pogorszeniu, w związku z czym

też nasza i naszych bliskich, i tego, że możemy stracić pracę. Według sondażu SW Research dla rp.pl na pytanie, czy dana osoba uczestnicząca w badaniu obawia się utraty pracy w wyniku spowolnienia gospodarczego spowodowanego pandemią koronawirusa, 42,7 proc. respondentów odpowiedziało twierdząco, a odpowiedzi „nie” udzieliło 40,1 proc. ankietowanych. Zdania w tej kwestii nie miało 17,2 proc. respondentów. Widmo kryzysu ekonomicznego wpływa nie tylko na nasz niepokój o utrzymanie pracy i stałe dochody, lecz także na ogólną kondycję społeczną.

► Lęk o byt

Dane o bezrobociu w Polsce w marcu nie wykazują jeszcze jego wzrostu. Stopa bezrobocia, w porównaniu do lutego i stycznia, wręcz zmalała – z 5,5 proc. do 5,4 proc. W najbliższych miesiącach trzeba się jednak spodziewać wzrostu liczby bezrobotnych. Według minister rozwoju Jadwigi Emilewicz pod koniec roku pracy może nie mieć 1,5 mln Polaków. Adrian Wróblewski, dyrektor działu analiz SW Research, zauważa, że utraty pracy bardziej boją się kobiety niż mężczyźni, i stwierdza: „Zaniepokojony o pracę jest co drugi badany w wieku od 35 do 49 lat i nieco mniejszy odsetek osób posiadających wyższe wykształcenie. Obawę o wpływ pandemii na sprawy zawodowe wyraża prawie 60 proc. respondentów zarabiających od 3001 do 5000 zł i blisko co drugi mieszkaniec wsi”.

Ludzie obawiają się o środki, które pozwolą im na opłacanie bieżących rachunków, spłacanie kredytów, o to, że popadną w nowe długi, którym nie będą w stanie sprostać, jeśli sytuacja na rynku pracy utrzyma się dłużej. Jeśli ktoś przyzwyczaił się do funkcjonowania w jakiejś stabilności, bardzo trudno jest mu się często przestawić na to, że brakuje mu środków do życia. Wielu ludzi będzie musiało pewnie zmienić pracę, a nawet przekwalifikować się, by móc znaleźć coś nowego. Niektóre branże mogą długotrwale odczuwać skutki pandemii, wszak zmusza nas ona do zaniechania niektórych działań.

Niepewność przyszłości i długotrwała izolacja wiążą się z ogromnym obciążeniem psychicznym, z którym nie każdy będzie umiał sobie poradzić. Wielu ekspertów wskazuje, że skutkiem pandemii wirusa będzie wzrost zachorowań na depresję i inne zaburzenia psychiczne, głównie lękowe. Problemem będzie także częstsze sięganie po alkohol i inne substancje psychoaktywne, które doraźnie pomagają w radzeniu sobie z pogarszającym się stanem psychicznym, w dłuższej jednak perspektywie prowadzić mogą do uzależnień, zwłaszcza do uzależnienia od alkoholu.

► Sprawdzan dla relacji

Bardzo niepokojącym zjawiskiem, będącym następstwem przymusowej izolacji, jest zwiększenie ryzyka występowania przemocy domowej, której w obecnej sytuacji trudno jest przeciwdziałać. Szczególnie narażone są na nią dzieci, które nie mają z kim porozmawiać o tym problemie. Pozamykane szkoły, brak kontaktu z rówieśnikami, przebywanie przez cały czas w domu potęgują złe samopoczucie dziecka, które doświadcza przemocy.

Trzeba jednak przyznać, że izolacja, strach, poczucie utraty kontroli, gorsza sytuacja materialna, przebywanie wszystkich domowników przez cały dzień albo jego zdecydowaną większość, to sytuacja ekstremalna, z którą nie wszystkie rodziny potrafią sobie radzić. Niekiedy okazuje się, że rodzina – nagle zmuszona zostaje do tego, by przebywać dłużej razem, w jednym miejscu i czasie – razem być nie potrafi. Narasta wzajemna agresja, rodzą się kłótnie, wybuchają awantury. Napięcie narasta we wszystkich i oddziałuje na wszystkich, zmieniając sposób reagowania na sytuację nie tylko trudną, lecz nawet te codzienne.

W przymusowej izolacji wychodzą na wierzch wszystkie problemy, które dotychczas były „zamiatane pod dywan”. Przymusowe bycie razem obnaża niedoskonałości relacji, dla której obecna sytuacja stała się swoistym sprawdzianem. Wielu ekspertów uważa, że sporo małżeństw tej próby nie przetrzyma i zwiększy się liczba rozwodów. Zauważalne jest to już na przykład w Chinach. Dzieje się tak, bo małżonkowie dochodzą do wniosku, że tak naprawdę niewiele ich łączy, że się sobą znudziło albo wręcz siebie zniechęcili. Kwarantanna wydobyla z ich związku to, co było w nim złe już od dawna, stała się bombą, która rozsadziła związek od środka.

Na szczęście dla wielu rodzin obecna sytuacja stała się szansą na pogłębienie łączących je więzi. Dała szansę na inne spojrzenie na siebie nawzajem oraz danie wzajemnie czasu i uwagi, o które w zabieganej codzienności czasami jest trudno. Takie rodziny wyjdą z kryzysu wzmocnione i przewartościują swoje życie, tak by pogodzić codzienne, obowiązkowe aktywności ze sprawami rodzinnymi. Jeśli ludzie zaczną doceniać to, co płynie z bycia razem, już tak łatwo nie odpuszczą sobie życia prywatnego, życia rodzinnego.

► Powrót do ważnych wartości

Według badania NEUROHM oraz BradConsulting zleconego przez portal Onet.pl, aż 43 proc. badanych wierzy absolutnie w to, że pandemia koronawirusa pokazuje, że człowiek jest bezradny wobec natury. Jednocześnie 81 proc. zadeklarowało, a 67 proc. jest w tym względnie głęboko przekonanych, że rodzina jest dla nich opoką w czasie epidemii. Autorzy badania tak interpretują wyniki: „W naszej kulturze jak widać na ro-

dzinę możemy liczyć w każdej sytuacji. To zdaje się być wynik bez precedensu w skali Europy. Nasze społeczeństwo zawsze charakteryzowało się silnymi więzami rodzinnymi, ale w godzinie próby te więzy stają się, jak sądzimy, jeszcze silniejsze”. Znamienne jest to, że aż 38 proc. respondentów przyznaje z głębokim przekonaniem, że obecny okres spowodował u nich refleksję nad sensem życia, a 29 proc. z takim samym głębokim odczuciem deklaruje, że to wiara w Boga pomaga przeżyć im epidemię. Co ciekawe, że grupą wiekową, która najbardziej jest skłonna do refleksji nad sensem życia w obliczu epidemii, nie są seniorzy, lecz osoby młode, te w wieku 18–24 lata.

Wyniki tego badania ks. dr Wojciech Sadłoń, dyrektor Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego, komentuje następująco: „Te badania dowodzą, że skutki epidemii dotyczą najgłębszych podstaw tożsamości człowieka. Dotykają kwestii wpływających na to, jakie wartości przyjmujemy i w jakim kierunku kształtujemy nasze życie. Epidemia przekonuje, że jako ludzie nie jesteśmy samowystarczalni. Za poczućciem bezradności i ograniczenia może pojawić się większa potrzeba szukania transcendencji. Warto jednak pamiętać, że świat ludzkich wartości zmienia się bardzo powoli”.

Może obecna sytuacja pozwoli nam przewartościować swoje życie i nauczyć dostrzegać wyższe wartości niż materialne i związane z codzienną gonitwą za czymś, co nie do końca nas karmi?

► Inne dobre skutki?

Czy w długiej perspektywie epidemia koronawirusa może przynieść jakieś dobre skutki dla społeczeństwa? Wydaje się, że obecna sytuacja może być katalizatorem zmian w wielu obszarach naszego życia. Zmienia się pewnie nawyki nasze oraz firm. Po tygodniach pracy zdalnej, jeśli tylko będzie to możliwe, niektóre firmy zmieniać może na stałe organizację pracy. Szkoły być może chętniej będą sięgać po rozwiązania, które wypracowane zostaną przez długi czas nauki zdalnej. Lekarze zaś i szpitale będą bardziej skłonni do konsultacji telefonicznych czy internetowych. My sami zaś zaczniemy inaczej oceniać ryzyko kontaktu z innymi, jeśli chodzi o chęć podróżowania czy udziału w różnego rodzaju imprezach masowych. Może zaczniemy zważać na to, że kiedy jesteśmy chorzy na zakaźne choroby i nie przestrzegamy zasad, narażamy innych na zarażenie?

Dokonująca się (de)konstrukcja ładu społecznego kiedyś minie. Powróci normalność. Czy dokładnie taka jak przed pandemią? Pewnie nie. Tego do końca przewidzieć nie można. Trzeba mieć jednak nadzieję, że sytuacja, w której obecnie się znajdujemy, czegoś nas nauczy, że wyciągniemy z niej adekwatne wnioski na przyszłość. ■



Małgorzata Matuszak

Czym jest... polityka jako troska o dobro

Termin „polityka” wywodzi się bezpośrednio z języka greckiego, gdzie „ta polityka” określa wszystkie sprawy związane z państwem i społeczeństwem, z „polis” (gr. „państwo-miasto”). W starożytności myśl etyczna i myśl polityczna były bardzo mocno ze sobą związane. Uważano wtedy, że szczęście obywateli jest tym, ze względu na co ludzie łączą się we wspólnoty państwowe: ludzie łączą się po to, by szczęście osiągnąć. Najdobitniej wyraził to Arystoteles w swej „Polityce”: państwo jest „zespołem ludzi na pewnym miejscu dla zabezpieczenia się przed wzajemnymi krzywdami i dla ułatwienia wymiany towarów”, przede wszystkim jednak „wspólnotą szczęśliwego życia, obejmującą rodziny i rody, dla celów doskonałego i samowystarczального bytowania”. W tej najważniejszej dla człowieka wspólnotcie, by rządzona była rozumnie, winny rządzić prawa. Ci zaś, którzy polityką zajmują się z racji powierzonej im władzy, winni być kwintesencją – człowieka i człowieczeństwa.

Arystoteles uważał, że „fronesis”, cnota myślenia praktycznego, trojakiemu jest rodzaju, bo obejmuje sobą trzy obszary ludzkiego działania: jeśli odnosi się do pojedynczego człowieka, nazywana jest rozsądkiem; jeśli kieruje się ku zbiorowości, którą tworzą ludzie mieszkający w jednym gospodarstwie – ekonomiką; jeśli zaś działaniem swym obejmuje obszar państwa – nazywana jest właśnie polityką. Cnota ta zdana na różnicę między dobrem a złem, między prawdą a fałszem i – równocześnie – umiejacą odróżnić dobro od zła. Fundamentalną przesłanką dla jej działania jest to, że dobro nie jest złem, a zło nie może być dobrem. Tyle więc posiada człowiek rozsądku, ile dostępu do dobra. Ono zaś wyjawia się temu tylko, kto jest dobry, każdemu na jego miarę. Jeśli zatem chcemy osiągnąć swym działaniem dobro, problem tkwi w tego dobra rozpoznaniu, w tym, by to, co się jawi, było dobrem naprawdę. Każdy też samego siebie czyni człowiekiem doskonałym etycznie. Bądź nie czyni.

Zajmowanie się polityką zacząć więc trzeba od samego siebie. Tylko ten, kto potrafi dobrze radzić sobie, potrafi też radzić innym. Tylko ten potrafi rządzić innymi, kto najpierw potrafi rządzić sobą. Tylko ten, kto posiadał umiejętność słuchania siebie i tego, co go sobą czyni najbardziej, potrafi słuchać innych. I tylko temu, kto posiada władzę odróżniania dobra i zła, powierzyć można władzę nad innymi.

Polityka to roztropna realizacja wspólnego dobra, „roztropna troska o dobro wspólne”, jak pisał Jan Paweł II. Wietnamski kardynał François Xavier Nguyen Van Thuan ułożył „Osiem błogosławieństw dla polityka”, swoisty kodeks moralny dla polityków, którzy w swej działalności odwołują się do wartości chrześcijańskich i nimi się chcą kierować. Brzmiały one następująco: 1. Błogosławiony polityk, który wie, czym jest polityka, i ma głęboką świadomość swej roli. 2. Błogosławiony polityk,

ZAJMOWANIE SIĘ POLITYKĄ ZACZAĆ
TRZEBA OD SAMEGO SIEBIE. TYLKO TEN,
KTO POTRAFI DOBRZE RADZIĆ SOBIE,
POTRAFI TEŻ RADZIĆ INNYM. TYLKO TEN
POTRAFI RZĄDZIĆ INNYMI, KTO NAJPIERW
POTRAFI RZĄDZIĆ SOBĄ.

którego osoba jest przykładem wiarygodności. 3. Błogosławiony polityk, który angażuje się w pomnażanie dobra wspólnego, a nie dba tylko o własne interesy. 4. Błogosławiony polityk, który jest zawsze wierny swoim słowom i przekonaniom. 5. Błogosławiony polityk, który urzeczywistnia jedność w oparciu o nauczanie i przykład Jezusa i jej broni. 6. Błogosławiony polityk, który działa na rzecz radykalnego przyłgnięcia do prawdy, jak ją ukazuje Ewangelia. 7. Błogosławiony polityk, który potrafi słuchać Boga i ludzi. 8. Błogosławiony polityk, który nie boi się prawdy.

Polityka będzie taka, jacy będą politycy nią zarządzający. Kim oni będą, zależne jest zaś od tego, jacy są obywatele i jaki jest naród, który wybiera swoich przedstawicieli do władz. Dlatego tak ważne jest korzystanie ze swego prawa wyborczego, dzięki któremu mamy realny wpływ na władzę. To nasz wręcz moralny obowiązek. Pamiętać trzeba bowiem też o tym, że nasz wybór ma wpływ nie tylko na pracę rządu, lecz także na sprawy, które dotyczą bezpośrednio każdego z nas. ■



Ryszard Czarnecki

UNIA NA ZAKRĘCIE CZY NA RÓWNI POCHYLEJ?

W jakim stanie zastało Unię Europejską największe wyzwanie dla Starego Kontynentu od II wojny światowej – czyli zaraza XXI wieku? Unia pokazała swoją totalną bezradność, nie reagując na czas, nie przygotowując w praktyce żadnych działań transgranicznych. Wpadła we własne sidła, wcześniej zastawiane na poszczególne państwa członkowskie.

Gdy reprezentowałem Parlament Europejski w Rzymie podczas uroczystości 60-lecia Traktatów Rzymskich – było to wiosną 2017 roku – przywódcy Unii sprawiali wrażenie sytych, tłustych kotów, u których samozadowolenie ściąga się z wysokim mniemaniem o sobie i z wiarą w „świetlaną przyszłość” Unii Europejskiej.

► Unijny samozachwyt – wyborcze paliwo „wrogów Europy”

Jesienią 2017 roku miała rozpocząć się – i tak już przesunięta – debata o unijnym „czasie przyszłym” i reformach koniecznych, aby Unia stała się mocniejszym graczem globalnym w gospodarce i geopolityce. Pewnie mało kto wtedy przypuszczał, że kipiąca samozadowoleniem wnuczka Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali oraz córka Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, pełna samozachwyty nad sobą, właśnie znalazła się na równi pochyłej. Plany reformy Unii szlag trafił już pół roku później, gdy okazało się, że państwo „numer 1” w UE, czyli Niemcy, ku osłupieniu Starego Kontynentu i całego świata, nie są w stanie wyłonić rządu. A przecież to właśnie było powodem (albo pretekstem) odłożenia debaty o reformach Unii. Początkowo miano ową dysputę – w tych dysputach UE jest mistrzem – rozpocząć w Rzymie, ale uznano, że wypada poczekać na sformowanie rządu w Berlinie – choć i tak wiadomo, że rządzić będzie kanclerz Merkel... Tyle że Bundestag biedził się nad wyłonieniem czwartego gabinetu „Frau Kanzlerin” pół roku, choć i tak nie został pobity rekord w kategorii „państwo bez władzy” – to rekord Królestwa Belgii, które przez 535 dni (sic!) funkcjonowało bez rządu wyłonionego w wyniku wyborów. Gdy w RFN okaleczona „Mutti” wreszcie stworzyła swój czwarty rząd, słysząc zresztą polityczne chóry grzmiące, że kanclerz Helmut Kohl też cztery razy wygrał wybory, ale podczas swej czwartej kadencji musiał podać się do dymisji – okazało się, że nad Europą, trawestując Marksa, krąży widmo „narodowego populizmu” i nie ma sensu dyskutować o unijnych reformach. Dlaczego? Bo przecież mogłoby się to stać wyborczym paliwem dla euronegatywistów, eurosceptyków, eurorealistów – a więc wrogów Permanentnego Postępu. Odłożono zatem dyskusję do wyborów europejskich, które odbyły się wiosną 2019 roku, i w ich wyniku zwiększyły się szeregi tych, którzy w Parlamencie Europejskim „nie klękają przed Brukselą” i nie zawsze stają na baczność na okoliczność hymnu Unii.

► Niemcy bez rządu, czyli europejska sensacja

Euroentuzjastyczny mainstream zachował jednak większość. Co prawda olbrzymie straty poniosły dwie najważniejsze europejskie rodziny polityczne, czyli chadeccy (choć akurat to miano – czyli chrześcijańskich demokratów – pasuje do tej formacji jak pieść do nosa i wół do karety) i socjaliści. Ci pierwsi, czyli Europejska Partia Ludowa, stracili aż jedną trzecią mandatów, ci drudzy, czyli lewica (oficjalna nazwa: Socjaliści i Demokraci), solidarnie też stracili jedną trzecią. Jednak ich wyborcy tylko w pewnym stopniu zagłosowali na znajdujące się na drugim biegunie politycznym formacje eurorealistyczne czy eurosceptyczne. Główne przesunięcie głosów poszło w kierunku liberałów, którzy mimo wyraźnej stagnacji w strefie euro zyskali o połowę więcej niż to, co mieli. Ten trzeba przyznać imponujący wzrost dokonał się w wyniku akcji politycznej Macrona, który dość bezceremonialnie, ewidentnie naruszając suwerenność poszczególnych krajów członkowskich UE, wspierał swoich politycznych kuzynów. Zażądał zmiany nazwy z ALDE (czyli Sojusz Liberałów i Demokratów) na Renew, co samą nazwą („Odrodzenie”) sugerowało nową polityczną jakość. Zyskali też bardzo mocno Zieloni, którzy dla bardziej centrowych wyborców stali się alternatywą „oficjalnych wrogów ludu”, czyli narodowej eurosceptycznej prawicy. Dalszej marginalizacji ulegli postkomuniści.

► Rodacy kontra von der Leyen

Niemniej ważna od liczby „szabel” w Parlamencie Europejskim jest też geografia politycznego przywództwa. Dotychczas w praktyce przez ostatnich 15 lat dwie główne frakcje polityczne były kierowane przez Niemców – bądź formalnie, bądź faktycznie. W EPL karty rozdawała CDU-CSU, u socjalistów – SPD. Można więc rzec, że „wielka koalicja” ludowców i lewicy w PE, funkcjonująca w Brukseli i Strasburgu parędziesiąt lat z rzadkimi wyjątkami (choćby w latach 1999–2004, gdy w okresie przed rozszerzeniem UE europarlament rządzony był większością chadecko-liberalną), przez ostatnie półtorej dekady była przede wszystkim sojuszem decyzyjnym dwóch głównych niemieckich sił politycznych. To, co Niemcy, generalnie rzecz biorąc, ustalili, tak było. Gdy podczas prezydentury Niemiec w 2007 roku na sesji w Brukseli głos najpierw zabierał przedstawiciel rządu RFN, potem wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej Niemiec Guenther Verheugen, następnie Hans-Gert Poettering jako przewodniczący frakcji EPL, a wreszcie Martin Schulz jako lider socjalistów, zabierający głos po czterech niemieckich mówcach li-

der liberalów – Brytyjczyk Graham Watson na początku ironicznie przeprosił, że „nie będzie mówił językiem Teutonów”.

► Byle nie Timmermans...

I to akurat się zmieniło. Po pierwsze, po klęsce wyborczej SPD w wyborach europejskich w maju 2019 roku i relatywnym sukcesie rządzących hiszpańskich socjalistów Pedro Sancheza władzę we frakcji lewicy, będącej wciąż „numerem dwa” w PE, przejęli po 15 latach i czasach Barona Crespo – Hiszpanie. Po drugie, po raz pierwszy chyba w historii Parlamentu Europejskiego od 1979 roku (czyli od pierwszych bezpośrednich wyborów do tej instytucji) doszło do tak głębokiego pęknięcia w łonie niemieckiej reprezentacji w PE. Objawiło się to z całą mocą, wręcz spektakularnie, dosłownie parędziesiąt godzin po inauguracji nowej kadencji europarlamentu, w pierwszych dniach lipca 2019 roku w Strasburgu. Dla obserwatorów zewnętrznych było to o tyle sensacją, że do tego rozłamu doszło podczas głosowania na szefa Komisji Europejskiej, a na to stanowisko po pół wieku (!) kandydował polityk niemiecki. Ursula Gertrud von der Leyen, z domu Albrecht, córka byłego premiera Dolnej Saksonii, została poparta przez europosłów CDU-CSU oraz przez większość niemieckich liberalów (ale nie wszystkich). Przeciwko własnej rodaczce gremialnie zagłosowali, wcześniej to publicznie deklarując, deputowani z SPD, część liberalów, Zieloni i postkomuniści. Paradoksem jest, że była niemiecka minister obrony, wcześniej minister pracy, a jeszcze wcześniej minister do spraw rodziny, osób starszych, kobiet i młodzieży Niemiec, wygrała najważniejsze w swoim życiu głosowanie ledwie ośmioma głosami – i były to głosy europosłów z Polski, w tym także z Prawa i Sprawiedliwości. Był to efekt chłodnej kalkulacji politycznej Jarosława Kaczyńskiego, który uznał, że porażka Niemki prawdopodobnie może spowodować powrót kandydatury na szefa KE utraconego dosłownie 40 godzin wcześniej Holendra Fransa Timmermansa. A ten kandydat socjalistów swój polityczny kapitał od lat budował na atakach na Polskę. Dodajmy do tego jeszcze „zmianę warty” u europejskich liberalów, gdzie antypolskiego Guya Verhofstadta zastąpił mało wyrazisty, ale w stu procentach posłuszny Macronowi były rumuński premier i eurokomisarz do spraw rolnictwa Dacian Ciolos. Francuzi przejęli polityczną kontrolę nad trzecią co do wielkości grupą polityczną w PE i wcale się z tym nie kryją. Podczas głosowania poprawki do jednej z rezolucji uderzającej we francuskie władze, zgłoszonej przez czeskiego posła Tomasza Zdechowskiego, gdy trzeba było bronić interesu Paryża, przewodniczą-

cy frakcji liberalów dał znać i niemal wszyscy eurodeputowani Renew wstali, wykorzystując w ten sposób możliwość formalnego zablokowania owej ustnej poprawki.

Cóż, w europarlamencie z definicji nie ma podziału na delegacje narodowe, ale interesy narodowe zawsze były, są i będą – nikt nie udaje, że jest inaczej.

► Koronawirus: Unia rządzona przez bezradność

Ta szeroka panorama unijnej sceny politycznej była potrzebna, aby pokazać, w jakim stanie zastało Unię Europejską największe wyzwanie dla Starego Kontynentu od II wojny światowej – czyli zaraza XXI wieku. UE okazała się całkowicie nieprzygotowana na taki dramat. Początkowo uznano, iż jak nie będzie nazywało się problemu po imieniu, to ten problem przestanie istnieć. Zamilczanie koronawirusa jakoś nie pomogło. Unia pokazała swoją totalną bezradność, nie reagując na czas, nie przygotowując w praktyce żadnych działań transgranicznych – bo za realne działania trudno uznać cykliczne spotkania ministrów zdrowia UE-27, które często kończyły się zupełnie bezkonkluzyjnie. Unia wpadła we własne sidła, wcześniej zastawiane na poszczególne państwa członkowskie: wymiar sprawiedliwości nie leży w kompetencjach UE, ale przez ostatnie pięć lat Bruksela w tej sprawie stawiała Polskę pod ścianą, uzurpując sobie w tym zakresie prawa, których przecież nigdy nie miała. Unia obchodziła traktaty, aby pokazać swój polityczny „power”, a gdy doszło do pandemii, ta sama Unia schowała, niczym struszą głowę w piasek. Tyle że już teraz nie pomogą tłumaczenia, iż przecież zdrowie nie leży w kompetencjach UE. Sprawiedliwość też przecież nie leży....

Państwa narodowe bardzo dobrze, jak na przykład Polska, Czechy czy Dania, zdały egzamin. Szezeg innych – gorzej lub dużo gorzej. Jednak, jak to podkreślił socjalista i euroentuzjasta, były szef SPD i wicekanclerz RFN Siegmur Gabriel, „podczas pandemii Unia kompletnie nie zdała egzaminu”. Nie dziwmy się, że teraz szefowa Komisji Europejskiej średnio raz na tydzień przeprosza za Unię. Nie dziwmy się, że we Włoszech notuje się najniższe od 63 lat, czyli od samego początku istnienia EWG, poparcie dla instytucji europejskich – na poziomie 30 proc.

UE jest zatem na być może najtrudniejszym zakresie w swojej historii. Problem jest tym większy, że Europejczycy – Polacy, Hiszpanie, ale też na przykład Francuzi – nie ufają tym, którzy siedzą za kierownicą europejskiego samochodu... ■



Marcin Wolski

Ostatnia walka pieniacza

O dzisiejszej opozycji, a ściślej mówiąc o jej twardej jądrze (lewica i PSL, rozgrywając swe drobne geszefty, zachowuje się raczej racjonalnie), można powiedzieć, że gdyby nie szkodliwość jej działań, wzbudzałaby wyłącznie politowanie. Ilość samobójczych bramek przekroczyła możliwości wszystkich meczy ligowych, a końca nie widać. Zwolennicy teorii spiskowych mogą śmiało głosić, że gdzieś w jej centrum musi działać jakiś genialny agent PiS-u, konsekwentnie prowadzący od przegranej do przegranej. Tylko kto miałby nim być, skoro Miś Kamiński zdezerterował do PSL? Sam Borysław Budka, który ma aparycję Gomułki (przez Szpotkańskiego nazywanego Gnomem), gada jak

mógł być momentem zmiany krytyki negatywnej w konstruktywną. Ale wściekłość każe atakować Szumowskiego i Morawieckiego – a przecież wystarczy zestawić sukcesy w zwalczaniu epidemii wiodących rządów na Zachodzie z naszym zaścianiem. Pojedyncze potknięcia (któż ich nie popełnia) wyolbrzymiane są nad miarę, choć liczby mówią same za siebie. Rozpacзлиwa walka przeciw wyborom, straszenie śmiercią w kopertach – w tym celuje doktor medycyny Grodzki – może przerażać, ale jedynie ogromem głupoty. Obawiam się, że przełożenie wyborów na sierpień spowodowałoby tylko, że akcje pani Kidawy spadłyby do zera, a do zamiany jej na kogokolwiek opozycja nie wydaje się zdolna. Podobnie irracjonalne jest do-

HISTORIA POWTARZA SIĘ PRZEWAŻNIE JAKO FARSA. WYSTARCZY PORÓWNAĆ GRUDNIOWY PUCZ JARUZELSKIEGO Z WIGILIJNYM PUCZYKIEM PANA SCHETYNY I PETRU. DLATEGO NIE LICZYŁBYM, DROGA OPOZYCJO, NA JAKIŚ ZAMACH MAJOWY BIS.

Rakowski, a myśli jak Bierut. Człowiek, przy którym Schetyna wygląda jak mąż stanu, a nieboszczyk Lepper jak intelektualista. Błądzić jest rzeczą ludzką, powiada Pismo, natomiast dopiero trwanie w błędzie jest grzechem niewybaczalnym. Od pięciu lat widać, że atak totalny nie działa i logicznie należałoby go zamienić na selektywny, ale nic z tego. Żadna klęska nie zmienia zasady: „więcej tego samego!”. Upór, zacietrzewienie i działania kierowane wściekłością przywodzą działania człowieka, który wpadł w bagno i zamiast czekać na ratunek, wykonuje nerwowe ruchy. Co gorsza, wszelkie założenia biorą się z pogardy do własnego społeczeństwa, które jest uważane za idiotów (zgoda, kiedyś mógł być w tym sens, skoro przez osiem lat głosowało na Platformę Obywatelską), ale naród w odróżnieniu od PO czegoś się uczy i wyciąga wnioski nawet bez pomocy Telewizji Publicznej.

W dodatku wszelkie ataki kierowane są w miejsca (i ludzi), gdzie Dobra Zmiana jest wyjątkowo silna. Na przykład w programy socjalne. Również czas pandemii

maganie się wprowadzenia stanu klęski – nazwijmy go po imieniu stanem wyjątkowym. Przecież gdyby Kaczyński był choć w jednej setnej takim dyktatorem, jakim go malują w „Newsweeku”, wykorzystalby podsuwane możliwości. Czy tak trudno zawiesić swobody, rządzić dekretemi i przedłużać kadencje władz w nieskończoność? Szkodników i warcholów można wysłać do miejsc internowania, TVN upaństwowić, a „Gazetę Wyborczą” zaorać. (Ach, pomarzyć! Co zrobić z Sądem Najwyższym? – nie powiem, bo się brzydzę!). I pewnie gdyby premierem był ktoś z totalsów, nie zawahałby się tego zrobić. Tyle że historia powtarza się przeważnie jako farsa. Wystarczy porównać grudniowy pucz Jaruzelskiego z wigilijskim puczykiem pana Schetyny i Petru. Dlatego nie liczyłbym, droga opozycjo, na jakiś zamach majowy bis. Choćby dlatego, że Naczelnik gra w przeciwną drużynę. Tedy plujcie, kopcie, szkodźcie, pakujcie kij w sprzchy i piasek w tryby, a – powiem, jakby rzekł dziś Piłsudski – „Gównono to wam da!”.



Piotr Lisiewicz

Olimpijczyk znikąd, czyli Sokole Oko polskiego wywiadu

W 1936 roku w Berlinie trwała Olimpiada, nazwana później igrzyskami Hitlera. Na strzelnicy pojawił się zawodnik, o którym nikt wcześniej nie słyszał. Polak Władysław Karaś nigdy nie startował bowiem w żadnych zawodach ogólnokrajowych ani międzynarodowych. Do igrzysk przygotowywał się... sam. I oto 64 strzelców oddaje z 50 metrów w pozycji leżącej po 30 strzałów do tarczy. Norweg Willy Røgeberg osiąga niebotyczny wynik 300 punktów – same dziesiątki. Karaś z 296 punktami zdobywa pierwszy w historii Polski olimpijski medal w strzelectwie. Surrealizm sytuacji oddaje fakt, że na miejscu nie ma... ani jednego polskiego reportera, bo nikt nie spodziewał się sukcesu. Nikt nie wie też, że medalista nosi i nosić będzie wiele nazwisk. „Władysław Dąbrowski”, „Pankracy”, „Karczewski”, „Włodzimierz Kuryłło” – to niektóre z nich. Medalista Olimpiady ma też za sobą karę śmierci oraz kilka pobytów w więzieniu. A stalowe nerwy 43-letni debiutant kapitan Karaś zawdzięcza służbie w Dwójce, czyli polskim wywiadzie.



Lektura ówczesnej prasy pokazuje, że dziennikarze są kompletnie ogłupieni. Jednym z reporterów jest najsłynniejszy polski sportowiec Janusz Kusociński, który, nie mogąc startować w Olimpiadzie z powodu kontuzji, pisze relacje dla „Przeglądu Sportowego”. Jego tekst zatytułowany jest „Poznajmy naszego medalistę kpt. Karasia – mistrza w strzelaniu” („Przegląd Sportowy”, nr 71/1936).

► **Medalista Olimpiady: urządziłem prymitywną strzelnicę i pukałem w wolnych chwilach**

„Ze sportem strzeleckim zapoznałem się stosunkowo niedawno” – mówi Kusocińskiemu sprawca największej sensacji w historii polskiego strzelectwa. Opowiada, że ostatnio strzelał sobie trochę w czasie wakacji. „Urządziłem tam sobie prymitywną strzelnicę i pukałem, kiedy miałem wolną chwilę” – wyjaśnia, zapewne nieźle się bawiąc. Tłumaczy, że z wyniku nie jest zadowolony, bo liczył nie na 296, a na 298 punktów. Pojedynkę o srebrny medal z renomowanym Węgrem Berzesenym przegrał dopiero po dogrywce. I „przrzeka poprawę miejsca przy następnej okazji”.

Zaskoczony Kusociński pisze: „O trzecim miejscu na Olimpiadzie nie wypada tak mało pisać, jakby chodziło o zwyczajnego patalacha, który zginął gdzieś w przedbojach. A tem więcej trzeba pisać o kapitanie Władysławie Karasiu, który zdobył medal olimpijski w tak odległej dla przeciętnych sportowców dziedzinie, jaką jest strzelanie”.

Nie mniej zdziwiony jest reporter „Gazety Polskiej”, który stwierdza: „Jest to sukces tem bardziej dla nas cenny, że kpt. Karaś został odkryty dopiero na eliminacjach przedolimpijskich i nigdy jeszcze dotąd nie brał udziału ani w krajowych zawodach strzeleckich, ani tem bardziej zagranicznych”.

Wydawałoby się, że o tym akurat zawodnikowi powinien coś wiedzieć reporter „Polski Zbrojnej”, ale i ten jest zaskoczony. „Stało się tak, iż o wspólnym sukcesie strzelca polskiego Władysława Karasia dowiedzieliśmy się dopiero z komunikatu, wywieszonego w olimpijskim biurze prasowym. Zapomnieliśmy – trzeba położyć rękę na sercu – o naszych strzelcach w momencie, kiedy na Poststadion piłkarze polscy walczyli z angielskimi” – tłumaczy dziennikarz Wiktor Junosza. Zawodów nie widział, więc improwizuje na pędce: „Ile trzeba było opanowania nerwów, ile upartej zawziętości, ile wytrzymałości moralnej i fizycznej, by wywalczyć ten brązowy medal! Wynik i w ogóle, i w szczególności – w warunkach olimpijskiego napięcia nerwów – fenomenalny”.

► **„Wzmocnił wiarę Polaków w siłę obronną państwa”**

Redaktor Junosza, nie tylko dziennikarz, lecz także pisarz sportowy oraz wieloletni kierownik Referatu Wychowania Fizycznego w Wydziale Wyszczolenia Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego, jest profesjonalistą, więc wie, że z tego sukcesu, który osiągnął kapitan Wojska Polskiego, powinien zrobić odpowiednią propagandę (wtedy słowo to nie miało tak negatywnych jak dziś konotacji) dla polskiej obronności.

Peroruje więc pięknie: „To już tak jest: są sporty widowiskowe, porywające widza, są inne, których urok jest ukryty, z którymi się trzeba czynnie zapoznać, by w całej pełni zrozumieć ich piękno. Do takich należy sport strzelecki. Dlatego w Wannsee nie ma dziesiątków tysięcy rozegzaltowanej publiczności, są tylko setki »swoich«, ale za to prawdziwych znawców, którzy przychodzą nie gapić się, a »smakować«. Owszem, wszyscy wiedzą, jak ważne jest dla każdego kraju posiadanie jak największej ilości dobrych strzelców, lecz w większości wypadków ludzie zadowolają się stwierdzeniem tej potrzeby, sami jednak nic nie robią, by ilość strzelców powiększyć”.

I czas na morał: „Ten, nie szukający reklamy, wysiłek dał nam jednak medal, dał satysfakcję ujrzenia sztandaru polskiego na maszcie głównego stadjonu, ten wysiłek wpływem swym sięgając daleko poza sfery czysto sportowe – wzmocnił wiarę wszystkich Polaków w siłę obronną państwa, w sprawność obronną narodu”.

► **Strzelał nie tylko do tarczy, lecz także do bolszewików**

W rzeczywistości nie było tak, by kapitan Karaś trenował tylko w szopie na wakacjach. Jak czytamy w książce „Sportowcy dla Niepodległej”, rok wcześniej, w październiku 1935 roku, odbył się towarzyski mecz między Państwowym Urzędem Wychowania Fizycznego a Związkiem Strzeleckim w konkurencji karabinka małokalibrowego. Wygrał on te zawody i wtedy ktoś zaproponował, by przed Olimpiadą postawić na kapitana Karasia. Dostał urlop i przez całą zimę trenował na strzelnicy Związku Strzeleckiego przy ul. Zielenieckiej w Warszawie, naprzeciwko parku Skaryszewskiego.

„Strzelaniem zajmował się przecież tylko dorywczo, w pułku i w związku w czasie ćwiczeń. Ze wszystkich sportów najbliższe było mu dotąd narciarstwo” – czytamy w książce „Sportowcy dla Niepodległej”. Ale tak naprawdę Karaś przez lata ćwiczył strzelanie nie tylko do tarczy, lecz także do

bolszewików i innych wrogów Polski. Wszak gdy w wieku 43 lat debiutował w sporcie strzeleckim, miał już na swoim koncie Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari, Krzyż Walecznych oraz Krzyż Niepodległości z Mieczami...

Władysław Karaś urodził się 31 sierpnia 1893 roku w Kielcach. Z PPS związał się, mając zaledwie 14 lat. Zapewne wpływ na to miał fakt, że jego starszy brat Stanisław, ps. Witold, był członkiem Organizacji Bojowej PPS. A to nie były żarty. Utworzona przez Polską Partię Socjalistyczną w kwietniu 1904 i działająca do 1911 roku struktura zbrojna miała oficjalnie na celu ochronę działalności rewolucyjnej PPS, jej demonstracji i spotkań. Ale przeprowadzała też szereg akcji zbrojnych, likwidując funkcjonariuszy i współpracowników rosyjskich władz okupacyjnych Królestwa Polskiego. Dokonywał licznych wywłaszczeń na potrzeby działalności niepodległościowej i rewolucyjnej. W szczytowym okresie liczyła około 6500 bojowców. Stanisław za działalność w niej został aresztowany i skazany na „wieczne zesłanie na Syberię”.

Stanisław i Władysław byli synami Szymona i Anny Domagałło-Dąbrowskiej. Zaangażowanie patriotyczne w przypadku Władysława nie sprzyjało zaliczaniu kolejnych etapów edukacji w terminie. W latach 1907–1912 uczęszczał do kieleckiej Szkoły Handlowej, już w pierwszej klasie zaangażował się w konspirację.

W 1912 roku jako 19-latek był już zagrożony aresztowaniem, więc uciekł z Kielc do galicyjskiego Lwowa, gdzie przystąpił do nauki w Szkole Realnej, ale znów nie na długo. Zaangażował się bowiem w działalność Związku Strzeleckiego i ukończył kurs podoficerski.

► Łowczówek i Kostiuchnówka

W 1914 roku wstąpił do Legionów, do Pierwszej Brygady, w której służył w 1. i 5. pułku piechoty do 1918 roku, z dwiema przerwami na rosyjską niewolę. Dwa razy był ranny – w bitwach pod Łowczówkiem i pod Kostiuchnówką. W efekcie dwa razy był też w niewoli – od 26 grudnia 1914 do 28 czerwca 1915 roku oraz od 7 lipca 1916 do 14 lipca 1917 roku. I również dwa razy udało mu się z niej zbiec.

„Ogień artylerii, z nieznaną nam dotąd potęgą szalejąca na naszych okopach, masowe ataki nieprzyjaciela, przebijanie się bagnietem przez piechotę wroga, masowe również szarże kawalerii rosyjskiej, wreszcie odwrót w nadzwyczajnie ciężkich warunkach – oto, cośmy przeszli w ciągu kilku dni” – pisał o Kostiuchnówce w rozkazie z 11 lipca Józef Piłsudski. I tak oceniał jej skutki: „Dumny jestem z zachowania się I Brygady w tych bojach pod Kostiuchnówką, chcę zaś wierzyć, że każdy z nas, jak to prawemu żołnierzowi przystoi, wy-

niósł z tych dni dużo doświadczenia i nauki, gdy tyle dla siebie nowych rzeczy widział, w tylu nowych formach boju brał udział. W kilka dni takiego boju rekrut staje się starym wiarusem, który ma co wspominać i czego uczyć drugich”.

Jan Lechoń w wierszu „Polonez artyleryjski” pisał o Kostiuchnówce:

*Słyszycie! Z cicha, z cicha, z cicha
Warkotem, bez ustania
Na miły Boga! Czy ziemia wzdycha?
Pułk się za pułkiem w śmierć przepycha*

*To artyleria nasza licha
Dziś puka od świtania
Ani się pyta kto dziś z nami,
Bateria wścieklej stali
To major Bizzoza kartaczami w moskiewskie pułki wali!*

Bitwa pod Kostiuchnówką miał bardzo wymierne skutki. 5 listopada cesarz niemiecki i austro-węgierski wydali akt zawierający obietnicę powstania Królestwa Polskiego oraz utworzenia armii polskiej. Jan Sadowski pisał: „Bój pod Kostiuchnówką jest jedną z przyczyn, które wywołały akt 5 XI 1916 roku ze strony Niemiec i Austrii. Akt ten zmusił z kolei rewolucyjny rząd Aleksandra Kiereńskiego do uznania niepodległości Polski. Oświadczenie Kiereńskiego rozwiązało ręce aliantom, umożliwiając im wstawienie sprawy niepodległości Polski jako jednego z punktów do swego programu. Pomimo że nie widać jej na zewnątrz, istnieje jednak nić, która snuje się od rozbitych granatami wzgórz kostiuchnowskich do odległego Wersalu”.

Po drugiej ucieczce z rosyjskiej niewoli Karaś wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej POW i został oficerem do specjalnych zleceń w Komendzie Naczelnej nr 3 POW Wschód Ukraina w Kijowie. Od 1 czerwca 1918 roku związany był ze służbą w polskim wywiadzie. O tym czasie służby Władysława Karasia wiemy z pewnością nie wszystko, bo w niepodległej II Rzeczypospolitej kazano o niej milczeć, gdyż wywiadowcza walka z komunistami trwała w najlepsze.

► Wielkość pozbawiona skazy uznania

Komenda Naczelna nr 3 POW Wschód Ukraina w Kijowie w skrócie nazywana była „K.N.III”. Niewiele znaleźć możemy o niej w internecie, wydaje się, że w polskiej świadomości niesłyszane bohaterstwo i zasługi K.N.III pozostają wciąż białą plamą. Zastępcą komendanta w K.N.III był Henryk Józewski, później jeden z najbardziej zaufanych ludzi Marszałka.

Józewski był potem, w czasach PRL, jednym z Żołnierzy Wyklętych, do 1953 roku, przez osiem lat, ukrywając się skutecznie, jak przystało na starego konspiratora, choć miał już 61 lat. Złapany, został skazany przez komunistyczny sąd na dożywocie, ale po 1956 roku wyszedł na wolność. Zmarł w 1981 roku, a rok później w „Zeszytach Historycznych” paryskiej „Kultury” ukazało się jego wspomnienie o K.N.III, w której służył Władysław Karas. Prowadziła ona działalność wywiadowczą na terenie Ukrainy, Białorusi i Rosji, a jej informacje – jak można zrozumieć – miały bardzo istotne znaczenie dla polskiej niepodległości. K.N.III była dziełem studentów. Jak pisał Józewski, po prostu studencka Filarecja Kijowska, wzorowana na polskiej Filarecji Wiedeńskiej, „z czasem przyjęła postać K.N.III”.

O tym, czym była K.N.III, nie mówiono głośno w II RP. Bo walka polskiego wywiadu z Sowietami trwała. Józewski pisał: „O nazwiskach poległych żołnierzy K.N.III nie usłyszymy na uroczystych werblach za poległych żołnierzy polskich, nie padną słowa »poległ na polu chwały«”. O tym, że był założycielem i ostatnim komendantem tej formacji, pisał: „Jest to najbardziej zaszczytne stanowisko, jakie w życiu zajmowałem”. Stwierdzał, iż „w pewnym sensie wielkość K.N.III stała się wielkością znieważoną i właśnie dlatego tym większą, bo pozbawioną skazy »uznania«”.

Dla K.N.III opanowanie Kijowa przez bolszewików po rewolucji październikowej było dramatem, naznaczonym śmiercią wielu polskich patriotów. „Znaleźliśmy się w zamkniętym kotle bolszewickiego terroru. Przychodziło mi nieraz na myśl, że znajdujemy się na dnie oceanu. Nad naszymi głowami przelewają się olbrzymie masy wody – nie do przebycia – dopiero nad nimi unosi się firmament ludzkiego wolnego świata” – taki opis podpowiadała mu jego malarska wyobraźnia. Jak stwierdzał, gdy w 1920 roku „wyprawa kijowska” wkraczała do tego miasta, K.N.III „była krwawym strzępem”.

► Wywiad ofensywny i bezpośrednia walka

Co wiemy o losach Władysława Karasia z tego czasu? To ważne, bo „za czyny w byłej POW na Wschodzie (KN III)” Naczelný Wódz dekretem z 17 maja 1922 roku odznaczył go Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari. Formalnie pełnił funkcje komendanta składów broni i transportów, kierownika referatu organizacyjnego oraz adiutanta komendanta.

Wiadomo, że podczas jednej z akcji z 24 września 1918 roku został zatrzymany z transportem materiałów wybuchowych, przekazany Niemcom i skazany na karę śmierci. Ale 29 listopada został zwolniony z niemieckiego więzienia i powrócił do działalności w POW na

Ukrainie. Do 26 grudnia 1919 roku kierował sekcją wywiadu ofensywnego przy dowództwie Oddziału II Frontu Wołyńskiego. Zdekonspirowany powrócił do kraju i rozpoczął służbę stałą w Wojsku Polskim. Otrzymał „pochwałę i uznanie za prowadzony wywiad, bezpośrednią walkę i szybkie przekazywanie wiadomości o nieprzyjacielu”.

► Dywersja pozarfrontowa

„O niepodległości się nie dyskutuje – niepodległości się broni. Kto tego nie czyni – skazuje państwo na śmierć” – mówił pułkownik Ignacy Matuszewski, szef Dwójki w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Stwierdzał też, że „bez wielkiej Polski nie ma i nie będzie ładu w Europie. Polska leży między dwoma olbrzymimi ludami, opętanymi przez demony”.

O tym, czym zajmował się Karas jako oficer polskiego wywiadu w czasach II RP, również mamy szczątkową wiedzę. W 2010 roku tekst o nim ukazał się w piśmie „Strzelectwo Sportowe. Kwartalnik Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego” (nr 2/2010, s. 15). Jego autor Marian Ożóg wymienia szczegółowo, na podstawie archiwów, funkcje sprawowane przez Karasia w II RP. W Oddziale II, czyli wywiadzie, był on na początku kierownikiem referatu. Pełnił też służbę w 5. pułku Legionów a także w ekspozyturze nr 1 (Wilno) Dwójki, jako kierownik referatu. Miał być nim do 30 grudnia 1924 roku. Potem ponownie trafił do 5. pułku Legionów, gdzie pełnił służbę do 28 marca 1930 roku.

Ożóg pisze o jego zaletach, odnotowywanych przez dowódców – wysoko ceniona była jego znajomość języków obcych, topografii ościennych państw i wiedza specjalna z zakresu „automobilizmu i strzelania”. Od 28 marca do 15 września 1930 roku Karas służył w Brygadzie Korpusu Ochrony Pogranicza Wołyn jako pierwszy oficer sztabowy Brygady oraz p.o. szefa sztabu Brygady. KOP pełnił także funkcje wywiadowcze. W okresie od 15 września 1930 do lipca 1935 roku Karas pełnił funkcję inspektora w Państwowym Urzędzie Wychowania Fizycznego i Przystosowania Wojskowego.

Jednocześnie w ramach przydziału specjalnego w Oddziale II Sztabu Głównego zajmował się organizacją dywersji pozarfrontowej na terenach okręgów: DOK nr II w Lublinie oraz DOK nr VI we Lwowie. Już przed wyjazdem na Igrzyska Olimpijskie w Berlinie Karas kierował referatem ekspozytury nr 2 (Warszawa) przy oddziale II Sztabu Głównego. Funkcję tę pełnił aż do 17 lipca 1939 roku.

► Po Olimpiadzie poszedł za ciosem

By zrozumieć pomysł zaangażowania kapitana Karasia w strzelectwo sportowe, warto przypomnieć losy

tej dyscypliny sportu w II RP, w jej początkach mocno niedocenianej.

Ważnym momentem w historii sportu strzeleckiego było utworzenie 8 maja 1932 roku Naczelnej Rady Strzelectwa Sportowego w Polsce. Najlepszych strzelców w 1932 roku przyjął na Zamku prezydent Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki. Na rozwój strzelectwa w Polsce duży wpływ wywarła praca Komendy Głównej Związku Strzeleckiego. Ujednoliciła ona regulaminy poszczególnych strzelan i zawodów, organizowała systematycznie strzeleckie mistrzostwa Polski, ustanowiła odznakę strzelecką. Związek Strzelecki czynił ciągle wysiłki zmierzające do budowy nowych strzelnic, obniżki cen na broń i amunicję oraz wprowadzenie do produkcji krajowej broni strzeleckiej taniej, lecz o międzynarodowym standardzie. W propagandzie eksponowane było hasło „strzelectwo to sport obrony narodowej”.

Decyzja o utworzeniu Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego zapadła na plenarnym posiedzeniu Naczelnej Rady Strzelectwa 5 marca 1933 roku. Komisja techniczna związku doprowadziła w marcu 1933 roku do powołania „Komitetu Budowy Reprezentacyjnej Strzelnicy w Warszawie im. Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego”. Na czele Komitetu stanął generał brygady Stanisław Roupert.

Po zdobyciu pierwszego w historii polskiego strzelectwa medalu olimpijskiego Karaś zapowiedział, że będzie poprawiał swój wynik, i dotrzymał słowa. W piśmie „Strzelectwo Sportowe” Marian Ożóg wymienia katalog jego sukcesów. Czytamy, iż po igrzyskach nasz medalista wystartował w zawodach w stolicy Niemiec. W swej konkurencji indywidualnej był drugi wynikiem (294 punkty), takim samym jak zwycięzca Szwed Karl A. Larsson. Trzecie miejsce zajął kolejny A. Pachla (293 punkty), a siódme – następny z rodaków J. Wrzosek (289 punktów). Zespołowo Polska zwyciężyła (876 punktów).

Karaś startował w XII Narodowych Zawodach Strzeleckich w Wilnie. W lipcu 1937 roku, w Międzynarodowych Korespondencyjnych Zawodach Strzeleckich, startując w barwach drużyny WKS Legia Warszawa, uzyskał 393 punkty (na 40 strzałów), a w październiku – w III Międzynarodowych Korespondencyjnych Zawodach Strzeleckich o nagrodę Niemieckich Kolei Państwowych – zdobył 386 punktów. W 1938 roku został powołany do kadry olimpijskiej przed XII Igrzyskami Olimpijskimi w 1940 roku. Ale na przeszkodzie miała stanąć wojna...

► Wiele pseudonimów i trudna walka

We wrześniu 1939 roku i w kolejnych miesiącach Karaś wielokrotnie przekraczał granicę i działał pod różnymi nazwiskami. We wrześniu został przenie-

siony jako pracownik Wydziału Specjalnego (dywersja pozafrontowa) Oddziału II Sztabu Głównego do Budapesztu. W lutym 1940 roku wrócił do kraju z poleceniami do organizacji konspiracyjnych w Warszawie i Krakowie. Kierował dywersją w utworzonym w Krakowie sztabie Obszaru Kraków-Slask Związku Walki Zbrojnej pod pseudonimem Dąbrowski. Od kwietnia 1940 roku został szefem Związku Odwetu Obszaru Kraków-Slask ZWZ. Brał udział w tworzeniu tajnej organizacji konspiracyjnej pod nazwą Organizacja Orła Białego. Późną jesienią 1940 roku został aresztowany. Przez dwa miesiące więziony był na Montelupich.

Ale został uwolniony, prawdopodobnie wykupiony z więzienia. Na początku 1941 roku pod pseudonimem Pankracy był kierownikiem referatu „Reich” Związku Odwetu Komendy Głównej Armii Krajowej. 23 kwietnia 1942 roku aresztowano go jako Włodzimierza Kuryłło. Był więziony na Pawiaku. Czy Niemcy wiedzieli, z kim mieli do czynienia? Czy wiedzieli, kogo skazywali na śmierć? Tego do dziś nie wiemy.

► Zbrodnia w Lesie Sękocińskim

W nocy z 27 na 28 maja 1942 roku odbyła się masowa egzekucja więźniów Pawiaka w Lesie Sękocińskim koło Magdalenki. Wcześniej 220 więźniów zgromadzono na oddziale. W ulewną noc Niemcy przystąpili do formowania transportu. Według relacji w wielkim pośpiechu, przy akompaniamencie krzyków i bicia, więźniów wyprowadzano z cel na korytarz. Potem ładowano ich do samochodów ciężarowych. Nie pozwolono im ani się ubrać, ani zabrać osobistych rzeczy i jedzenia na drogę. Więźniowie Pawiaka zorientowali się, że nie będzie to raczej transport do obozu koncentracyjnego. Z informacji, które więźniowie Pawiaka uzyskali potem od ukraińskich strażników, wynikało, że grupka skazańców z majorem Romanem Kukielfo na czele rzuciła się z gołymi pięściami na uzbrojonych w broń maszynową katów.

Egzekucja trwała od godziny trzeciej w nocy do czternastej następnego dnia, a mieszkańcy Magdalenki oraz pobliskich wsi Lesznówola i Łazy słyszeli dochodzące z lasu odgłosy strzałów. Funkcjonariusze SS rozstrzelali w Lesie Sękocińskim 223 osoby – w większości członków ruchu oporu oraz przedstawicieli polskiej inteligencji.

Po wojnie ciała rozstrzelanych zostały ekshumowane i rozpoznane. Władysław Karaś spoczywa w grobie rodzinnym, wraz z żoną Felikszą, porucznikiem Armii Krajowej, na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie – kwatery: A5-tuje-1. ■

Kapłan, który odważnie wyznawał wiarę

Dariusz Jarosiński



**Ksiądz Blachnicki
był tytanem pracy
duszpasterskiej,
wielkim organizatorem,
człowiekiem
o niezwyklej energii,
dysponującym
niespotykaną siłą
charakteru, dla
którego nie było rzeczy
niemożliwych do
zrealizowania, o ile
miały służyć Bogu
i ludziom. Należał
też do najbardziej
prześladowanych
i znienawidzonych
kapłanów w czasach
PRL-u – komuniści
bali się jego
ogromnego wpływu na
wychowanie polskiej
młodzieży w duchu
wolności i solidarności.**

W przyszłym roku będziemy obchodzili 100. rocznicę urodzin księdza Franciszka Blachnickiego, twórcy Oazy, Ruchu Światło-Życie. Bez względu na to, jak oceniamy ten ruch pod względem teologicznym, co jest sprawą nie bez znaczenia, szczególnie dla tradycjonalistów Kościoła katolickiego, nie można nie zauważyć, że w latach 70. i 80. ubiegłego wieku odegrał on bardzo ważną rolę w kształtowaniu postaw moralnych, patriotycznych, świadomości polskiej młodzieży. Zmienił oblicze Kościoła katolickiego w Polsce. Nawet tradycjonałści Kościoła katolickiego, powątpiewający w trwałość religijności budowanej na emocjach w Oazie, obawiający się o protestantyzację katolicyzmu, widzą w tej formie duszpasterstwa fenomen. Ksiądz Blachnicki korzystał z doświadczeń zachodnich ruchów odnowy Kościoła – przenosił na grunt katolicki sprawdzone metody w protestanckich ruchach ewangelizacyjnych, głównie w Ruchu Agape. Twórca Ruchu Światło-Życie, kapłan o charyzmatycznej osobowości, wielkiej odwadze, uważany jest za prekursora nowoczesnego duszpasterstwa w Polsce i na świecie w czasach posoborowych. W latach 70. metody te uznawane były za rewolucyjne, budziły opór w ówczesnym polskim Episkopacie, dzisiaj trudno sobie bez nich wyobrazić Kościół.

Franciszek Blachnicki odnalazł Boga, przebywając w celi śmierci katowickiego niemieckiego więzienia, oczekując na wykonanie wyroku przez ścięcie gilotyną. 17 czerwca 1942 roku przeżył nawrócenie, dzień ten kilkadziesiąt lat później nazwał najważniejszym w życiu dniem swoich narodzin. W więziennej celi przysiągł, że poświęci Bogu swe życie. I słowa dotrzymał.

► System zniewolenia człowieka musi upaść

W 1945 roku, po powrocie do Polski z niemieckich obozów zagłady, wstąpił do seminarium duchownego. Całe powojenne kapłańskie lata zmagał się z komunistami, dla których stanowił bardzo duże zagrożenie. W latach 60. trafił do tego samego więzienia w Katowicach przy ulicy Mikołowskiej, w którym był więziony przez niemieckich oprawców, czekał na wykonanie wyroku śmierci i gdzie się nawrócił. Należał do najbardziej prześladowanych i znienawidzonych kapłanów w czasach PRL-u, komuniści bali się jego ogromnego wpływu na wychowanie polskiej młodzieży w duchu wolności i solidarności. Odważnie głosił poglądy antykomunistyczne, uważał, że zadaniem jego jako kapłana, ruchów przez niego tworzonych, jest przygotowanie wiernych do życia w nowej rzeczywistości, po upadku systemu komunistycznego. Głęboko wierzył, że system oparty na kłamstwie, zniewoleniu człowieka musi runąć.

Ruch oazowy przyciągał młodzież z różnych środowisk, nie tylko z katolickich rodzin, lecz także tych ży-

jących dotychczas bez Boga. Dzięki księdzu Blachnickiemu i uczestnictwu w ruchu oazowym młodzi ludzie odnajdywali sens życia w ponurej rzeczywistości komunistycznej. Czuli się silniejsi w grupie rówieśników, nie mieli też problemów z publicznym mówieniem o swojej wierze katolickiej. Zapanowała wręcz moda na rozśpiewanych oazowiczów z gitarami, którzy nadawali ton m.in. w pielgrzymkach na Jasną Górę do Częstochowy. Ich radosny śpiew, pogodny sposób bycia sprawiali, że nawet ortodoksyjnym konserwatystom religijnym miękły serca. Bardzo trafne jest powiedzenie, że Oaza była życiodajną częścią komunistycznej pustyni.

Duże wsparcie w swojej działalności duszpasterskiej ks. Franciszek Blachnicki uzyskał od ówczesnego kardynała Karola Wojtyły, który chętnie uczestniczył w oazowych rekolekcjach letnich organizowanych w Centrum Ruchu Światło-Życie w Krośnienku na Kopiey Górze. Jako papież Jan Paweł II wspominał z sentymentem czas spędzony z członkami Oazy. Na krakowskich Błoniach, 18 sierpnia 2002 roku, kiedy wierni zaintonowali „Barkę”, Ojciec Święty Jan Paweł II powiedział: „Chcę powiedzieć na zakończenie, że właśnie ta oazowa pieśń wprowadziła mnie z Ojczyzny przed dwudziestu trzema laty. Miałem ją w uszach, kiedy słyszałem wyrok konklawe. Z nią, z oazową pieśnią, nie rozstawałem się przez wszystkie te lata. Była jakimś ukrytym tchnieniem Ojczyzny. Była też przewodniczką na różnych drogach Kościoła”.

Stan wojenny, wprowadzony przez komunistów 13 grudnia 1981 roku, zastał ks. Blachnickiego poza granicami kraju, w Rzymie. W 1982 roku znalazł życiową przystań w polskim ośrodku Marianum w Carlsbergu w Niemczech. Do Polski nie mógł już wrócić – komunistyczne władze Jaruzelskiego i Kiszczaka wysłały za ks. Blachnickim listy gończe, postawiły mu zarzut zdrady kraju.

W Carlsbergu utworzył Międzynarodowe Centrum Ewangelizacji Światło, w którym prowadził pracę duszpasterską z Polakami mieszkającymi na emigracji. Założył też organizację o nazwie Chrześcijańska Służba Wyzwolenia Narodów – dążył do zjednoczenia wysiłków narodów Europy Środkowo-Wschodniej w walce z bolszewią. Wieszczył rychły upadek systemu komunistycznego. Łączył działalność religijną z polityczną, patriotyczną, społeczną, współpracował z podziemną „Solidarnością”, wydawał biuletyn „Prawda – Krzyż – Wyzwolenie”. Był twórcą tzw. polskiej teologii wyzwolenia. W Polsce komunistyczna prasa zniesławiała go, opluwała, do bardziej łagodnych określeń należało „polski ajatollah”, a sowieckie gazety pisały o naszym kapłanie jako o „dywersancie w sutanie”, „pasterzu kontrrewolucji”.

Działalność ks. Blachnickiego na emigracji rozpracowywana była przez peerelowską Służbę Bezpieczeństwa i eneradowską Stasi. Bezpieka podsunęła księdzu Franciszkowi dwoje wyjątkowo niebezpiecznych, bezwzględnych agentów – małżonków Jolantę i Andrzeja Gontarczyków. Gontarczykowie otrzymali ważne funkcje w Chrześcijańskiej Służbie Wyzwolenia Narodów. W lutym 1987 roku ksiądz Franciszek powziął informację od działaczy „Solidarności Walczącej” z Łodzi na temat współpracy Gontarczyków z SB. Rano 27 lutego odbył rozmowę z Gontarczykami – po niej przyjechał do swego mieszkania zdenerwowany, narzekał na złe samopoczucie. Położył się spać. Po kilkudziesięciu minutach zmarł.

Od razu po śmierci pojawiło się przypuszczenie, że ksiądz Franciszek mógł zostać otruty. Z ust zmarłego kapłana wydobywała się piana. Mimo wielu wątpliwości co do przyczyny zgonu, lekarz nie zlecił przeprowadzenia sekcji zwłok. Jako oficjalną przyczynę śmierci podano zator płucny.

Postanowieniem z 6 lipca 2006 roku Ewa Koj, prokurator Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach, umorzyła śledztwo „w sprawie zabójstwa ks. Franciszka Blachnickiego przez funkcjonariuszy państwa komunistycznego poprzez podanie mu trucizny wobec braku danych dostatecznie uzasadniających popełnienie takiego przestępstwa”. Dziwne by było, gdyby po kilkudziesięciu latach od śmierci kapłana udało się znaleźć ślady toksyn.

Jolanta Gontarczyk po dekonspiracji przyjęła nazwisko Lange po swoich dziadkach folksdojcach. Jest osobą aktywną w życiu publicznym. Stanowiła „elitę” III RP, pełniła ważne funkcje w sejmiku województwa mazowieckiego, była wicemarszałkiem województwa mazowieckiego, dyrektorem departamentu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji. Należała do najbardziej zaufanych osób ówczesnego ministra MSWiA Ryszarda Kalisza, została odznaczona przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego Srebrnym Krzyżem Zasługi za „wybitne zasługi w działalności społecznej”. Angażuje się w działalność organizacji lewackich, feministycznych zwalczających Kościół katolicki, opowiadających się za legalizacją aborcji, prawną legalizacją związków osób tej samej płci. Pełni funkcję prezesa Stowarzyszenia na Rzecz Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego „Pro Humanum”, które zajmuje się „walką z dyskryminacją”. W ubiegłym roku ramie w ramie z prezydentem Warszawy Rafałem Trzaskowskim Jolanta Lange (Gontarczyk) brylowała w czasie Warszawskich Dni Różnorodności. Widać gołym okiem, że różnorodność jest zdecydowanie jednorodna.

W 1995 roku rozpoczął się proces beatyfikacyjny ks. Blachnickiego. W listopadzie 2001 roku zakończono proces beatyfikacyjny w diecezji, w 2002 roku rozpoczął

się proces beatyfikacyjny w Rzymie. W październiku 2015 roku papież Franciszek podpisał dekret o heroicznosci jego cnót.

► Pan Bóg w celi śmierci

Franciszek Blachnicki urodził się w Rybniku na Górnym Śląsku. W dzieciństwie, wczesnej młodości nie przywiązywał wagi do spraw religii, wiary, uważał, że można ułożyć sobie życie bez Boga. Należał do harcerstwa. Zafascynowany był ideą harcerstwa, skautingu, korzystał później z harcerskich metod wychowania, formacji duchowej w pracy duszpasterskiej, w ruchu oazowym.

„Miałem swoje ideały, marzenia, plany życiowe. Mój ideał streszczał się w tym, żeby wypracować sobie charakter. Miałem plan zreformowania świata, angażowania się w życie społeczne, w politykę, plan zbudowania wspaniałego pięknego świata. W tym wszystkim nie było miejsca na Boga. To było wszystko moje, własne. Bóg mi nie był do niczego potrzebny. Z domu wyniosłem pewne praktyki religijne, ale już w czternastym czy piętnastym roku życia uznałem, że nie mają one żadnego sensu. Zaczęły mi przeszkadzać. Wystarczyły mi moje własne plany życiowe, ideały” – wspominał ksiądz Franciszek po latach.

Egzamin dojrzałości zdał Franciszek w 1938 roku w Państwowym Gimnazjum Męskim w Tarnowskich Górach, dokąd przeprowadziła się rodzina Blachnickich. Po ukończeniu gimnazjum odbył roczny Dywizyjny Kurs Podchorążych Rezerwy 23 DP przy 73 Pułku Piechoty w Katowicach. Jako ochotnik walczył w kampanii wrześniowej 1939 roku.

Po kapitulacji, po powrocie do Tarnowskich Gór, przyłączył się do grupy współtwórców konspiracji niepodległościowej – Polskiej Organizacji Partyzanckiej funkcjonującej w ramach Związku Walki Zbrojnej. Gros członków tej organizacji stanowili harcerze. Dowództwo POP znajdowało się w Chorzowie. Komendantem na powiat tarnogórski był Władysław Kurek, harcerz, jego najbliższym współpracownikiem był Franciszek Blachnicki. W lutym 1940 roku organizacja w powiecie tarnogórskim liczyła 600 członków. Na skutek zdrady doszło do aresztowań członków – konspiratorów POP. W marcu 1940 roku Franciszek został aresztowany przez gestapo w Zawichoście, gdzie się ukrywał. Po kilku tygodniach przesłuchań wywieziono go do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. W obozie przebywał 14 miesięcy, z czego 10 miesięcy w karnej kompanii. Nosił numer obozowy 1201.

We wrześniu 1941 roku Franciszek został przewieziony najpierw do aresztu śledczego w Zabrze, a następnie do więzienia w Katowicach. W marcu 1942 roku sąd skazał go na karę śmierci przez ścięcie za wroga

działalność przeciwko III Rzeszy. Jego przyjaciel, harcerz, komendant Polskiej Organizacji Partyzanckiej, Władysław Kurek, w czerwcu 1942 roku został zgilotynowany.

Franciszek przebywał w celi śmierci, czekając na wyrok, 135 dni. W tych okolicznościach, gdy każdego dnia spodziewał się zejścia z tego świata, gdy każdy dzień był dniem darowanym, rozmyślał nad sensem życia. Dużo czytał, szczególne wrażenie zrobiła na nim, jak wspominał, książka o Kazaniu na Górze – to ona pozwoliła mu na otwarcie się na Boga, miała decydujący wpływ na jego postawę duchową. 17 czerwca przeżył cudowne, nagłe nawrócenie. Chodził po celi, mówiąc: „Wierzę, wierzę, wierzę!”. Niezwykły zbieg okoliczności sprawił, że wyrok nie został wykonany. Karę śmierci zamieniono mu na 10 lat więzienia, którą miał odbyć po wojnie. Łaską Bożą został dotknięty w sytuacji niezwykle dramatycznej, zapewne dlatego jego wiara była tak bardzo głęboka, żarliwa.

► Pierwsza Oaza

W czasie okupacji niemieckiej przebywał w hitlerowskich obozach i więzieniach w Raciborzu, Rawiczu, Börgermoor, Zwickau i Legenfeld. Po powrocie do Polski w 1945 roku wstąpił do Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie. W czerwcu 1950 roku otrzymał święcenia kapłańskie. Jako wikariusz pracował w parafiach diecezji katowickiej. W czasie pracy w parafii Rydułtowy stworzył w 1953 roku pierwszą „Oazę Dzieci Bożych”, zorganizował pierwsze rekolekcje wakacyjne, które nazwał Oaza.

W latach 1954–1956, po uwięzieniu przez komunistów biskupów śląskich, ks. Blachnicki uczestniczył w pracach tajnej Kurii w Katowicach. Ostro i zdecydowanie zabiegał o powrót biskupów. Mimo młodego wieku, krótkiego stażu duszpasterskiego wykazał się wówczas dużą dojrzałością, odwagą. Już wówczas zwrócił na siebie uwagę innych duchownych, zaskarbił zaufanie wiernych. Skonfliktowany z namaszczonym przez komunistów wikariuszem kapitulnym ks. Janem Piskorzem, współpracownikiem Urzędu Bezpieczeństwa i Stowarzyszenia PAX, zmuszony został do opuszczenia diecezji. Wiele miesięcy przebywał w Niepokalanowie, gdzie poznawał duchowość ojca Maksymiliana Kolbego, kapłana, świętego, podobnie jak on więźnia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu.

W 1957 roku zainicjował społeczną akcję przeciwalkoholową, którą nazwał „Krucjatą Wstrzemięźliwości”. Akcja ta w krótkim czasie objęła całą Polskę. Komuniści dostrzegli w akcji „niosącej przebudzenie tysięcy ludzi w kraju” zagrożenie. W sierpniu 1960 roku „Krucjata Wstrzemięźliwości” została rozwiązana przez Służbę Bezpieczeństwa. W reakcji na działania komunistów

ksiądz Franciszek Blachnicki rozesłał do władz państwowych, kościelnych oraz do prasy „Memoriał” w sprawie likwidacji „Krucjaty”. Zarzucił w nim komunistycznym władzom walkę z Kościołem katolickim, prześladowania duchownych, wiernych. W marcu 1961 roku został aresztowany „za działalność wroga państwu”, pod zarzutem wydawania nielegalnych druków i „rozposzczerniania fałszywych wiadomości o rzekomym prześladowaniu Kościoła w Polsce”. Pobyt w więzieniu uznał za rekoлекcje, w czasie których pogłębił wiarę. Trafił do tego samego więzienia w Katowicach, w którym przebywał w czasach okupacji niemieckiej, gdzie został dotknięty łaską wiary. W więzieniu przebywał cztery i pół miesiąca, po czym stanął przed Sądem Wojskowym. Otrzymał wyrok 13 miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata.

► Oazowe rekoлекcje – „duchowe spa”

Po wyjściu z więzienia, w październiku 1961 roku, ks. Franciszek Blachnicki rozpoczął studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W pracy licencjackiej podjął najbliższy mu temat, pisząc o „Metodzie przeżyciowo-wychowawczej dziecięcych rekoлекcji zamkniętych”. W latach 1964–1972 pracował na KUL-u jako asystent i adiunkt, współorganizował Instytut Teologii Pastoralnej. W czerwcu 1972 roku odszedł z pracy na KUL-u na znak protestu wobec niezatwierdzenia habilitacji przez Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Dysponował dużym dorobkiem naukowym, twórczym, opublikował blisko sto prac naukowych.

W 1963 roku ks. Blachnicki powrócił do prowadzenia rekoлекcji oazowych. Wypracowana przez księdza Franciszka metoda 15-dniowych rekoлекcji przeżyciowych nie zmieniła się do dzisiaj. Piotr Niedzielski z Archidiecezji Katowickiej tłumaczy, na czym polega program oazowych rekoлекcji, pracy formacyjnej:

„Oaza rekoлекcyjna jest pomocą w osiągnięciu celu, jakim jest dojrzałość chrześcijańska. Jej zadaniem jest danie doświadczenia chrześcijańskiego życia. Są to rekoлекcje przeżyciowe, nie chodzi jednak o emocjonalne przeżycie, ale o doświadczenie egzystencjalne. Przeżycie emocjonalne jest tylko jednym z elementów tej metody. Są starsze niż sam Ruch Światło-Życie. Trwają 15 dni, w ich programie najwięcej czasu zajmuje modlitwa. [...] Dlaczego 15 dni? Bo właśnie tyle tajemnic mają w sumie trzy części Różańca: radosna, bolesna i chwalebna (gdy powstawały oazy, nie wymienialiśmy jeszcze w Różańcu tajemnic światła). Oazowicze każdego dnia rekoлекcji zastanawiają się nad inną tajemnicą, która mówi o życiu i czynach Jezusa. Ktoś kiedyś powiedział, że oaza piętnastodniowa to rok kościelny w pigułce, a każdy, kto z niej wraca, zupełnie inaczej patrzy na Kościół (i na kościelne uroczystości). [...] Codzienna Msza

święta to najważniejszy punkt oazowego dnia, który rozpoczyna się także od modlitwy (np. jutrzni) i na modlitwie się kończy (wieczorem często odbywają się różnego rodzaju nabożeństw). Wszystko jednak po to, aby pogłębić relację z Jezusem. To wymaga czasu i solidnego duchowego treningu. [...] Do ich podstawowego zestawu należy zaliczyć spotkanie w małej grupie, podczas którego czytana jest Biblia lub dokumenty Kościoła, a uczestnicy dzielą się wzajemnie swoją wiarą i przemyśleniami. [...] Wieczory to specjalny czas integracji i budowania relacji z innymi: ogniska, tańce, radosne zabawy. Uczymy się dobrego i radosnego bycia ze sobą. To niezwykle ważne w świecie, w którym relacje międzyludzkie budować jest coraz trudniej.

Te więzi budować można jednak nie tylko podczas zabawy i odpoczynku, lecz także w czasie wspólnej pracy. I wreszcie przyroda, której piękno można odkryć podczas oazowych wędrowek – ale tylko wtedy, gdy ma się szeroko otwarte oczy. Bywa, że oazy organizowane są w górach, bo w nich jakoś bliżej do Pana Boga [...]. Ale dwa tygodnie ze Stwórcą można spędzić także nad morzem – i wychwalać Go wówczas podczas modlitwy o wschodzie i zachodzie słońca, spacerując po nadmorskiej plaży i wsłuchując się w szum morskich fal. [...]

Piętnastodniowe rekoлекcje to swego rodzaju »duchowe spa«, a pobyt na nich to umocnienie i naładowanie duchowych akumulatorów. A najlepiej robić to krok po kroku – najpierw spotykając Boga w Jego słowie, potem w liturgii, w sakramentach, wreszcie – we wspólnocie Kościoła – dlatego właśnie mamy w Ruchu rekoлекcje oazowe I, II i III stopnia. Potem zaś warto wracać na kolejne stopnie – jako animator, a może jako współmałżonek / współmałżonka. Program na każdym etapie będzie trochę podobny, niezależnie od tego, dla kogo dane rekoлекcje są. Ten program to Jezus i Ty”.

Ruch oazowy rozwinął się później w Ruch Światło-Życie. Ruch ten przekroczył granice Polski, państw, dotarł do wielu krajów pozaeuropejskich. Okazało się, że trafiał w potrzeby duchowe ludzi różnych narodowości, tradycji, mentalności. Celem Ruchu, obejmującego ludzi każdego wieku i stanu, jest wychowanie dojrzałych chrześcijan i zrealizowanie soborowej wizji Kościoła – wspólnoty wspólnot.

► Polska teologia wyzwolenia

Ksiądz Blachnicki uznawany jest za twórcę tzw. polskiej teologii wyzwolenia. Wielu publicystów błędnie kojarzy tę teologię z teologią wyzwolenia powstałą w Ameryce Łacińskiej. Warto przytoczyć klarowne wyjaśnienie ks. biskupa Adama Włodarczyka, postulatora procesu beatyfikacyjnego ks. Franciszka Blachnickiego. Oto, co mówił w rozmowie z ks. Tomaszem Jaklewiczem:

„Ks. Franciszek tworzył swoją teologię wyzwolenia w kontekście zmagania Polaków z totalitaryzmem marksistowsko-sowieckim. W Ameryce Południowej teologia wyzwolenia miała często inspiracje marksistowskie. Blachnicki pisał o konieczności rewolucji duchowej i wykluczał jakąkolwiek przemoc. Niektórzy teologowie wyzwolenia w Ameryce dopuszczali użycie siły w walce o chleb czy o sprawiedliwość. Blachnicki akcentował w swojej teologii wyzwolenia fundamentalną rolę prawdy. Wyzwolenie dokonuje się przez przyjęcie prawdy Chrystusowej, życie nią i jej głoszenie. Według ks. Franciszka największym zagrożeniem dla człowieka było zniewolenie przez kłamstwo, czyli fałszywy obraz człowieka, przez błędną antropologię. Podkreślał, że ta fałszywa antropologia jest obecna nie tylko w ideologii marksistowskiej, ale także na Zachodzie. Żyjąc w Carlsbergu, mówił, że dużo bardziej niebezpieczną formą zniewolenia jest zachodnia filozofia konsumpcyjna, która prowadzi do uprzedmiotowienia człowieka. W komunizmie kłamstwo systemu jest widoczne gołym okiem, bo ludzie są poddani przemocy, wsadzani do więzień itd. W cywilizacji zachodniej zniewolenie jest bardziej ukryte, subtelne – jest nim błędne rozumienie wolności. Wiara w wielość prawd prowadzi do zaniku poczucia absolutnej prawdy, a to z kolei – do załamania się systemu wychowania i ostatecznie do dekadencji społeczeństw zachodnich. Blachnicki uważał, że łatwiej jest obalić tyrana (przewidział upadek komuny!) niż przeciwstawić się tym procesom, które niszczą dziś świat zachodni.

Ksiądz Blachnicki podkreślał, że rewolucja »Solidarności« opierała się na fundamencie prawdy. Po 1989 roku uznaliśmy, że skoro tyrania padła, mamy wolność, to nie będzie już kłamstwa, będziemy żyli w prawdzie. Okazało się, że tak to nie działa. To widać np. w tym, że tzw. wolne media, o które walczyliśmy w komunie, okazały się w dużej mierze narzędziem ideologii szerzącej zakłamaną wizję człowieka.

Blachnicki przeżył swoje życie w konfrontacji z trzema totalitaryzmami: faszyzmem, komunizmem i tym, co on nazywał cywilizacją konsumpcyjną (dziś mówimy o cywilizacji postmodernistycznej), która dokonuje relatywizacji prawdy. Twierdził, że ten trzeci totalitaryzm jest najgroźniejszy. Jeśli człowiek traci fundament prawdy, porusza się po grząskim terenie i nie zauważa, kiedy zaczyna iść na dno”.

► Centrala na Kopiej Górze

W 1964 roku ksiądz Blachnicki nabył w Krośniku nad Dunajcem dom położony na Kopiej Górze. Dom stał się centralą Ruchu Światło-Życie. Tutaj ksiądz Franciszek zamieszkał, tutaj przyjeżdżali na rekolekcje młodzi oazowicze.

Krośniko i okolice tętniły życiem, po górach i dolinach płynęły oazowe pieśni, rozbrzmiewały modlitwy.

Dni Wspólnoty odbywały się na różnych górach, w różnych sceneriach przyrody – na szczytach, na skarpach, w dolinach. Przyroda, dzieło Pana Boga, stawała się ważnym elementem sprawowanej Eucharystii.

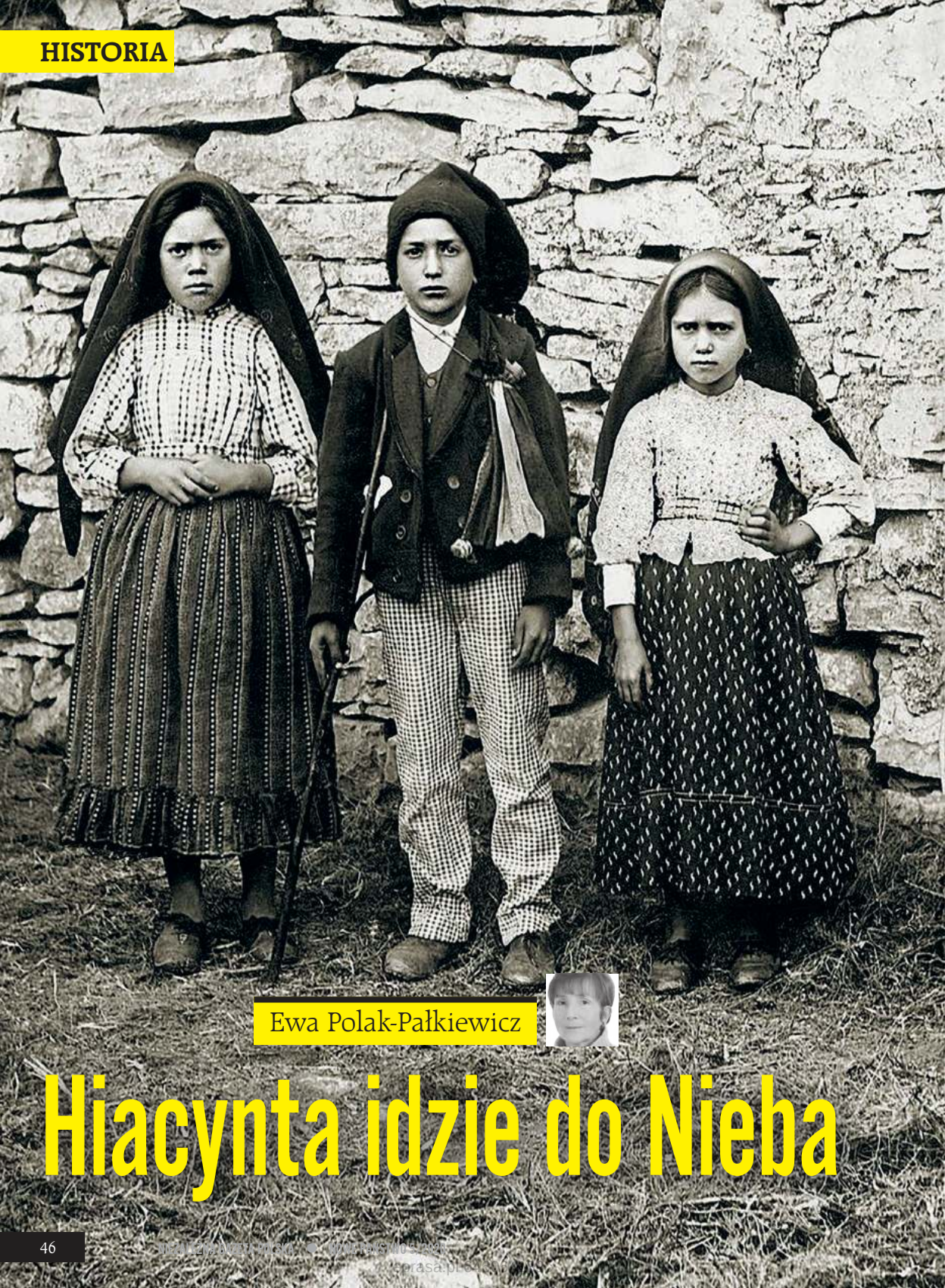
Służba Bezpieczeństwa otoczyła centralę Ruchu Światło-Życie specjalną „troską”. Nagminne były prowokacje, rewizje. Ksiądz Franciszek nic sobie nie robił z wizyt ubeków na Kopiej Górze, co doprowadzało ich do wściekłości, bo uważali, że każdy obywatel w komunistycznym kraju ma się ich bać. Pisał odważne interpelacje, protesty do władz komunistycznych. Stał się obiektem nieustannych ataków komunistycznych gadzinówek, w których był wyszydzany jako polityk w sutannie.

Górale, którzy przyjmowali w swoich domach oazowiczów w latach 70., byli karani przez komunistyczne władze, ksiądz Franciszek organizował więc zbiórki pieniędzy dla szykanowanych gospodarzy. Przekazy pieniężne były nadsyłane z całej Polski. Wokół ruchu oazowego tworzyła się autentyczna więź solidarności.

Ksiądz Franciszek Blachnicki bardzo dobrze rozumiał się z kardynałem krakowskim Karolem Wojtyłą. Łączyły ich przyjaźń i zaufanie. W „Autobiografii” Jana Pawła II można znaleźć refleksje:

„Po roku 1989 mogły się w Polsce rozwinąć różne ruchy apostołskie – tak że młodsze pokolenie nie pamięta tego, czym było dla nas, w okresie rządów komunistycznych, doświadczenie Oaz Żywego Kościoła. Uczestniczyłem w tym doświadczeniu jako biskup i uczestniczyłem całym sercem. Wielokrotnie odwiedzałem wraz z księdzem Franciszkiem Blachnickim grupy oazowe, odpowiadając rekolekcje w różnych miejscach archidiecezji. Radowałem się przy każdym spotkaniu, zwłaszcza w czasie wakacyjnym, w miejscach letnich. Odpowiadałem oazy w różnych miejscach krakowskiej archidiecezji, a także broniłem ruchu oazowego przed zagrożeniami pochodzącymi od ówczesnych służb bezpieczeństwa. Wszyscy o tym wiedzieli – zarówno kapłani, jak sama młodzież – że kardynał z Krakowa jest z nimi, że ich popiera, wspiera i gotów bronić w razie zagrożenia.

Pamiętam, że dokładnie trzydzieści lat temu [...] w Błyszczu koło Tylmanowej, nad Dunajcem, uczestniczyłem w tzw. Dniach Wspólnoty. Powiedziałem wtedy, że osobiście bliski jest mi styl życia, który za inaugurował i zapropomował młodym sługa Boży ks. Franciszek Blachnicki. Bogu dziękuję za ten ruch, który przyniósł tyle błogosławionych owoców w sercach młodzieży w minionych latach, a i dzisiaj stanowi prężne środowisko duchowego rozwoju młodzieży i rodzin. Kochani oazowicze! Jako biskup Krakowa starałem się wspierać was swą obecnością, a jako biskup Rzymu nieustannie jestem z wami w moich modlitwach i serdecznych myślach”.



Ewa Polak-Palkiewicz



Hiacynta idzie do Nieba

**Tej niedzieli,
13 maja, trójka
dzieci wybrała
się na ustronne
pastwisko usiane
skałami i krzewami,
zwane Cova da Iria.
Nową zabawą miało
być budowanie
kamiennych
zamków. Nie było
wiatru i niebo
było bezchmurne.
Wtem nagły grzmot
i silne światło
jakby błyskawica
przeszyły powietrze.
Franciszek, Hiacynta
i Lucja zaczęli uciekać
po zboczu. I wtedy
nad koroną małego
skalnego dębu ujrzeli
„najpiękniejszą
Panią”. „Nie bójcie
się” – usłyszały
dziewczynki. „Nie
zrobię wam nic
złego”. „Skąd Pani
jest?” – zapytała
Lucja, drżąc z emocji.
„Jestem z Nieba”.**

Wychowywali się na swobodzie. Rozbrykani, jak wszystkie wiejskie dzieci. Dwie dziewczynki i chłopiec. Wszyscy o dziwnie poważnych oczach – na fotografii z 1917 roku, gdy Hiacynta miała siedem lat, Franciszek dziewięć, a Lucja dziesięć.

Franciszek i Hiacynta byli ósmym i dziewiątym dzieckiem Olimpii dos Santos (siostry ojca Lucji) i Manuela Marto, zwanego Ti Marto („Ti” to wiejski odpowiednik „pan”).

Osada Aljustrel, gdzie się urodzili, należała do Fatimy, składającej się z kilku małych przysiółków rozrzuconych wśród oliwkowych sadów i wzgórz Serra de Aire.

Latem 1916 roku, w chwili, gdy właśnie wyszli ze skalnej groty, gdzie schronili się przed deszczem i zamierzali zagrać w hecle, nagły podmuch silnego wiatru kazał im unieść głowy. Światło bielsze od śniegu ukazało się ponad drzewami na wschodnim niebie. Stopniowo przybierało postać młodzieńca, „przezroczystego, lśniącego mocniej od kryształu” – wspominała po latach Lucja. Przerażeni i zaskoczeni usłyszeli: „Nie bójcie się, jestem Aniołem Pokoju, módlcie się ze mną”. Anioł uklęknął i pochylił głowę do samej ziemi. Nauczył ich modlitwy, którą powtórzyli. Powiedział: „Módlcie się w ten sposób. Serca Jezusa i Maryi słuchają z uwagą waszych prośb”.

Byli wstrząśnięci, ale nigdy nie rozmawiali ze sobą o tym zdarzeniu. Nikomu też o nim nie opowiedzieli. Od tego czasu najchętniej przebywali razem. Anioł przychodził jeszcze dwukrotnie.

► Trzy odmienne osobowości

Lucję lubiano powszechnie, miała naturalny autorytet. Była łagodna, uprzejma, pełna wdzięku. Franciszek był typem kontemplacyjnym. Małomówny i spokojny, nosił zawsze ze sobą flet, na którym przygrywał Hiacyntcie i Lucji, kiedy śpiewały i tańczyły. On i Hiacynta mieli dobrego ojca. „Chociaż Ti Marto nie umiał czytać, był człowiekiem prawdziwej mądrości i roztropności” – pisze Giovanni de Marchii IMC, włoski ksiądz, który mieszkał w Fatimie w latach 1943–1950 i przeprowadzał ze wszystkimi świadkami wydarzeń rozmowy. Chłopiec był łowcą przygód. Niczego się nie bał, mógł pójść wszędzie po ciemku. „[...] gdy znalazł małego węża, potrafił sprawić, że ten owijał się o jego łaskę. Napelniał owczym mlekiem szpary w skałach, by węże mogły się napić”. Jego ojciec wspominał, że opanowany i cichy Franciszek potrafił być bardziej nieujarzmiony niż żywiołowa Hiacynta.

Hiacynta była uczuciowym, wrażliwym, a zarazem wesołym, inteligentnym, pełnym uroku dzieckiem, bardzo kochanym przez ojca. Szybka, przedsiębiorcza i pełna pomysłów. Ksiądz de Marchii przypuszcza, że pomysł – powzięty jeszcze przed objawieniami Matki Bożej – by ich codzienny, odmawiany na pastwisku Różaniec polegał na

powtarzaniu tylko dwóch słów: „Zdrowaś Maryjo”, był jej autorstwa.

Matka Łucji, Maria Rosa, była jedną z nielicznych świątlich kobiet we wiosce, umiała czytać. Uczyła katechizmu dzieci swoje i sąsiadów. Czytywała dzieciom fragmenty Biblii i książek religijnych. Zawsze przypominała o Różańcu (wyjątkowo lubianym przez Portugalczyków). I to właśnie ona miała wkrótce okazać się tak brutalna wobec własnej córki. Jej zdaniem, objawienia były zwykłym wymysłem dziecięcej fantazji. Biła Łucję, by „przyznała się do kłamstwa”. Nakazała jej ukłęknąć przed proboszczem i prosić o wybaczenie. Sprawczynią gniewu ambitnej wieśniaczki niechcący okazała się mała Hiacynta.

► Czasem nie można utrzymać języka za zębami

Codziennym ich zajęciem było wypasanie owiec na wzgórzach wokół wioski. Z rzadka tylko padał tam cień drzew oliwkowych, sosen i niskich dębów skalnych. Dzieci wstawały przed świtem, żeby owce mogły posilić się trawą mokrą od rosy. Jaskinie były ulubionym miejscem ich zabaw. Gdy słyszały dzwony kościelne lub widziały słońce w zenicie, przerywały zabawę, by odmówić Anioł Pański. Tej niedzieli, 13 maja, wybrały się na ustronne pastwisko usiane skałami i krzewami, zwane Cova da Iria. Nową zabawą miało być budowanie kamiennych zamków. Dziewczynki miały znosić kamienie, Franciszek obmyślał architekturę. Nie było wiatru i niebo było bezchmurne. Nagły grzmot i silne światło jakby błyskawica przeszły powietrze. Dziewczynom wypadły z rąk kamienie. Wszyscy zaczęli uciekać po zboczu. I wtedy nad koroną małego skalnego dębu ujrzeli „najpiękniejszą Panią”. „Nie bójcie się” – usłyszały dziewczynki. „Nie zrobię wam nic złego”. „Skąd Pani jest?” – zapytała Łucja, drżąc z emocji. „Jestem z Nieba”.

Ten dialog stał się jednym z najważniejszych w historii świata. Został zapisany i jest cytowany do dziś w niezliczonej ilości publikacji. Jest w nim prośba Pani z Nieba, by dzieci przychodziły w to samo miejsce trzynastego dnia miesiąca przez sześć miesięcy. I obietnica, że Hiacynta i Franciszek wkrótce pójdą do Nieba. Oraz pytanie, czy dzieci chcą ofiarować Bogu wszystkie cierpienia, jakie On im ześle, jako zadośćuczynienie za grzechy, którymi jest obrażany, i dla nawrócenia grzeszników. Dzieci wyraziły zgodę. Matka Boża poprosiła je o codzienny Różaniec, „by przynieść światu pokój i zakończenie wojny”.

Po pierwszym objawieniu Łucja była zdania, że najlepiej będzie, jak cała trójka zatrzyma wszystko w tajemnicy. Wiedziała, że ludzie potrafią wyszydzić albo sprowadzić do sensacji każdą rzecz, której nie będą w stanie zrozumieć. I tak też się we troje umówili. Czuli zresztą, że tak należy. Jak jednak tajemnicy miała dochować mała Hiacynta, która podskakiwała i powtarzała wciąż: „Ai, que Senhora tão bonita!” („O, jaka piękna Pani!”)? „Widzę, że wkrótce wszystkim rozpowiesz” – powiedziała Łucja. „Naprawdę,

nikomu nie powiem!”. „Nie piśniesz słowa, nawet swojej mamie?”. „Nikomu nie powiem!”.

Ale kiedy wieczorem rodzice Hiacynty i Franciszka wrócili do domu z targu, na który wybrali się, by kupić prosię (w tamtych czasach w Portugalii handel w niedzielę był na porządku dziennym), Olimpia Marto już w drzwiach została zarzucona gwałtownymi okrzykami. „Mamo, widziałam dziś Matkę Bożą w Cova da Iria!”. Matka była rozbawiona: „Jesteś naprawdę głupiotką, jeśli wierzysz, że Matka Boża objawiała się takiej dziewczynce jak ty”.

Ojciec tymczasem spokojnie poszedł do zagrody, by przypatrzeć się, jak prosię przyjmuje się wśród trzody. Matka mieszała paszę. Gdy wszyscy zebrali się przy kolacji, Hiacynta powtórzyła opowieść, przerywając ją okrzykami radości i opisem szaty Maryi, sposobu, w jaki składała dłonie i trzymała różaniec. Franciszek wszystko potwierdził. Siostry były przejęte, starsi bracia śmieli się do rozpuku. Wreszcie przemówił ojciec, który siedział milcząco nad miską zupy. „Jeśli dziś świat jest w kiepskiej kondycji, byłoby jeszcze gorzej, gdyby nie zdarzały się takie rzeczy. Wielka jest moc Boża! Jeszcze nie wiemy, co to jest, ale coś z tego będzie. Wola Boża wypełni się!”. Ti Marto wyznał po paru latach autorowi książki, że od początku wierzył, że dzieci mówią prawdę. Nie miały przecież żadnego wykształcenia, nie mogłyby czegoś takiego ot tak wymyślić. „Czy sądziłem, że dzieci mogą kłamać? Skądże!”.

► Odrzucenie

Wcześniej jednak w Fatimie rozegrał się prawdziwy dramat. Nadprzyrodzoność opisywana pełnymi prostotą słowami dzieci zderzyła się z nieufnością twardych wieśniaków i wścibstwem rozplotkowanych dziewcząt i kobiet. Także z pełnym urazy dystansem proboszcza i dziką furią wójta miejscowej gminy Ouram.

Rodzina Łucji nie należała do zamożnych. Ich warzywne uprawy w Cova da Iria od czasu objawień zostały kompletnie zdeptane przez ludzi. Starsze siostry Łucji, które wcześniej zajmowały się tkaniem i szyciem, teraz, gdy odwieźdowało ich w domu tak wiele osób, musiały porzucić ten skromny zarobek i zająć się owcami. Napór przybywających był tak duży, że każda praca była źle wykonana. Łucja po latach napisała we wspomnieniach: „[...] gdzie znikło uczucie, którym moja rodzina darzyła mnie jeszcze nie tak dawno?... Matka nie oszczędzała mnie, wyrzekając na straty. Powtarzała: »Jeśli będziesz chciała jeść, możesz teraz poprosić o to swoją Panią«, a siostry mówiły: »Powinnaś jeść tylko to, co wyrosło w Cova da Iria«”. Łucji z trudem przychodziło w domu sięganie po kawałek chleba.

Gdy wieść o tym, co spotkało trójkę pastuszków, gruchnęła po okolicy, dzieci i ich rodzice zaczęli być bezlistośnie wyśmiewani przez sąsiadów. Już wtedy zaczynały się spełniać słowa Matki Bożej: „Będziecie wiele cierpieć, ale łaska Boża będzie waszą siłą”. Łucja była szturchana i bita nawet

przez obcych. „Jednak nikt nie odważył się podnieść ręki na dzieci państwa Marto. Ti Marto zbyt bacznie je obserwował” – podkreśla ksiądz Giovanni.

W tamtych czasach niebezpiecznie było mówić publicznie o Bogu w Portugalii. Może dlatego rozdrażniony i zdenerwowany był proboszcz Fatimy, ks. Manuel Marques Ferreira. Miał pretensję, że rodzice Łucji rozmawiają z nim w roszczeniowym, jak twierdził, tonie, chcąc, żeby rozstrzygnął, kto mówi prawdę. Skarżył się, że o wszystkim dowiaduje się ostatni. „Matka Boża ukazywała się w diecezji od sierpnia pozbawionej biskupa. Kardynał António Mendes Bello, patriarcha Lizbony, został na początku miesiąca wydalony przez władze republikańskie ze swojej siedziby” – przypomina inny autor João César das Neves.

► Kuszeni, by zdradzić tajemnicę

Hiacynta tymczasem z entuzjazmem dzieliła się szczegółami objawień z bliskimi. Była przekonana, że choć musi zachować tajemnicę, czyli przepowiednie Matki Bożej, może rozgłaszać wszystkim, jak piękna jest Maryja. Ale cała trójka czuła siódmym zmysłem, że nie o wszystkim można mówić. (Tajemnica została zachowana aż do czasu, gdy przepowiednie przestały dotyczyć przyszłości. „Dwie pierwsze części tajemnicy przekazanej podczas lipcowego objawienia, obejmujące większość przepowiedni, zostały w pełni przedstawione dopiero w 1941 roku”. II wojna już trwała, a Rosja stała się światową potęgą).

O tym, że w słowach Matki Bożej było coś, co dzieci musiały zachować tylko dla siebie, mieszkańcy Fatimy dowiedzieli się właśnie od Hiacynty. Ten fakt rozpałał wyobraźnię, dzieci nie mogły zasnąć spokoju. „Pamiętam, jak pewnego dnia przyszła do nas grupa kobiet wystrojonych w łańcuszki i biżuterię” – wspomina Ti Marto. „Zapytały Hiacyntę, czy podobają się jej ich złote łańcuszki i bransoletki. – Tak, podobają mi się – przyznała Hiacynta. – Czy chciałabyś je mieć? – Tak. – A więc wyjaw nam tajemnicę – nalegały panie i udawały, że zdejmują z siebie biżuterię. Jednak dziecko zaczęło płakać. – Nie róbcie tego! Zabierzcie je ode mnie! Niczego nie powiem!”.

Niezrozumiały dla postronnych upór dzieci sprawiał, że ludzie zaczęli posuwać się do gróźb. Rodzice zdecydowali się przyprowadzić dzieci do proboszcza. Ksiądz Ferreira po wysłuchaniu relacji z dwóch pierwszych objawień nie był w stanie ukryć rozczarowania, czuł, że dzieci coś zatają. Nie potrafił przyjąć, że Matka Boża objawiła się „tylko po to, żeby powiedzieć nam, że mamy codziennie odmawiać Różaniec”. Jego niepokój udzielił się dzieciom. Łucja wspomina po latach: „Zaczęłam wątpić w objawienia i myślałam, że mogą one pochodzić od diabła, który chce zniszczyć moją duszę. Słyszałam, że diabeł zawsze przynosi kłopoty i zamęt, zaczęłam myśleć, że odkąd zaczęły dziać się te rzeczy, nie ma w naszym domu radości ani pokoju. Jakże byłam nieszczęśliwa. Hiacynta uspokoiła

mnie: – Diabeł jest bardzo brzydki i mieszka pod ziemią. Ta Pani jest taka piękna i sami widzieliśmy, że wstępowała do Nieba”.

Za każdym razem, gdy dzieci widziały Maryję – Łucja i Hiacynta także słyszały Jej słowa, a Łucja dostąpiła zaszczytu rozmowy z Matką Bożą – były przepełnione szczęściem.

13 lipca 1917 roku Matka Boża objawiając się po raz trzeci, poprosiła dzieci o codzienny Różaniec „na cześć Matki Bożej Różańcowej dla uproszenia pokoju na świecie i zakończenia wojny, bo tylko Ona może wam pomóc”. Zapowiedziała też niebawem wielki cud, który będzie widziany przez wszystkich i potwierdzi prawdziwość objawień.

► Trzy razy „jeśli”

Gdy tego dnia Maryja po raz kolejny wspomniła dzieciom o ponoszeniu ofiar „za nawrócenie grzeszników i na zadośćuczynienie za grzechy popełniane przeciwko Niepokalanemu Sercu Maryi”, zdarzyło się coś niespodziewanego. Łucja podaje w swoich wspomnieniach: „Po tych ostatnich słowach Matka Boża rozłożyła znowu ręce.... Promień światła zdawał się przenikać ziemię i zobaczyliśmy jakby morze ognia. Zanurzone w tym ogniu były diabły i dusze w ludzkich postaciach podobne do przezroczystych rozżarzonych węgli. Postacie te były wyrzucane z wielką siłą wysoko wewnątrz płomieni i spadały na wszystkie strony jak iskry podczas wielkiego pożaru, lekkie jak puch, pozbawione ciężaru i równowagi, pośród przeraźliwych krzyków, wycia i bólu rozpaczliwych dreszcz zgrozy. Mogliśmy rozpoznać postacie diabłów po ich straszliwych i odpychających kształtach...”.

Łucja krzyknęła, dzieci drżały z przerażenia. Maryja wyjaśniła, że ukazane im zostało piekło. Miejsce, do którego trafiają „dusze biednych grzeszników”. Dlatego ofiara jest konieczna. Pan Bóg chce ratować ludzi przed piekłem, choć na nie zasłużyli. Częścią tego planu jest nabożeństwo do Niepokalanego Serca Maryi. To także warunek, by skończyła się wojna. Ale jest też wariant B. Jeśli ludzie nie wypełnią tych prośb, przyjdzie nowa wojna, którą poprzedzi wielki znak. Wojna ta będzie karą, jaką spadnie na świat „za jego liczne zbrodnie”. Wraz z nią pojawi się głód, prześladowanie Kościoła i Ojca Świętego. Jest jednak szansa, by do tego nie doszło: poświęcenie Rosji Niepokalanemu Sercu Matki Bożej i wynagradzająca Komunia św. w pierwsze soboty miesiąca.

„Jeżeli moje życzenia zostaną spełnione”, usłyszały następnie dzieci, „Rosja nawróci się i zapanuje pokój, jeżeli nie, bezbożna propaganda rozszerzy swe błędne nauki po świecie, wywołując wojny i prześladowanie Kościoła; do brzy będą męczenni. Ojciec Święty będzie miał wiele do wycierpienia. Różne narody zgina. Na koniec jednak moje Niepokalane Serce zatriumfuje. Ojciec Święty poświęci mi Rosję, która się nawróci i przez pewien czas zapanuje po-

kój na świecie. W Portugalii będzie zawsze zachowany dogmat wiary... itd. Tego nie mówcie nikomu; Franciszkowi możecie to powiedzieć. Kiedy odmawiacie Różaniec, mówcie po każdej tajemnicy: »O mój Jezu, przebac nam nasze grzechy, zachowaj nas od ognia piekielnego, zaprowadź wszystkie dusze do nieba, a szczególnie te, które najbardziej potrzebują Twojego miłosierdzia«.

Wielki grzmot, od którego zachybota się konstrukcja łuku, na którym zawieszono lampiony w pobliżu skalnego dębu, towarzyszył ostatnim słowom Matki Bożej i Jej zniknięciu. Miało się wrażenie, że trzęsie się cała ziemia. Ti Marto patrzył, jak znika na wschodzie szary obłoczek. Ludzie zgromadzeni w liczbie ponad dwóch tysięcy wokół dębu dostrzegli na twarzach dzieci coś nieznanego. Napierali na nie zwartą masą i zadawali tysiące pytań. Co takiego powiedziała Matka Boża? Skąd ten nagły smutek? „To tajemnica”, usłyszeli tylko. Dzieci były niewzruszone... „Oni zabijają nasze dzieci!” – rozpaczła w głos mama Hiacynty. Ti Marto przedarł się do niej i wziął ją w objęcia z obawy przed zgnieceniem, przykrył ją kapeluszem i ruszył do domu. Ktoś z krewnych uniósł Franciszka, jakiś nieznajomy chwycił na ręce Łucję.

► „Powiedzcie żabom i świerszczom, żeby przestały!”

Od tej pory starali się chodzić na pastwiska określną drogą, by unikać nagabywań. Odzyskiwali spokój tylko we własnym gronie. Dużo się wspólnie modlili. Byli przepełnieni chęcią, by spełnić wszystkie prośby Pani. Wizja piekła była stale obecna w ich rozmowach. Hiacynta nie mogła zrozumieć, dlaczego to właśnie ona i jej kuzyni musieli je zobaczyć. Pytała wciąż Łucję, dlaczego Matka Boża nie pokaże piekła grzesznikom, „żeby nigdy tam nie trafili”. Wypominała gorzko Łucji, że nie poprosiła o to Pani. „Zapomniałam” – przyznawała skruszona Łucja. Hiacynta częściej niż pozostali padała na pastwisku na kolana i głośno odmawiała modlitwy, o które prosili Anioł i Matka Boża. Ją też najbardziej nurtowała myśl o przyczynach kary piekła i o ofiarach, jakie trzeba ponosić, by nikt tam więcej nie trafił. „Jak mi ich żal! Gdybym tylko mogła pokazać im piekło!”. Domagała się od Łucji, by mówiła wszystkim, jak wygląda piekło, gdy ona i Franciszek zostaną już zabrani przez Panią.

Tego dnia było duszno i upalnie. W południe dzieci umierały na pastwisku z pragnienia, ale postanowiły odmówić sobie wody. Gdy Łucja przynagłana odpowiedziałnością za młodszych kuzynów przyniosła w dzbanku wodę, musiała ją wylać owcom do zagłębienia w skale. „Hiacynta zrobiła się bardzo słaba i omal nie zemdlą. Rytmiczne odgłosy świerszczy, żab i owadów zaczęły tętnić w jej uszach. Trzymając głowę w rękach, zaczęła rozpaczliwie krzyczeć: – Głowa mnie boli! Powiedzcie świerszczom i żabom, żeby przestały!”. Ale gdy Franciszek zapytał, czy nie chce cierpieć za grzeszników, zawołała: „Tak, chcę!

Niech sobie śpiewają”. I tak było już niemal co dzień. Dzieci wyrzekały się wszystkiego. Oddawały swoje jedzenie owcom albo biedniejszym od siebie dzieciom z Fatimy. Opasywały się grubymi szorstkimi sznurami pod ubraniem. Leżały krzyżem na pastwiskach i odmawiały głośno modlitwy. Hiacynta miała dwukrotnie wizję Ojca Świętego, który jest przedmiotem przekleństw i pogroźek. Gdy któregoś dnia w jaskini Cabeço odmawiali modlitwę Anioła, Hiacynta z płaczem opowiedziała, że widzi wielką ilość ludzi krążących w rozpacz po bezdrożach w poszukiwaniu jedzenia, i Ojca Świętego, który modli się przed Niepokalanym Sercem Maryi.

► Artur Santos kontratakuje

„W antyklerykalnej i republikańskiej Portugalii w drugim dziesięcioleciu ubiegłego wieku tego rodzaju wydarzenie było nie do przyjęcia” – przypomina João das Neves. Władze musiały zareagować. Stojący na czele gminy Ouerém Artur de Oliveira Santos, blacharz z zawodu, był lewackim agitator, członkiem założycielem Portugalskiej Partii Republikańskiej. Władza administracyjna, polityczna i czasem także sądowa w gminie spoczywała w jego rękach. Ten apostata był także masonem, członkiem loży w Leirii i namiętnie zajmował się pisaniami do lokalnej gazety antyklerykalnych tekstów. Teraz był przekonany, że jego zadaniem jest zniszczenie w zarodku zjawiska, które zaczęło o sobie dawać znać w Fatimie. Trząśł gminą i był pewny, że mu się to uda, choć ludzie byli tu katolikami i nie należeli do najbardziej łagodnych. Ponadto był w Fatimie człowiekiem, który nie odczuwał żadnego lęku, gdy zagrożone były jego dzieci czy dobro Kościoła. „W imię prawdy i sprawiedliwości nie bał się konfrontacji z żadnym człowiekiem. Tym mężczyzną był ojciec Hiacynty”.

Wójt wezwał pastuszków do swojej siedziby. „Dlaczego tak małe dzieci miałyby tam iść?” – postawił się Ti Marto i udał się do wójty sam. Rodzice Łucji wsadzili ją jednak na osiołka – spadła z niego trzy razy w czasie tej podróży – i wysłali do gminy. Wcześniej zdołała pobiec do Hiacynty i wyjaśnić, jak bardzo się boi. O tym, kim jest wójt, wiedziały nawet dzieci. Wójt żądał przyznania, że wszystko, co mówią dzieci, jest kłamstwem. Nie był w stanie pokonać oporu Ti Marto. Próbował zastraszyć Łucję, grożąc, że odbierze jej życie, gdy nie wyjawi mu tajemnicy. Łucja była nieugięta.

13 sierpnia, w porze, gdy cała Fatima szykowała się, by pójść do Cova da Iria, gdzie miała pojawić się po raz czwarty Matka Boża, przybył z ugrzeszczonym uśmiechem do domu Marto i pozorując współpracę z proboszczem, nakazał całej rodzinie stawienie się na plebanii. Zważył następnie dzieci podstępem do swojego powozu, udając, że chce je odwieźć na miejsce objawień. Uprowadził je do własnego domu, po czym zamknął w gminnym więzieniu. W trakcie brutalnych przesłuchań próbował je przekupić, potem każdemu z osobna groził, że wsadzi je do kotła

z wrzącym olejem. Rozmawiając w pojedynkę z każdym przekonywał, że pozostali już nie żyją.

Wracających z Cova da Iria ogarnęła fala rozczarowania i gniewu. Zabrakło dzieci, gdy przybyła Matka Boża! Rozniosła się już wieść o ich uwięzieniu. Ruszono wielką gromadą pod siedzibę gminy, wznosząc wrogie okrzyki pod adresem wójta i proboszcza. Ti Marto uznał, że pora działać. W imię Boga wezwał ludzi, by nie odważyli się krzywdzić nikogo. Po paru dniach ukazał się w miejscowej gazecie list proboszcza, w którym z pokorą przyznawał, że tamtego dnia uwierzył w prawdziwość objawień.

W więzieniu tymczasem najbardziej zatwardziali kryminaliści wzruszyli się do łez widokiem trójki dzieci. Zaczęli grać na akordeonie, śpiewać i tańczyć, by tylko je pocieszyć. Naturalnie nie tracili też okazji, by wydobyć z nich tajemnicę. Jeden z nich wziął na ręce Hiacyntę i ruszył w tany. Hiacynta poprosiła, by zawiesił na gwoździu medalik, który miała na szyi, po czym więźniowie razem z dziećmi padli na kolana i odmówili Różaniec.

15 sierpnia wójt ostatecznie musiał przyznać się do porażki. Nie mógł zrobić krzywdy swoim więźniom, bał się mieszkańców Fatimy. Ponad 5 tysięcy osób zebranych 13 sierpnia było zbyt wielką siłą. Dzieci milczały. W następną niedzielę, 19 sierpnia, Matka Boża ukazała się im nieoczekiwanie w Valinhos, niedaleko ich domu. Jej słowa potwierdzały wszystko, co zawierały dotychczasowe orędzia, i zapowiadały wielkie wydarzenie 13 października.

► Franciszek i Hiacynta idą pierwszy

„13 października wedle szacunków zebrało się pomiędzy 50 a 100 tysięcy ludzi... Szlachta i lud, bogaci i biedni, duchowni i dziennikarze... O tej samej porze, co podczas wcześniejszych objawień ustał deszcz i rozwinęły się chmury... po paru minutach Łucja poleciła spojrzeć w niebo. Wtedy wszyscy dostrzegli w słońcu coś niezwykłego. Świadek wydarzeń, dziennikarz gazety »O Seculo«, stwierdza: »Ta gwiazda wygląda teraz jak płytka z nieprzezroczystego srebra i można wpatrywać się w nią bez najmniejszego wysiłku. Nie grzeje, nie oślepia. [...] słońce migotało, słońce wykonywało gwałtowne ruchy nigdy dotąd nie widziane i sprzeczne z wszelkimi prawami kosmosu... słońce tańczyło. »Cud słońca« to z pewnością jedno z najwspanialszych i najważniejszych zjawisk w dziejach ludzkości. Brak wzmianki o jakimkolwiek podobnym wydarzeniu, w którym samo słońce przyczyniło się do potwierdzenia jakiegos przesłania. Fenomen, zapowiedziany przez trójkę dzieci z wielomiesięcznym wyprzedzeniem, na własne oczy widziały dziesiątki tysięcy ludzi... Niektóre z tych osób znajdowały się w odległości paru kilometrów lub w okolicznościach odmiennych od sytuacji tłumu zebranego przy Cova da Iria» (João César das Neves). Od miesięcy mieszkańcy Fatimy obserwowali też inny cud. »Wszyscy dookoła byli świadkami tego, jak za sprawą wydarzeń z 1917 roku ta dwójka dzieci – łagodny i milczący chłopiec, wylewna i skłonna do

zartów dziewczynka – doznała przemiany. Ktokolwiek je widział, nie mógł wątpić w ich świętość. Przejmowali się tylko jedną rzeczą: spełnieniem woli pięknej Pani”.

W październiku 1918 roku rodzina Marto zapadła na hiszpankę, której epidemia opanowała Europę. Choroba oszczędziła tylko Ti Marto. Hiacynta i Franciszek wiedzieli, że nadeszła chwila obiecana przez Matkę Bożą: Ona zabiera ich do Nieba. W kwietniu 1919 roku zmarł Franciszek. Choroba Hiacynty przebiegała z komplikacjami i wyniszczającymi cierpieniami. Zmarła 12 lutego 1920 roku w samotności, w Lizbonie, dokąd przewieziono ją na usilną prośbę jednego z przyjaciół i gdzie poddano ją operacji. Do dziś jej ciało nie uległo rozkładowi. Beatyfikacji Hiacynty i Franciszka dokonał 13 maja 2000 roku Jan Paweł II w sanktuarium nieopodal Cova da Iria.

► „Nadszedł czas...”

Łucja „miała pozostać na dłużej”, jak zapowiedziała Matka Boża. Jej misją miało być rozpowszechnianie nabożeństwa do Niepokalanego Serca Maryi i wzywanie Ojca Świętego, by poświęcił Jej Sercu Rosję. Ma być to warunek pokoju na świecie.

Co dziś oznacza umartwienie? Czym jest ofiara? Kim są „biedni grzesznicy”? Te pojęcia prawie już zniknęły z języka. Także to, czym jest dla świata Rosja, nie jest dla wszystkich katolików (zwłaszcza tych bardzo tradycyjnych i tych mocno postępowych) jasne. Dlaczego jej konsekracja (czyli wydzielenie, przeznaczenie osoby lub miejsca na święty cel) jest tak ważna? Przepowiednia Matki Bożej dotycząca konsekracji Rosji pojawiła się już w lipcu 1917 roku. Prooroctwo zostało powtórzone Łucji w 1929 roku: „Nadszedł czas, w którym Bóg prosi, aby Ojciec Święty w zjednoczeniu ze wszystkimi biskupami świata dokonał poświęcenia Rosji memu Niepokalanemu Sercu, obiecując ocalenie jej w ten sposób”. Siostra Łucja wielokrotnie o tym mówiła. Podkreślała w rozmowach i listach, że dotychczasowe akty poświęcenia Matce Bożej świata, bez wymienienia nazwy „Rosja”, nie były tym, czego oczekiwała Matka Boża. Dlatego Rosja się nie nawróciła.

Jaką treść zawiera więc dla dzisiejszych katolików fatimskie orędzie? Czy tajemnica, z którą przybyła na ziemię Matka Boża, stała się częścią naszej wiary? I czy nie widzimy jej wypełniania się dziś na własne oczy? Nie da się odpowiedzieć na te pytania bez zdania sobie sprawy, że „Maryja jest zapowiedzianą w raju Niewiastą, która całe życie pozostawała w nieprzyjaźni z szatanem. Wniebowzięcie Matki Bożej to Jej ostateczny triumf nad szatanem, grzechem i śmiercią”, jak czytamy w starych mszałikach. Ona zawsze zwycięża. ■

Cytaty za: ks. Giovanni de Marchii: „Fatima. Historia prawdziwa”, Fundacja Militia Immaculatae 2019; João César das Neves, „Stulecie fatimskie”, WAM 2017.

Agnieszka Kowalczyk

HITLER

DROGA DO WOJNY

Po zdobyciu
władzy Hitler
obrał taki
kierunek
polityki
zagranicznej,
który miał
przekonać
świat do jego
pokojowych
zamiarów.
Pojednawcze
gesty i chwytły
propagandowe
miały uspić
czujność
niepewnych
swej sytuacji
państw
ościennych
i uspokoić
zagraniczną
opinię
publiczną.

Temu, że Führer nie miał złych zamiarów miała służyć nie tylko wielka mowa pokojowa wygłoszona przez niego w Reichstagu 17 maja 1933 roku, lecz także przedłużenie podpisanego ze Związkiem Sowieckim układu w Rapallo, zawarcie konkordatu z Watykanem, pakt o nieagresji z Polską i zadeklarowanie gotowości do porozumienia z Francją. 18 marca 1936 roku Hitler oświadczył w Królewcu: „Deutschland hat keine Eroberungswünsche in Europa” – „Niemcy nie mają żadnych zamiarów zdobycznych w Europie”.

► „Zusammen marschieren”

O tym, jakie były prawdziwe cele Führera, mógł przekonać się już w 1933 roku przebywający w Monachium wysłannik „Gazety Polskiej”, podpisujący swe artykuły inicjałem „W”. Jego pobyt w tym mieście zbiegł się akurat z wizytą dyplomatyczną przewodniczącego Komisji Rozbrojeniowej Artura Hendersona, którego Hitler razem z baronem Konstantinem von Neurathem miał przekonywać o „dobrej woli nazistów”. Z chwilą zaś, gdy Niemcy dostojniście zegnali wsiadającego do pociągu angielskiego gościa, w całej hali dworcowej rozległ się miarowy tupot maszerującego oddziału SA, który w pełnym rynsztunku wyprawiał się właśnie na wojskowe manewry.

W oczach polskiego dziennikarza, który zdążył już dość dobrze zorientować się w sytuacji politycznej III Rzeszy, scena ta zyskiwała swój symboliczny wymiar. Z jednej strony bowiem wsłuchiwał się w płomienne przemówienia hitlerowców usiłujących dowiedzieć, że „nie ma bardziej pokój miłujących ludzi jak właśnie panowie szturmowcy”, z drugiej zaś obserwował postępujący ruch zbrojeniowy połączony z militaryzacją całego społeczeństwa niemieckiego. Mieszkając na skraju Monachium, mógł co wieczór oglądać na własne oczy pochód wojskowych – prawdziwych czcicieli wojny i swego wodza Hitlera, o czym tak oto pisał: „Dochodzi mnie do rogu ów nieomylny, jednostajny tupot butów, głośniejszy bojową pieśnią: »Wysoko uniesiemy sztandary... karnie ściśnijmy szyk«. To oni: [...] mają wszyscy nowe, wysokie buty i mundury, u boku przytroczone polowe łopatki, na plecach przepisy pruskie, wojskowe tornistry ze zwiniętymi kocami, na głowach owe brzydkie, ale skuteczne pruskie hełmy szturmowe, niektórzy noszą za pasem rewolwery, karabiny [...]. Co robią? Idą albo wracają z marszu i ćwiczeń w terenie – 20, 30, 50 km jak Bóg da, a oficer Reichswehry rozkaże [...]. Nazywa się to: »zusammen marschieren« – spolem maszerować – nie tylko w fizycznym, ale i w ideologicznym znaczeniu”.

Takim duchem wojennym tchnęły całe hitlerowskie Niemcy. W szkolnym programie nauczania kluczową rolę odgrywały wychowanie fizyczne, a po nim historia,

biologia i język niemiecki. Uprawianie sportów i ćwiczenie wytrzymałości, odporności i ogólnej sprawności to nieodzowny element przygotowania do służby wojskowej, do której każdy Niemiec wdrażany był od najmłodszych lat, z myślą, że w przyszłości musi stać się doskonałym żołnierzem. Wojskowe wykształcenie obejmowało nawet studentów, a uchylanie się od udziału w nim groziło niezaliczeniem roku akademickiego. Młodzież zobowiązana była do uczestniczenia w trzytygodniowym obozie letnim oraz w odbywających się dwa razy w tygodniu ćwiczeniach, podczas których uczyła się musztry, używania broni, rzutu granatem, szermierki i wychowania fizycznego. Najważniejsze okazały się jednak zajęcia w terenie, gotowość bojowa drużyny, specjalizacja w służbie saperkiej i oddziałach łączności, umiejętność obsługi karabinu i broni maszynowej. Na porządku dziennym były forsowne, nierzadko nocne marsze, mające wystawić na próbę spostrzegawczość i orientację oraz sprawdzić w praktyce zdobyte wiadomości z zakresu kartografii, czytania i sporządzania map, nie mówiąc o działaniach grupowych, próbach ataku i obrony pozycji, użyciu zasłony dymnej, zakładaniu linii telefonicznych i przerzucaniu mostów...

Hitlerowcy pomyśleli nawet o stworzeniu prestiżowych szkół dla przyszłych elit państwowych III Rzeszy – wysokich rangą wojskowych i funkcjonariuszy partyjnych. Były to tzw. Napole (Nationalpolitischen Erziehungsanstalten) oraz Szkoły Adolfa Hitlera (Adolf-Hitler-Schulen), które stawały się kuźnią przyszłych kadr NSDAP. Z programu usunięto religię, a prym wiodły wszelkiego rodzaju dyscypliny sportowe, w tym boks, szybownictwo, strzelectwo, żeglarstwo, rajdy motocyklowe i samochodowe. Szkoła przypominała bardziej koszały wojskowe, bo jak pisze historyk Joanna Wieliczka-Szarkowa, odpowiednikami klas były w niej drużyny dowodzone przez oficerów, które rywalizowały między sobą, oceniane zespołowo. Wyższy etap kształcenia dla absolwentów szkół Hitlera stanowiły zajęcia o charakterze sportowo-obronnym, prowadzone na terenie warownych zamków zakonnych (Ordensburgi), gdzie poddawano młodzież dalszej tresurze w duchu ideologii nazizmu. W każdej z czterech twierdz – Crössinsee, Sonthofen, Vogelsang i Marienburg – przebywało przez okres jednego roku około tysiąca studentów doskonalących się w poszczególnych dyscyplinach: w pierwszym ośrodku uprawiali lekkoatletykę, żeglarstwo, jazdę konną i szybownictwo, w drugim – narciarstwo i alpinizm, w trzecim – gimnastykę, w czwartym zaś podlegali ostatecznemu ukształtowaniu psychofizycznemu. Wspomniana badaczka historii III Rzeszy pisze, że w Ordensburgach „wychowankowie musieli wykazywać się dużą sprawnością i zahartowaniem, między innymi skacząc z 10-metrowej wieży do wody, myjąc się

w lodowatym strumieniu, znosząc nocne alarmy i ćwiczenia z ostrą amunicją. Na rozwój intelektualny nie marnowano czasu”.

► Zwarte szeregi Hitlerjugend

Potężnym narzędziem służącym szkoleniu i wychowywaniu młodych Niemców była organizacja Hitlerjugend, która w 1936 roku liczyła już ponad 6 mln członków, podczas gdy jeszcze cztery lata wcześniej – 3,5 mln. Kierowana przez Baldura von Schiracha skupiała młodzież męską i żeńską podzieloną na odrębne sekcje w zależności od wieku. Tak więc chłopcy od 10 do 14 lat należeli do Jugendvolk, a od 15 do 18 – do właściwego Hitlerjugend. Młodsze dziewczęta natomiast przyjmowano do Jungmädel, a starsze do Bund Deutscher Mädel. Oprócz śródogodowych pogadanek światopoglądowych oraz sobotnich zajęć sportowych organizacja ta oferowała młodzieży różnorakie formy aktywności: grupy muzyczne, zespoły muzyki marszowej, a do tego specjalistyczne koła służące przysposobieniu wojskowemu – lotnicze, jeździeckie, marynarskie i motoryzacyjne. Podczas wystąpienia w Reichstagu (1936) Hitler tak oto scharakteryzował kierunek wychowania w Hitlerjugend: „Dla nas niemieccy młodzieńcy przyszłości mają być szczupli i gibcy, szybcy jak charty, wytrzymali jak dobrze wyprawiona skóra i twardzi jak stal Kruppa. Musimy wychować nowego człowieka, aby nasz naród nie uległ współczesnym zjawiskom degeneracji”. Na samym szczycie hierarchii wartości kultywowanych przez członków Hitlerjugend znalazły się: wierność idei, siła woli i nieugiętość oraz brak tolerancji wobec jakiegokolwiek słabości. Brutalność w obyciu i arogancja stanowiły charakterystyczne cechy młodego hitlerowca, który odrzucał religię chrześcijańską, a także autorytet rodziców, odnosząc się do nich z wyższością, a nawet wrogością. Niemcom wpajano od dziecka kult dla wartości wspólnotowych, mówiono, że liczą się tylko naród i państwo, wobec których jednostka jest niczym. Hasłem przewodnim młodych stało się stwierdzenie: „Nie jest rzeczą konieczną, abyś żył, musisz natomiast spełnić obowiązek wobec Twego narodu”.

► Moralne pogotowie wojenne

W nazistowskich Niemczech istniała jeszcze jedna dziedzina przygotowania wojskowego, mianowicie „praca nad moralnym pogotowiem wojennym”. Świadczy o tym najwymowniej zakaz czytania na lekcji religii opowieści biblijnej o ofierze Izaaka, bo jak twierdzili hitlerowcy, „Bóg, który w ostatniej chwili odwrócił ofiarny nóż od ciała człowieka, kierując go w ciało baranka, jest niegodny germańskiego pojęcia Boga”. Ten wymowny przykład pokazuje, że ideologia nazistowska

w osiaganiu swoich celów nie uznawała żadnych „sentymentalnych słabości”. W tym samym kierunku zmierzala dokonująca się wówczas na terenie Rzeszy „rewolucja” w ewangelickim kościele niemieckim. Tamtejsi pastory, z Ludwikiem Müllerem i Joachimem Hossenfelderem na czele, poczęli reformować Ewangelię, szerząc „religię nienawiści i siły”. Nie mniej oburzała zdrada ideałów nauki i hipokryzja tych niemieckich uczonych, którzy ulegli propagandzie i zaprzędali samych siebie w służbie ideologii faszystowskiej, sącząc „jad wojennego odwetu w duszę całego narodu”. Jednym z nich był prof. Ernst Kriek, rektor uniwersytetu we Frankfurcie, który oświadczył, że celem wyższych uczelni jest „nauczać nie obiektywnej nauki, ale owej heroicznej, bojowej, żołnierskiej i wojującej”. Innym z kolei uczonym, który propagował ideologię nazistowską, był Ewald Banse – geograf, prof. Politechniki w Brunszwicku, powołany na nowo utworzoną katedrę wiedzy wojskowej, autor kontrowersyjnej książki pt. „Wehrwissenschaft”, która stanowiła pierwszy wykład nowej gałęzi nauki pozostającej w służbie hitleryzmu.

„Wojna – głosił Banse – jest wiecznym odnowiciem: niszczyć – buduje. Jest najwyższym wznesieniem się nie tylko środków materialnych, ale całej duchowości współczesnej, jest zespołem czynu i ducha, które nigdzie indziej w tych rozmiarach nie jest do pomyślenia, jest owym gruntem, na którym dusza ludzka objawia się najbardziej bogato i najsilniej, bardziej wszechstronnie i głębiej niż przez jakiegokolwiek dzieło nauki lub sztuki. Każdy zrozumieć musi, że wojna nie jest niczym nadzwyczajnym ani zbrodniczym, ani żadną pokutą za grzechy; wojna jest panującym stanem wśród wszystkiego, co żyje. Celem Wehrwissenschaft jest stworzenie jednolitej woli wojny i zwycięstwa w narodzie, i wyhodowanie niepospożytej wiary w wysoką wartość etyczną i głębszy sens wojny”.

W dalszej części rozważań Banse wprowadzał w arkana sztuki wojennej i próbował określić zależności zachodzące między wojną a składem rasowym narodu, gospodarką kraju, środkami komunikacji, surowcami, a nawet klimatem i światem przyrody, przy czym na lasy, jeziora i rzeki kazał patrzeć nie jak na elementy pejzażu, ale jak na obiekty, które mogą ułatwić lub utrudnić manewry wojskowe. Wiele miejsca poświęcał też wojnie przyszłości, która w jego przeświadczeniu stanie się „krwawą walką z gazami i dżumą, z tankami i samolotami”, bo polegać będzie na zatrutowaniu wody zarazkami tyfusu, wypuszczaniu szczerów sztucznie zarażonych dżumą oraz rozprzestrzenianiu śmiertelnych bakterii za pomocą samolotów krążących nad terytorium wroga.

Treści zawarte w „Wehrwissenschaft” stały się wkrótce podręcznikowym ujęciem problemów wojskowości, obowiązującym we wszystkich organizacjach sporto-

wych i paramilitarnych III Rzeszy. Rozchodząca się w błyskawicznym tempie książka Bense’a stawiała się integralnym uzupełnieniem hitlerowskich zbrojeń, a idea wojny absolutnej szerzona wśród 65 mln Niemców miała przeobrazić ich w bezwzględne maszyny do zabijania.

► Na podbój Europy bez jednego wystrzału

Za fasadą pokojowych deklaracji kryła się polityka konsekwentnego dążenia do budowania potężnego imperium, którego niezawodną siłą byłaby doskonale wyszkolona i uzbrojona armia. O postępach w jej budowaniu mógł przekonać się polski dziennikarz Kazimierz Smogorzewski, uczestnicząc w norymberskim pokazie wojskowym (1935), podczas którego po raz pierwszy zaprezentowano publicznie jednostki lądowe i powietrzne zaopatrzone w nowe, dotychczas „zabronione” rodzaje broni: „Olbrzymie boisko Zeppelina było jakby ekranem, na którym przesuwaly się przed oczyma widzów różne fazy nowoczesnej walki. Oto wyjeżdża na boisko zmotoryzowana jednostka wywiadowcza; 12 ciężkich trzyosowych samochodów pancernych, 12 lekkich i 12 motocykli z przyczepami. Każdy uzbrojony jest w karabin maszynowy w obracającej się dookoła swej osi wieżyczce. [...] Ewentualny odwrót samochodów kryją strzelcy motocyklowi: w biegu wyskakują z maszyn, które natychmiast zavrcają i, niemal w tej samej chwili, leżąc już na polanie, otwierają ogień z tuzina km-ów. Ruchliwość tej nowoczesnej «kawalerii» jest ogromna”. Równie piorunujące wrażenie czyniły na widzach kompanie lekkich czołgów złożone ze 133 jednostek. Każdy taki stalowy potwór uzbrojony był w dwa karabiny maszynowe. Na dany znak 266 luf jednocześnie „praży wroga ogniem” z szybkością 200 strzałów na minutę! Zaraz potem spiker zapowiadał nowe widowisko – oto miał nastąpić atak powietrzny na fabrykę. Jakoż po chwili niebo przeszła eskadra wywiadowcza 9 dwupłatowców systemu Fieseler, a pośród ogłuszającego wycia syren alarmowych wjeżdżała na polanę zmotoryzowana grupa artylerii przeciwlotniczej. W błyskawicznym tempie baterie dalekonośne gotowały się do ataku, jeszcze sekunda i miały otworzyć ogień. Tymczasem „z wielkiej wysokości i w szalonym tempie, płk Udet (sławny „as” lotnictwa niemieckiego), spada [...] jak jastrząb na »fabrykę«, rzuca swe bomby i z hukiem wznosi się z powrotem”. Tuż za nim nadciągały w pełnym szyku dwie eskadry bombardujące. Najpierw leciały trzema kluczami Junkersy Ju 52-3, zaopatrzone w trzy motory BMW o łącznej mocy 1725 SP. Zaraz za nimi prula powietrze jeszcze szybsza, bo osiągnąca prędkość 320 km/h, grupa przelatujących ciągami Dornierów. Wszystkie te powietrzne maszyny „rzucają pozornie swój śmiertelny balast”, po czym uciekały, ale już na ich tropie były jednopłatowce wywiadowcze Focke-Wulf. Po chwili całe niebo, drżące łoskotem silników, uspokajało

się. Zapadła kojąca cisza. Na opustoszałym boisku ustawiały się oddziały wszystkich rodzajów broni, by w pełnym rynsztunku przedefiniować przed Hitlerem, wśród okrzyków i oklasków zachwyconych przedstawieniem tłumów.

Program zawarty w „Mein Kampf” zyskiwał więc swój realny kształt. Już 13 stycznia 1935 roku dzięki intensywnej kampanii propagandowej włączono do Rzeszy Zagłębie Saary, dwa miesiące później przywrócona została powszechna służba wojskowa (16 marca 1935 roku), a potem nastąpiła remilitaryzacja strefy nadreńskiej (7 marca 1936 roku). W tym też roku Hitler zyskał nowych sojuszników w przywódcach Włoch i Japonii, którzy wspólnie z Niemcami podpisali pakt antykominternowski, stwarzając tym samym wspólny front przeciwko bolszewikom zgrupowanym w Międzynarodówce Komunistycznej.

► Anschluss

Kolejny krok uczyniony w kierunku budowania potęgi Niemiec to przyłączenie do nich Austrii, która według planu Hitlera musiała „wrócić do wielkiego niemieckiego kraju-matki”, bo „wspólna krew domaga się wspólnej Rzeszy”. Pierwszą próbę sięgnięcia po tę ziemię podjął już w 1934 roku. Na drodze stanął mu jednak wówczas Engelbert Dollfuss, przywódca Partii Chrześcijańsko-Społecznej i założyciel Frontu Ojczyźnianego, polityk, który wypowiedział wojnę nazistom i zdelegalizował ich partię w Austrii. Dlatego też Dollfuss zginął zamordowany przez austriackich nazistów 25 lipca 1934 roku, ale wtedy jeszcze nie udało się Hitlerowi opanować Austrii. W 1938 roku ponowił jednak tę próbę z zamiarem podporządkowania sobie nowego austriackiego kanclerza Kurta von Schuschnigga. Groźbą i zastraszaniem wymusił na nim 12 lutego 1938 roku wprowadzenie do austriackiego rządu nazisty Arthura Seyss-Inquarta, który został ministrem spraw wewnętrznych. Gdy jednak Schuschnigg wbrew woli Führera zarządził przeprowadzenie powszechnego referendum w sprawie Anschlussu, ten obawiając się jego wyników, zdecydował się na radykalny krok i rozpoczął przygotowania do zbrojnego opanowania Austrii, dążąc jednocześnie do zdymisjonowania niewygodnego kanclerza. Schuschnigg, nie uzyskawszy pomocy ze strony Francji i Wielkiej Brytanii, postanowił sam odsunąć się od władzy. Toteż, nie napotykając żadnego oporu, 12 marca 1938 roku wojska Hitlera zajęły Austrię, która stała się integralną częścią Rzeszy.

► „Na pomoc” Niemcom sudeckim

Przyłączenie Austrii do Rzeszy utwierdziło tylko Hitlera w poczuciu własnej mocy, co znalazło swoje odzwierciedlenie m.in. podczas wielkiego kongresu partii NSDAP w Norymberdze, który odbywał się we wrześniu 1938 ro-

ku. Wówczas to uwagę zagranicznych obserwatorów zwróciły ekspansywne dążenia Führera, jasne i oczywiste dla tysięcy jego słuchaczy zapatrzonych w postać wodza i jakby zahipnotyzowanych jego słowami. „Żaden ze 140 000 przywódców politycznych NDSAP, zebranych na polanie Zeppelina pod kopułą świetlaną, utworzoną przez smugi dwóch setek potężnych reflektorów, ani żaden ze 100 000 widzów, zajmujących miejsca na trybunach, nie miał chyba wątpliwości. [...] pod czym adresem padły słowa, »że wielkie Niemcy nie skapitulują« i że myślą się ci, »co w słabość Rzeszy wierzą, lub na tę słabość liczą« (wrzesień 1938 roku).

Oczywiście Hitler miał na myśli Czechosłowację, a dokładniej Sudety, które zamieszkiwały wtedy przeszło 3 mln Niemców, rzekomo prześladowanych przez Czechów. Terytorium to stało się dla niego kolejnym lakomym kąskiem, w związku z czym zabiegał coraz usilniej o jego przyłączenie do Rzeszy, pragnąc wymóc na mocarstwach zachodnich przyzwolenie na dokonanie aneksji. Brytyjski premier Neville Chamberlain, chcąc uniknąć nowej wojny, gotów był na prowadzenie polityki ustępstw wobec Hitlera, co jak sądził, zapewniłoby Europie trwały pokój na długie lata. I taką też strategię działania, opartą na „ugłaskiwaniu Niemców”, przyjęto podczas konferencji monachijskiej we wrześniu 1938 roku, w której uczestniczyli Chamberlain, Hitler, Daladier i Mussolini. By położyć kres niemieckiej ekspansji, państwa Zachodu zgodziły się przystać na warunki Führera i oddać mu terytorium, którego zażądał. Ultimatum wysunięte przez kanclerza Rzeszy, a mówiące o natychmiastowym włączeniu Sudetów do Niemiec, zostało przyjęte, po czym sygnatariusze układu zakomunikowali jego treść stłoczonym w sali obok Czechom, namawiając ich, jak pisał Norman Davies, „aby sami przyjęli to, co jest nie do przyjęcia, ponieważ inaczej poniosą konsekwencje odmowy”. Istotnie, była to jedna z „najbardziej haniebnych kapitulacji w dziejach” – oceniał ten fakt wspomniany historyk, pisząc, że „Chamberlain nie musiał ustępować w żadnej części żądań Führera, nie przeprowadzając jednocześnie twardych rokowań w sprawie bezpieczeństwa Czechosłowacji, a jednak ustąpił. Czechosłowacki prezydent Beneš nie miał prawa podpisem zniszczyć integralności swojego kraju, dołączając tylko swój osobisty protest, a jednak to zrobił”. Z kolei wybitny angielski mąż stanu Winston Churchill, sprzeciwiający się polityce ustępstw wobec Hitlera, krótko i celnie skwitował działania Chamberlaina – „Nasz rząd miał do wyboru hańbę i wojnę. Wybrał hańbę, a wojnę będzie miał i tak”. Jego słowa okazały się prorocze...

► Koniec Czechosłowacji

„Koniec Państwa Czeskiego. Wojska węgierskie na Rusi Podkarpackiej. Czechy i Morawy autonomicznymi prowincjami Rzeszy Niemieckiej” – takie nagłówki wid-

niały na pierwszych stronach polskich gazet w połowie marca 1939 roku. Głosiły one kres istnienia Czechosłowacji, do której ostatecznego rozbioru doprowadził Hitler w zaledwie pół roku po sukcesji Sudetów. Widząc, że polityka „agresji pokojowej” przynosi zaskakująco dobre rezultaty, postanowił wystawić dalej na próbę cierpliwość Zachodu. Efektem tego było zawłaszczenie Czech i Moraw oraz całkowite podporządkowanie sobie Słowacji. Aby osiągnąć ten cel, podburzał Słowaków przeciwko Czechom, podsycając konflikt między obu narodami, co doprowadziło do zdelegalizowania przez władze czeskie rządu słowackiego oraz do zamknięcia w areszcie domowym premiera ks. Jozefa Tiso. Dla Hitlera był to najdogodniejszy moment, by zająć Czechosłowację. Rankiem 14 marca, jak rekonstruuje wypadki historyk Joanna Wieliczka-Szarkowa, „prezydent Czechosłowacji Emil Hácha poprosił Hitlera o audiencję i pięć godzin później przyjechał pociągiem do Berlina. O pierwszej w nocy został przyjęty w wielkim gabinecie Hitlera w Nowej Kancelarii. Führer wyżywał się na przestraszonym i chorym na serce prezydencie. Zagroził, że wojska niemieckie już wkraczają do Czech i jest to nieodwołalne, a jedynie co może zrobić Hácha, to zatelefonować do Pragi i nakazać, aby nie stawiano oporu, bo inaczej dojdzie do rozlewu krwi i zbombardowania miasta. Pod wpływem gróźb Hácha zasłabł i musiał go ratować osobisty lekarz kanclerza doktor Theodor Morell. Po odzyskaniu sił, o 4 rano 15 marca Hácha wydał polecenie niepodległości walki z wkraczającymi oddziałami i podpisał dyktowane przez Hitlera warunki wcielenia Protektoratu Czech i Moraw do Rzeszy Wielkoniemieckiej”.

We wczesnych godzinach rannych wojska Hitlera przekroczyły granicę Czech i Moraw, a o dziesiątej do Pragi wjechały pierwsze kolumny oddziałów zmotoryzowanych pod dowództwem generała Blaskovitz. Zamek na Hradczanach zajęty został przez dowódcę niemieckich wojsk okupacyjnych generała Heppnera witanego przez przedstawicieli mniejszości niemieckiej w Pradze – prof. Pfitznera oraz dr. Klapke. Około południa na praskim niebie ukazały się niemieckie eskadry lotnicze, a z wielu okien domów zamieszkiwanych przez Niemców zwieszały się chorągwie ze swastyką. Wszystko to oznaczało, że Hácha został zmuszony do oddania Czech „pod opiekę” Rzeszy, która wspaniałomyślnie zagwarantowała ujarzmionym „możliwość rozwoju ich właściwości kulturalnych i narodowych”. Radio praskie nawoływało do składania broni i poddawania się bez oporu. Zabór ziem czeskich stał się faktem dokonany. W jego wyniku 14 marca niepodległość ogłosiła Słowacja, która w istocie rządzona przez nacjonalistów przychylnych Hitlerowi, była całkowicie uzależniona od jego woli. W wyniku rozpadu republiki czesko-sło-

wackiej wojska węgierskie wkroczyły na Ruś Podkarpacką, a armia polska zajęła Śląsk Cieszyński.

► „Deutschlandem” na Kłajpedę

Kilka dni później, 21 marca 1939 roku, niepomahany w swych dążeniach Hitler zażądał od Litwy Kłajpedy, nadbałtyckiego portu o ważnym znaczeniu strategicznym. W razie odmowy zagroził zbombardowaniem Kowna. Na te żądania litewski minister spraw zagranicznych Juozas Urbšys udzielił takiej oto odpowiedzi: „Mając na uwadze stanowisko rządu Rzeszy i nie znajdując innej drogi dla utrzymania pokoju, rząd litewski wyraził swą zgodę, aby kraj kłajpedzki został odłączony od Litwy i przyłączony do Niemiec”. Litwa oddawała więc swój port bez walki. Już z samego rana 23 marca wojska niemieckie wkroczyły do skapanej w słońcu Kłajpedy, a wieczorem wjechały do miasta zmotoryzowane formacje policji i oddziałów SS. Jeszcze tego dnia o godzinie dziesiątej dotarł tam pancernik „Deutschland”. Znajdujący się na jego pokładzie Hitler triumfalnie stanął na redzie przed portem kłajpedzkim. Na jego przybycie oczekiwały już jednostki niemieckiej marynarki, a wśród nich prawie wszystkie krążowniki, flotyle torpedowców i kontrtorpedowców marynarki niemieckiej. Nastąpiło uroczyste powitanie, Hitler przeszedł dumnie przed ustawionymi kompaniami honorowymi wojska, po czym postanowił dokonać objazdu miasta jako jego nowy pan. W tym czasie przywódca Niemców kłajpedzkich dr Neumann oczekiwał ministra spraw wewnętrznych Fricka na moście Królowej Ludwiki w Tyłży, gdzie zamiast herbu litewskiego z Pogonią, królował orzeł ze swastyką. Po powitaniu obu dygnitarzy kolumna samochodów skierowała się wprost do Kłajpedy, a za nią ciągnęły niezliczone formacje niemieckie ze sztandarami i orkiestrami.

Następna w kolejności na drodze podboju Hitlera miała być Polska... Wiosną 1939 roku Niemcy wypowiedziały jej pakt o nieagresji i coraz gwałtowniej domagały się przeprowadzenia eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej przez Pomorze. Wojna wisiała w powietrzu. Pod wpływem radykalnie zmieniającej się sytuacji politycznej polska prasa alarmowała, że Rzeczpospolita może czuć się zagrożona, ponieważ „usunięcie państwa polskiego jest naczelnym postulatem Niemiec” i cytowała słowa ministra Józefa Becka, który w obliczu hitlerowskich roszczeń stwierdził jednoznacznie, że naród polski „nie zna pojęcia pokoju za wszelką cenę”. ■

Źródła: J. Wieliczka-Szarkowa, „III Rzesza. Zbrodnia bez kary”, Kraków 2015; „Gazeta Polska” 1933–1939.

Historia Komunistycznej Partii Polski należy do tematów, na których dotykane redakcja „Gazety Wyborczej” reaguje z największą złością. Gdy poeta Jarosław Marek Rymkiewicz nazwał w wypowiedzi dla „Gazety Polskiej” jej redaktorów „duchowymi spadkobiercami Komunistycznej Partii Polski” i stwierdził, że „rodzice czy dziadkowie wielu z nich byli członkami tej organizacji, która była skażona duchem luksemburgizmu, a więc ufundowana na nienawiści do Polski i Polaków”, Agora wytoczyła mu proces, a sąd skazał go na grzywnę. Wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego o potomkach KPP wzbudziły nie mniej-

szą jej wściekłość. Dziś w dziale Retrospekcji przedrukujemy fragmenty artykułu Benedykta Heydenkorna, przed wojną publicysty „Buntu Młodych”, aresztowanego przez NKWD i wywiezionego do łagru, potem żołnierza 2. Korpusu generała Andersa i emigranta politycznego, współpracownika paryskiej „Kultury”. W 1958 roku w piśmie „Robotnik” – centralnym organie Polskiej Partii Socjalistycznej na uchodźstwie – opublikował artykuł „40-lecie KPP”. Píše on o manipulacjach peerelowskiej propagandy, która przedstawiała historię owej antypolskiej formacji, już zrehabilitowanej po okresie stalinizmu, w sposób daleki od prawdy.

Benedykt Heydenkorn

Szli na śmierć z okrzykiem: „Niech żyje Stalin!”

Gdy los jej [KPP] został już w Moskwie przesądzony – fizycznie i praktycznie, w kraju ukazała się jeszcze, w czerwcu 1938 roku, ostatnia odezwa pt. „Ręce imperialistów – precz od Czechosłowacji! Precz z wojną!”. Zasługuje ona na uwagę jedynie z powodu dwu końcowych zdań, brzmiących: „Niech żyje genialny nauczyciel ludów w ich walce o pokój tow. Stalin! Niech żyje Komunistyczna Partia Polski!”. Brzmia one wręcz niesamowicie, nieomal jak „Caesar, morituri te salutant!” [„Witaj Cezarze, idący na śmierć cię pozdrawiają” – pozdrowienie gladiatorów dla Cezara przed wejściem na arenę – przyp. P.L.]. W tym bowiem czasie pozostawali przy życiu już tylko ci komuniści polscy, którzy znajdowali się w polskich więzieniach czy też gdzieś w ukryciu w Polsce.

Oficjalna data narodzin Komunistycznej Partii Robotniczej Polski (bo tak zwała się początkowo) przypada na dzień 16 grudnia 1918 roku. KPRP urodziła się w Warszawie przy ul. Zielnej 25, w lokalu zajmowanym przez Związek Pracowników Handlowych. W dniu tym odbyły się naprzód oddzielnie dwa zebrania, a mianowicie tzw. konferencja krajowa Socjaldemokracji Kró-

stwa Polskiego i Litwy (SDKPiL) oraz XII zjazd PPS-Lewicy, na których zapadły uchwały o zlaniu obu tych organizacji w jedną, o utworzeniu wspólnej partii – Komunistycznej Partii Robotniczej Polski.

Już sam fakt, że oba te zebrania odbyły się jednocześnie, że załatwiły w rekordowym czasie porządek dzienny i że tegoż samego dnia delegaci uczestniczyli w ze-

braniu konstytucyjnym nowej partii dowodzi dostatecznie, że sprawy były szczegółowo przygotowane. Proklamacja nowej partii w istocie była jedynie formalnością, ukoronowaniem procesu toczącego się przez pewien czas i właściwie zakończonego przed tą datą – lecz zakończonego nie na terenie właściwego działania, to jest Polski. [...]

► „Wypowiadamy się przeciwko tworzeniu oddzielnej armii polskiej”

Na terenie Rosji działał szereg lokalnych komórek polskich partii robotniczych, z chwilą upadku caratu, na wolności znalazło się wielu uwieczonych działaczy. W szeregach wojska rosyjskiego znajdowało się oczywiście sporo Polaków. To w sumie stwarzało wcale poważne możliwości działania politycznego.

Istniało zagadnienie polskie w Rosji, a zjednanie sobie ludności polskiej posiadało duże znaczenie dla każdej partii walczącej o zdobycie władzy. Było więc rzeczą jak najbardziej naturalną i zrozumiałą, że partie rosyjskie starały się zdobyć wpływy wśród Polaków i zyskać w nich sojusznika, jeśli nie partnera. Tradycyjne powiązania z Polakami posiadały partie rewolucyjne.

[...] w deklaracji sekcji piotrogrodzkiej PPS-Lewicy, złożonej Centralnemu Komitetowi Wykonawczemu Rad Delegatów Robotniczo-Żołnierskich w dniu 25 kwietnia 1917 roku, czytamy m.in.:

„My uświadomieni polscy robotnicy i żołnierze w sposób jak najbardziej zdecydowany wypowiadamy się przeciwko tworzeniu oddzielnej armii polskiej... Oddzielna armia polska w Rosji nie może stanowić hała polskich żołnierzy i robotników. Naszym jedynym hasłem może być: dość wojny między narodami! Dość krwi przelanej dla wojowniczych celów klas posiadających! My nie chcemy wojny! I nie będzie dla nas pocieszeniem, że umieramy pod narodowym sztandarem za cudzą i wrogą nam sprawę!”.

Ta deklaracja nosiła podpisy Stefana Królikowskiego i St. Majewskiego.

W kwietniu 1917 roku przedstawicielstwo zagraniczne Centralnego Komitetu Robotniczego PPS-Lewicy wydało odezwę „do rosyjskiego rewolucyjnego proletariatu”, w której znajdujemy m.in. następujące ustępy:

„Żłudnemu hasłu dalszej wojny o wyzwolenie i zjednoczenie Polski przeciwstawia proletariat polski hasło rewolucji w Polsce, jak i w całej Europie...”

Przewodnią gwiazdą we wszystkich walkach nadciągającej epoki historycznej musi być rewolucja socjalna, tylko ona, obalając imperialistyczny kapitalizm, rozbije ostatecznie kajdany ludów.

Robotnicy rosyjscy! Proletariat polski, na plecach którego ciąży dzisiaj żelazna dyktatura wojennej okupacji, przyjął wieść o waszej rewolucji, jej pierwszych

wspaniałych zwycięstwach, z największym entuzjazmem. Wszelako troską i niepokojem przejmują go próby wciągnięcia rewolucji w krwawy rydwan wojny, próby wciągnięcia was do dalszej bratobójczej walki o mniemane wyzwolenie Polski. Twardo stojąc na stanowisku międzynarodowego rewolucyjnego socjalizmu protestuje proletariat polski przeciwko swawolnemu igraniu losami ludu polskiego dla celów wojenno-imperialistycznej demagogii...”.

W dniu 23 czerwca 1917 roku na wiecu zwołanym w Piotrogradzie przez SKDPiL i PPS-Lewicę zapadła wspólna uchwała przeciwko tworzeniu wojska polskiego w Rosji. Oba ugrupowania zgodnie współdziałały następnie w rozbijaniu powstałych oddziałów. [...]

► Los KPP przesądzony w Moskwie

Większość późniejszych działaczy komunistycznych polskich spotykamy w Rosji, gdzie po zwycięstwie bolszewickim zajęli wszelkiego rodzaju odpowiedzialne stanowiska. Wypłynęli nie tylko Dzierżyński, Unszlicht, Marchlewski, Kon, ale i Żarski, Leszczyński, Bobiński i inni. SDKPiL utworzyła Centralny Komitet Wykonawczy swoich grup na terenie Rosji, wzięła udział w rosyjskich wyborach lokalnych, włączyła się aktywnie do rosyjskiego życia politycznego. W zdumiewająco szybkim tempie zapomniała o swoim podstawowym hasle pacyfistycznym, odstąpiła od zasady natychmiastowego pokoju i w odezwie ogłoszonej w dniu 28 lutego 1918 roku wołała:

„Stawajcie w szeregi Czerwonej Armii, jeżeli nie chcecie, by zduszoną została pierwsza wielka zwycięska rewolucja ludowa, która wzywa do boju o wyzwolenie proletariatu wszystkich krajów, stawajcie w szeregi Czerwonej Armii, bierzcie broń i bijcie wroga...” [...]

W tym samym czasie w Warszawie ukazała się wspólna odezwa Zarządu Głównego SDKPiL, Rady Związków Zawodowych m. Warszawy oraz CKR PPS-Lewicy. I tak oto doszliśmy do bólów porodowych KPP.

Wśród dwustu delegatów uczestniczących w naradzinach, było sporo „nielegalnych”, przybyłych z Rosji – jeszcze nie na stałą robotę w Polsce, lecz dla przygotowania terenu. Bynajmniej nie chcemy przez to powiedzieć, że partia nie powstałaby bez ich udziału, że nie powstałaby, gdyby brakło akcji przygotowawczej i pomocy z Rosji. Nie!

I nie wydaje się również, że gdyby u kolebki noworodka zabrakło owego zespołu nasłanych akuszerów, partia miałaby inny charakter, że posuwałaby się po odmiennych torach [...]

Tadeusz Daniszewski, oficjalny historyk partyjny, we wstępie do trzytomowego dzieła „KPP – uchwały i rezolucje”, oceniając powstanie polskiej partii komunistycznej, pisze: „Zjednoczenie PPS-Lewicy z SDKPiL,

choć dokonane bez rewizji ciążyących na tych partiach błędnych poglądów, miało olbrzymie znaczenie dla dalszego rozwoju ruchu rewolucyjnego w Polsce, dało bowiem polskiej klasie robotniczej bojową awangardę w postaci partii komunistycznej”.

Daniszewski – jak często – mija się tu z prawdą.

Nie odegrała ta partia żadnej pozytywnej roli w dziejach Polski. Wspomnieliśmy uprzednio o przyrodzonych niejako wadach, które udaremniały spełnienie przez nią takiej roli. Do tego doszły inne, zewnętrzne obciążenia. Być może – jakkolwiek jest to wysoce wątpliwe – iż przywódcy krajowi zdołaliby w pewnej chwili wyzwolić się z więzów przeszłości, potrafiliby dostosować się do nowo powstałej rzeczywistości, gdyby nie stanowili części Międzynarodówki Komunistycznej, gdyby nie byli zobowiązani do krocenia po nakreślonej przez nią linii. Trudno mieć pretensje do przywódców sowieckich o to, że chcieli, by komunistyczne partie zagraniczne pomagały Rosji sowieckiej, by spełniały rolę obrońcy rosyjskich interesów. [...] Od pierwszej odezwy i od pierwszej uchwały do ostatniej powtarzały się śmieszne, naiwne zapewnienia o wrzeniu rewolucyjnym, niewoli ludu i narodu, o ekspansji „imperializmu polskiego”.

[...] Na podstawie obecnie ogłaszanych przez Instytut Historii Partii PZPR nielegalnych materiałów archiwalnych, dowolnie zresztą wybranych, można chwilami odnieść wrażenie, iż KPP prowadziła szerokie akcje, że docierała wszędzie, że komórkami swymi obejmowała cały kraj. Żłuda! Żłuda doskonale i celowo spreparowana, by wprowadzić w błąd społeczeństwo polskie. Te papierowe materiały, ta makulatura ma zastąpić pustkę faktycznego działania, znikomość wpływów komunistycznych w okresie dwudziestolecia niepodległości.

Dzieje KPP zamyka uchwała egzekutywy Międzynarodówki Komunistycznej z pierwszych dni 1938 roku, rozwiązująca partię. W 1949 roku Daniszewski z okazji 30-lecia KPP pisał, że „w 1938 r. sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej. Komunistyczna Partia Polski, do której wślizgnęli się wrogowie, nasłani przez Piłsudskiego, prowokatorzy, została rozwiązana...”.

Gdy los jej został już w Moskwie przesądzony – fizycznie i praktycznie, w kraju ukazała się jeszcze, w czerwcu 1938 roku, ostatnia odezwa pt. „Ręce imperialistów – precz od Czechosłowacji! Precz z wojną!”. Zasluguje ona na uwagę jedynie z powodu dwu końcowych zdań, brzmiących:

„Niech żyje genialny nauczyciel ludów w ich walce o pokój tow. Stalin!

Niech żyje Komunistyczna Partia Polski!”.

Brzmia one wręcz niesamowicie, nieomal jak „Cesar, morituri te salutant!” („Witaj Cezarze, idący na śmierć cię pozdrawiają” – pozdrowienie kierowane jako by przez gladiatorów do cezara przed wejściem na arenę).

W tym bowiem czasie pozostawali przy życiu już tylko ci komuniści polscy, którzy znajdowali się w polskich więzieniach czy też gdzieś w ukryciu w Polsce. Wszystkich, dosłownie wszystkich poważnych przywódców KPP wraz z członkami ich rodzin zlikwidował już Stalin. [...]

► Długie listy fałszu

Jakżeż smętnie, a jednocześnie fałszywie, kłamliwie brzmią ogłaszane obecnie z okazji 40-lecia KPP wspominki i sylwetki czołowych działaczy, sylwetki, w których znajdujemy takie mętne słowa, jak „zginął tragicznie we wrześniu 1933 roku” lub „padł ofiarą nikczemnej prowokacji, niezachwiany w swych przekonaniach i wierności idei”, to ostatnie zdanie w szkicu Maksymiliana Minkowskiego pt. „Ludzie KPP – Jerzy Czeszejko-Sochacki”. Żanna Kormanowa w szkicu o Konstantym Graeserze-Kalickim jest bardziej lakoniczna. Stwierdza tylko: „Został aresztowany 6 sierpnia 1937. Zrehabilitowano go pośmiertnie 20 listopada 1953 r.”. Wstawić jedynie trzeba po kolei inne daty i nazwiska, a wówczas ułoży się długą, bardzo długą listę.

Obecni przywódcy komunistyczni i historycy (czy nie ściślej będzie powiedzieć: fałsyfikatorzy historii tego ruchu) nie mają odwagi odsłonić całej prawdy o swoich zamordowanych przywódcach. I tak np. Józef Kowalczyk, jeden z pomocników Tadeusza Daniszewskiego, we wstępie do III tomu dzieła „KPP – uchwały i rezolucje” opisuje się taką oto „dialektyką”:

„Wrogowie ludu pracującego zaczęli snuć misterną sieć intryg, zmierzając do tego, by rozbić KPP i pozbawić masy ludowe bohaterskiego kierownictwa. Podła dywersja osiągnęła zamierzony cel. W lecie 1938 roku Komitet Wykonawczy Międzynarodówki Komunistycznej wprowadzony w błąd przez wrogie elementy, które insynuowały, że do kierownictwa KPP przedostała się agentura sanacji [...] Stąd też wzmagające się prześladowania i plugawe metody dywersji, stosowane przez sanację w jej walce z ruchem komunistycznym”.

Swoją drogą Kowalczyk prześcignął swego patrona i mistrza Daniszewskiego. Ten ostatni bowiem nie odważyłby się sugerować, iż Kreml i Stalinem kierował Piłsudski, Beck lub Sławoj-Składkowski. Dzięki Kowalczykowi ujawniona została tak skrzętnie ukrywana tajemnica. Nareszcie wiemy, że w Moskwie mordowano polskich komunistów... na życzenie i prośbę rządu polskiego w Warszawie. [...]

Tytuł pochodzi od redakcji „NP”. Tytuł oryginału: „40-lecie KPP”. Tekst ukazał się w piśmie „Robotnik” – centralnym organie Polskiej Partii Socjalistycznej na uchodźstwie, nr 12/1958, grudzień 1958. Przedruk za Lewicowo.pl.



GAZETA POLSKA

1826-2020

HISTORIA ZOBOWIĄZUJE

www.GazetaPolska.pl

Sylwia Kołodyńska

KINO W TELEWIZJI, CZYLI 10 NAJCENNIJSZYCH FILMÓW NA VOD



Hasło: „film na VOD”
nie zawsze oznacza
film za darmo.
Ale za to może
oznaczać świetne
kino w domu.
Podpowiadamy,
w których
przypadkach.
Oto subiektywny
ranking najbardziej
wartościowych
i ciekawych filmów,
które trafiły na
platformy „video na
życzenie”.



► 1. Mroczny „Lighthouse”

Obrzydliwe i zachwycające zarazem. Takie jest nominowane do Oscara w kategorii „Zdjęcia” dzieło Roberta Eggersa „Lighthouse”. Reżyser sam o swoim obrazie powiedział: „To film o tym, że nic dobrego nie wyjdzie z sytuacji, kiedy zamkniemy dwóch facetów w wielkim fallusie”, mając na myśli latarnię morską. Willem Dafoe i Robert Pattinson wcielają się w dwóch strażników tego mrocznego budynku, którzy pogrążają się w samotności doprowadzającej ich na skraj chorób psychicznych. Dla każdego kinomana dzieło Eggersa jest absolutnie obowiązkowe. Grube ziarno z czarno-białej taśmy nadaje charakteru, który w kinie już dawno był zapomniany. Warto podkreślić, że jest to film – delikatnie pisząc – psychodeliczny, więc polecamy go wyłącznie widzom dorosłym.

Na marginesie – prace Roberta Eggersa nad najnowszym filmem „The Northman” zostały wstrzymane z powodu pandemii koronawirusa.

► 2. Zniewalający „Dżentelmeni”

Reżyser Guy Ritchie wszedł w rolę genialnego filmowca i precyzyjnego aptekarza zarazem. Budowanie napięcia, błyskotliwych zwrotów akcji i wyściskanie z aktorów tego, czego oni sami jeszcze w sobie nie odkryli. To cechy jego pracy, które widać gołym okiem. Dlatego trzeba ten film obejrzeć. Jest on jak pudełko konfetti. Bez względu na nastawienie do seansu, efekt przerośnięcie oczekiwanie. Mikcey Pearson (Matthew McConaughey) to brytyjski król marihuany. Ukryta przez niego wielkich rozmiarów plantacja marihuany przynosi mu pieniądze i władzę. Jego świat to dzika dżungla, w której samiec Alfa może być tylko jeden. Ale jak wiadomo, zawsze znajdują się młode goryle próbujące wysadzić króla dżungli z tronu.

► 3. Oscarowy „Parasite”

Koreańska produkcja zdobyła Oscary w kategoriach: „Najlepszy film”, „Najlepszy scenariusz oryginalny”, „Najlepszy reżyser” i „Najlepszy film nieanglojęzyczny”. Ma też na koncie Złotego Globa za „Najlepszy film zagraniczny”, Złotą Palmę z Cannes za „Najlepszy film” i około trzydziestu innych statuetek. Jednak nie to jest powodem, dla którego ten film trzeba zobaczyć. Bardziej wartościowy od tych aplauzów środowiska filmowego jest fakt, że sukces odniósł obraz bardzo niewygodny politycznie i społecznie. Dzieło w artystycznej formie realizacji pokazuje, jak wykluczenie może prowadzić na drogę przestęp-

fot. mat. pras.

stwa. Jak bieda może prowadzić do nienawiści. Z jaką łatwością ludzie zepchnięci na margines mogą sięgnąć po przemoc...

► 4. Fantazja ułańska „Legionów”

Długo wyczekiwana produkcja w reżyserii Dariusza Gajewskiego o „garście dzieciaków, która stanęła przeciwko trzem imperiom”. Film trzeba obejrzeć dla przepięknych i spektakularnych jak na polskie kino scen batalistycznych. I tak szarża pod Rokitną i bitwa pod Kostiuchnówką, które przeszły do historii polskiego bohaterstwa, teraz przeszły również do historii polskiego kina.

► 5. „1917” w eksperymentalnej technice

To ten film zwyciężył zdjęciami z „Lighthouse” w oscarowym wyścigu. I dlatego nie można przegapić tego seansu. Zdjęcia i technika realizacji w niespotykanych dotąd tak długich ujęciach są największą wartością tego tytułu. Sam Mendes zrobił film o brytyjskich żołnierzach walczących na froncie zachodnim. Mendes, znany z dwóch bondowskich produkcji, postanowił pokazać bohaterów z krwi i kości, od których agent 007 mógłby się uczyć.

► 6. „Proxima”, kosmos i ból

Krew, pot i łzy. Tak wyglądają przygotowania astronautów do lotu w kosmos. A film „Proxima” warty jest uwagi właśnie dlatego, że obala mit podróży kosmicznych jako drogi usłanej gwiazdnym pyłem, którą astronauta pokonują w aurze sławy i sukcesu. Film w Evą Green w roli głównej nagrywany był w realnych plenerach Gwiezdnego Miasteczka pod Moskwą i na terenie kosmodromu Bajkonur w Kazachstanie. Zobaczyć autentyczne lokacje Agencji Kosmicznej, w których ćwiczą astronauta, bezcenne.

► 7. „Ukryta gra” w Pałacu im. Stalina

Kino szpiegowskie w cieniu Pałacu Kultury i Nauki. Twórcy z reżyserem Łukaszem Kośmickim na czele dość swobodnie podeszli do realiów lat 60. Dyrektorem PKiN czyniąc człowieka starającego się myśleć niezależnie... Amerykańskie tajne służby porywają matematycznego geniusza i alkohika, Joshuę Mansky’ego. Mężczyzna ma stoczyć w Warszawie szachowy pojedynek z sowieckim graczem. Gra jest jednak tylko przykrywką dla szpiegowskiej intrygi z konfliktem nuklearnym w tle. Więcej zachęt nie trzeba.

► 8. Samotny jak „Ikar”

Ten film powinni obejrzeć nie tylko fani kina, ceniący wrażliwość reżysera Macieja Pieprzycy, lecz także fani muzyki, którzy nie odkryli jeszcze jazzu Mieczysława Kosza. „Ikar. Legenda Mietka Kosza” to filmowa opowieść o genialnym i skromnym chłopaku z polskiej prowincji, który robi oszałamiającą karierę mimo kalectwa. Kosz jest niewidomy, co nie przeszkadza mu robić furorę i łamać serca. Szkoda, że tylko wtedy, gdy jest na scenie. Po zejściu z niej jest człowiekiem nieszczęśliwym. A „Ikar. Legenda Mietka Kosza” to wzruszająco piękny film o samotności.

W „LIGHTHOUSE” WILLEM DAFOE
I ROBERT PATTISON WCIELAJĄ SIĘ
W DWÓCH STRAŻNIKÓW LATARNI MORSKIEJ,
KTÓRZY POGRAŻAJĄ SIĘ W SAMOTNOŚCI
DOPROWADZAJĄCEJ ICH NA SKRAJ CHOROÓB
PSYCHICZNYCH.

► 9. „Jak zostałem gangsterem” i czytałem Tyrmanda

Film Macieja Kawulskiego przybliżyć ma sylwetkę bandziora, który działał na polskim mafijnym rynku lat 40. Gangster czyta „Złego” Leopolda Tyrmanda, jest skromny oraz nie krzywdzi kobiet i dzieci. Filmowcy wystawiają widzów na poważny test. Pułapkę relatywizmu. Morderca jest słodki niemal jak Leon Zawodowiec. A polski film jest po prostu dobrym kinem gangsterskim i warto się przekonać, że nasi rodacy mają i takie produkcje na koncie.

► 10. „(nie)znajomi”

Na finał polecamy film o zdradach, oszustwach i nieuczciwości. Wielkie słowa i wielkie grzechy? Doprawdy? Wystarczy podczas kolacji w gronie przyjaciół zaproponować czytanie na głos wszystkich wiadomości, które przychodzą na telefony biesiadników, a połączenia odbierać w systemie głośnomówiącym. Dobra zabawa może szybko przerodzić się w dramatyczny rollercoaster. Tak rozpisana jest fabuła filmu „(nie)znajomi”. Spotkanie bez prywatności i bez sekretów, jakkolwiek sympatycznie brzmi, przynosi fatalny finał. ■

Marek Kalinowski

Symfonia na trudne czasy

Motyw losu V Symfonii Beethovena po raz kolejny puka do naszych drzwi, i to w czasie zupełnie niezwykłym. Mimo sprzyjających, pandemicznych okoliczności, tym razem nie wywołuje jednak grozy, choć – jak każde z nagrań ekscentrycznego dyrygenta Teodora Currentzisa i jego permskiej orkiestry – nikogo nie pozostawi też obojętnym.

Uczęści wzbudza zachwyt, u innych irytację – rzadko który z dyrygentów wywołuje aż tak silne, a zarazem skrajne emocje. Teodor Currentzis wychodzi przed orkiestrą w czarnym podkoszulku, obcisłych džinsach i glanach. Trudno odmówić mu charyzmy, w trakcie utworów unosi się i tańczy, a orkiestra wychwytuje najdrobniejszy gest i spojrzenie. Jest geniuszem, a jednocześnie czarodziejem.

Choć urodził się w Grecji, na ojczyznę wybrał Rosję. W Petersburgu ukończył konserwatorium, a nasycony romantyczną wizją dźwięków nie wyobrażał sobie, by karierę muzyczną mógł kontynuować gdziekolwiek indziej. W oddalonej o tysiące kilometrów od najważniejszych sal koncertowych Permie, z godną podziwu konsekwencją budował własną orkiestrę. MusicAeterna jest dzisiaj jedną z najważniejszych orkiestr świata. Od kilku lat wspólnie podbijają światowe sceny, prezentując dzieła klasyków, w niezwyklej, odważnych, a czasem wręcz wywrotowych wykonaniach. Taki był właśnie uduchowiony, zapierający dech w piersiach odczyt VI Symfonii Czajkowskiego, fenomenalne „Requiem” Mozarta i zadziwiająco swobodne spożycie na partyturę VI Symfonii Mahlera. Z tym większą ciekawością sięgamy więc po najnowszy album MusicAeterny, tym razem z nagraniem doskonale znanego dzieła Beethovena.

Piąta symfonia po raz kolejny przypomina o sobie w trudnym dla ludzkości momencie. Napisana w czasie wojen napoleońskich, ponad sto lat później, emitowana przez rozgłośnie BBC, stała się w czasie II wojny światowej

symbolem walczącej Europy. Tym razem dzieło Ludwiga van Beethovena towarzyszy nam w sytuacji, gdy zamknięci w domach, z bezradnością i trwogą przyglądamy się, jak pogrążony w pandemii świat zmienia się w zupełnie nieprzewidywalny sposób.

Wykonanie Currentzisa, o dziwo, nie budzi jednak trwogi. Rozpędzona orkiestra mknie przez arcydzieło Beethovena, nie dając nam zbyt wiele czasu na zadumę. Dźwięki nadchodzą z prędkością petardy, a wszystko dzieje się zbyt szybko, by wywołać grozę, co równie przejmująco koresponduje z obecną rzeczywistością. Niczym zahipnotyzowani dryfujemy w ślad za narzuconą przez wykonawcę wizją, a jej konsekwencje docierają do nas po czasie. Currentzis nie znosi bowiem nijakości, świat jego dźwięków jest hojnie nasycony barwami. Łagodne smyczki uspokajają i koją przed nieuchronnością mocnych uderzeń. Precyzja i dbałość o najdrobniejszy szczegół sprawia, że wracamy raz po raz, racząc się detalami, a gdy to odkryjemy, czas w utworze nieoczekiwanie zwalnia.

Pod koniec roku ma się jeszcze ukazać VII Symfonia Beethovena w wykonaniu Currentzisa i jego MusicAeterna. Choć zespół wykonał ją w trakcie tej samej wiedeńskiej sesji nagraniowej, kolejną symfonię artysta zdecydował się wydać jednak na oddzielnej płycie. Słusznie chyba wyszedł z założenia, że to zupełnie inne w nastroju, odrębne dzieło, wymagające też oddzielnej uwagi. Miejmy jednocześnie nadzieję, że nowe wydawnictwo zastanie nas w nieco bardziej radosnej rzeczywistości, z którą „taneczna” VII symfonia będzie lepiej korespondowała. ■



Teodor Currentzis, MusicAeterna, BEETHOVEN: SYMPHONY NO. 5, Sony Classical



Krzysztof Karnkowski

W KINIE DZIŚ NIE ZAŚNIE NIKT

„W lesie dziś nie zaśnie nikt” zapowiadane było jako pierwszy polski horror. Tymczasem choć dorobiliśmy się wcześniej kilku filmów aspirujących do tego gatunku, większość z nich nie była udana, a część odbiegała od tej konwencji. Ciekawe, że horror, który świetnie radzi sobie u nas jako gatunek literacki (Łukasz Orbitowski, Jakub Małecki), w polskim kinie wciąż nie może się przyjąć. I nawet nieszczęsny leśny slasher nie miał szansy zaistnieć na dużym ekranie. Kłątwa najwyraźniej wciąż działa.

Nim wrócimy do lasu, rozejrzyjmy się trochę po skromnej historii gatunku. W PRL horror miał rację bytu tylko jako wspomnienie z czasów, zanim materializm dialektyczny przegonił precz wszystkie duchy. Dlatego też wszystkie opowieści grozy umiejscowione musiały być w przeszłości.

► Oni przecierali szlaki

Pierwszy zapamiętany polski film, zbliżający się całkiem skutecznie do klimatu horroru, to nakręcony według opowiadania przedwojennego mistrza gatunku, Stefana Grabińskiego, „Ślepy tor” w reżyserii Ryszarda Baera z 1968 roku. Ta miniatura stanowiła jedną z części telewizyjnego cyklu „Opowieści niezwykle”, który rok później ten sam reżyser zamknął ekranizacją innego tekstu Grabińskiego – „Pożarowisko”. Obie miniatury zrobione są nad wyraz przyzwoicie i przy oczywistym zastrzeżeniu, że oglądamy dzieła z czasów czarno-białej telewizji, wciąż można umieścić je na szczycie zestawienia polskich produkcji mających widza choć trochę nastraszyć. W 1970 roku na ekrany wszedł „Lokis. Rękopis profesora Wittembacha” w reżyserii Janusza Majewskiego, który legalnie został udostępniony na YouTube przez Studio Filmowe TOR i jak widać w komentarzach, nawet po latach zbiera dobre opinie widzów, dość wysoko (6,7 na 10) oceniany jest również przez użytkowników Filmwebu. „Lokis” to historia pastora-etnografa, który podczas badań sakralnych tradycji Litwy odkrywa dramatyczną historię szlacheckiej rodziny z potężnym niedźwiedziem w tle. Później nie działo się w temacie nic aż do 1983 roku, gdy Marek Piestrak nakręcił zbierającą nie najgorsze opinie „Wilczyce”. Film, uznany za klasykę, rozgrywający się w środowisku XIX-wiecznej arystokracji, z bohaterką zamieniającą się w tytułowe zwierzę, a szukającą zemsty na niekochającym mężu, obejrzały 2 mln widzów. Tym samym w historii polskiego horroru rozpoczęła się era Piestraka, niestety kolejne filmy tego etatowego twórcy kina grozy nie zapisały się w pamięci widzów dobrze. W 1987 roku reżyser nakręcił „Kłatwę doliny węży”, próbując być już kinem „kapitalistycznym” w formie. Tytuł zdobył zapewne rekord frekwencyjny z racji wyświetlania w radzieckich kinach, gdzie spragnieni „zachodniej” rozrywki widzowie kupili 25 mln biletów. W Polsce obraz Piestraka obejrzał milion widzów, jednak zapamiętali oni głównie fatalne efekty specjalne. Trzy lata później powstał absurdalny „Powrót wilczy”, w której nieszczęścia na bohatera ściąga czaszka odkryta w zniszczonym grobie wilczy z części pierwszej. Jest to opowieść bez większego sensu i wartości, której ewidentne braki Piestrak próbował łączyć erotyzmem. W 1992 roku nakręcił jeszcze źle przyjętą „Łzę księcia ciemności”, kończąc na niej przygodę z kinem gatunkowym. W międzyczasie, zapewne na fali popularności „Wilczy”, Grzegorz Warchoł kręcił film-nieporozumienie „Lubię nietoperze”, w którym możemy zobaczyć chyba tylko zapowiedź przyszłej potężnej porażki Warchoła-reżysera, jaką była kontynuacja „Alternatywy 4”, czyli serial „Dylematu 5”.

► Późniejsze produkcje

Po 1989 roku powstało kilka filmów zaliczanych do gatunku, czasami mocno na wyrost. Warto wspomnieć o niezależnym „Dla ciebie i ognia” Mateusza Jemioła i Tomasza Zasady, przywodzącym na myśl „Adwokata diabła” i opowiadającym o zniszczonym przez swoją ambicję młodym dziennikarzu. Na drugim biegunie mieści się wyjątkowo nieudany film „Arche. Czyste zło”, co ciekawe stworzony przez znanych prawników czytelnikom Artura M. Nicponia i Grzegorza Brauna. Ten jakoby „pierwszy niezależny polski film fantastyczny” faktycznie jest „czystym

złem". W 2008 roku Grzegorz Kuczeriszka nakręcił złe przyjętą „Porę mroku”.

W 2015 roku głośno było o filmie „Demon” Marcina Wrony, który popełnił samobójstwo kilkadziesiąt godzin po dobrze przyjętej premierze filmu na festiwalu w Gdyni. To udana artystycznie opowieść o przenikaniu się współczesnej Polski z jej żydowskim dziedzictwem, tu ukazany za pomocą ducha młodej Żydówki, rujnującego wesele bohaterów po przypadkowym odkopaniu jej szkieletu. Ciekawe są bardzo silne podobieństwa z „Weselem” Smarzowskiego, z którego niemal żywcem wzięto niektóre figury bohaterów. To film klimatyczny, ale nie do końca horror, raczej poetycki dramat z opętaniem w tle, z elementami komedii. Warto wspomnieć, że współscenarzystą filmu był Paweł Maślona, później reżyser bardzo dobrego „Ataku paniki”, jednej z niewielu udanych polskich komedii w ostatnich latach.

Wydarzeniem artystycznym okazały się „Córki dancingu” Agnieszki Smoczyńskiej z 2015 roku, smutny horror wymieszany ze stylizowanym na lata 80. równie smutnym musicalem. Widz początkowo nie spodziewa się, że na ekranie pojawi się sporo krwi, wewnętrżności i obrzydliwości. Ten bravurowy obraz jest znakomity od strony artystycznej i formalnej. Do horroru niektórzy zaliczają też tytuł „Wieża. Jasny dzień” (2017). Film Jagody Szelc sprawia wrażenie oglądanej przypadkiem kasety wideo z imprezy rodzinnej zupełnie obcych nam ludzi. Nie słyszymy, o czym kto mówi, nie wiemy też za bardzo, o co chodzi. Film jest wręcz przepakowany ujęciami i scenami, które mogą być symboliczne, co z kolei daje pole do popisu recenzentom z przerostem ambicji. Jako kino artystyczne nie jest to obraz zły. Można mieć jednak żal do reżyserki o to, że przez cały czas obiecuje nam, iż za kolejnym zakrętem ujrzemy wreszcie coś dramatycznego... i nic się nie dzieje. „Wieża” dobrze pokazuje, na czym polega w Polsce problem z horrorami, które wciąż traktuje się u nas bardziej jako gatunek artystyczny niż rozrywkowy. I to właśnie „W lesie dziś nie zaśnie nikt” skutecznie próbuje przełamać.

► Aktorzy idealnie dobrani

„W lesie...” to historia grupy młodych ludzi, którzy trafiają na obóz dla uzależnionych od telefonów i internetu. Niemal natychmiast padają oni ofiarą rodzeństwa mutantów. Przez ekran przewijają się postacie przerysowane, komediowe, a jednak w tym przerysowaniu nadal wiarygodne. Ze starszych (dorosłych) bohaterów właściwie każdy zasłu-

guje na wspomnienie – i jako postać, i odgrywając ją aktor. Gabriela Muskała jest całkowicie autentyczna w roli zakochanej w turystycznych wyzwaniach opiekunki, zaś Piotr Cyrwus jako psychopatyczny ksiądz kolejny raz po „Fanatyku” uwalnia się od, wydawałoby się, już na trwałe z nim skojarzonej roli Rysia z „Klanu”. Mirosław Zbrojewicz znakomicie wypada w roli zniszczonego wieśniaka, jedynej osoby, która wie, co się naprawdę dzieje, zaś Wojciech Meczaldowski pokazuje wielki talent komediowy w mowie powitania uczestników obozu. Wszystko jest hołdem dla klisz gatunku, które zresztą wymienia jeden z młodych bohaterów, Julek, by z przerażeniem obserwować, jak jego nowa ekipa popełnia po kolei wszystkie błędy, których robić nie wolno. Właśnie – młodzi bohaterowie. Tu również udało się uniknąć pułapek, a przede wszystkim tak częstej u początkujących aktorów drewnianej gry. Gruby Julek (Michał Lupa), w ostatniej chwili zesłany na leśny obóz zamiast na prestiżowe koreańskie zawody gamingowe, „wyzwolona” Aniela (Wiktoria Gąsiewska), mroczna Zosia (Julia Wieniawa-Narkiewicz), nieśmiały palacz (Sebastian Dela) i sportowiec ukrywający się ze swoją orientacją (Stanisław Cywka) – są bohaterami jak z podręcznika o tworzeniu bohaterów slashera. Krew i trzewia przelewają się gęsto, ale też pomysłowo, warto wspomnieć choćby smutny koniec policjanta (Olaf Lubaszenko), wszystkiemu towarzyszy zaś bardzo udana muzyka Radzimira Dębskiego.

W 2017 roku Bartosz M. Kowalski dla wchodzącego na polski rynek Showmaxa nakręcił krótkometrażowe „Zacisze”, które można uznać za wprawkę do dużego filmu. Filmik trwa zaledwie kilkanaście minut, lecz dla filmowca to dość czasu, by coś zepsuć, tymczasem Kowalskiemu udało się wszystko porządnie doprowadzić do końca. Tak jak w późniejszym „W lesie...” z atmosferą niepokoju i późniejszą rzezią miesza się humorystyczna i bardzo czujna obserwacja charakterologiczna bohaterów, w których wcielają się Iwona Wszółkówna i (znów) Piotr Cyrwus. Co ciekawe „Zacisze” nie było pierwszym podejściem Kowalskiego do horroru. W tym nurcie mieścił się również jego pierwszy, niezależny debiut nakręcony podczas studiów we Francji – „Jingle bell fever”, opowiadający o więźniach obrońcy przez epidemię w krwiożercze bestie, temat więc tak jakby na czasie... W międzyczasie Kowalski skupił się na dokumentach, tworząc też kontrowersyjną fabułę „Plac zabaw”, naturalistycznie pokazującą przemoc z udziałem dzieci. Film swoją drastycznością wręcz wymiatał widzów z kin, to jednak zupełnie inny rodzaj horroru niż barwny slasher. ■



Ryszard Czarnecki

Rosja: kompleks Polski i Polaków

Rosja jest krajem niemal cztery razy ludniejszym niż Polska, ale mam wrażenie, że nasi wschodni sąsiedzi – już na szczęście niejedyni – patrzą na nas może i z niechęcią, ale pomieszaną z dużą dozą zazdrości i... kompleksów.

Przecież to nie przypadek, że święto narodowe nowej rosyjskiej państwowości, czyli Federacji Rosyjskiej, przypada na 4 listopada, czyli upamiętnia datę oswobodzenia Kremla z „jarzma polskich panów”. Polacy rezydowali na Kremlu od 1610 do 1612 roku. Niestety, byli tacy, którym to przeszkadzało, i ten błogi okres w historii Polski się zakończył...

No i właśnie, nie zwycięstwo nad Niemcami Hitlera w 1945 czy Francją Napoleona w 1812 roku jest datą narodowego święta Rosjan – tylko coś, co zdarzyło się aż 408 lat temu i było nie wiktoria na placu boju, lecz po prostu odzyskaniem po latach z rąk Polaków siedziby carów.

Użyłem tutaj popularnego w Rosji określenia „polskie pany”, używanego zwłaszcza w propagandzie komunistycznej, lecz wdrukowanego także w świadomość przeciętnych Rosjan. Przecież w samym tym pojęciu „polski pan” widać rosyjski kompleks wobec Polaków!

W rosyjskiej pamięci historycznej jest też obecny fakt, że Rosjanie – poddani kolejnych carów, w tym także bojarowie – uciekali do Polski z jej wolnością, religijnymi swobodami, tolerancją i zaprzeczeniem tego wszystkiego, co najbardziej u świadomych Rosjan budziło grozę w ich ojczyźnie. Car w Rosji mógł bez problemu pozbawić bojara głowy, kiedy tylko chciał, ale polski król, nawet jakby o tym marzył, to był w gorsecie prawa, które każdemu szlachcicowi gwarantowało praktyczną nietykalność – chyba że popełnił ciężkie przestępstwo.

Polska dla Rosjan, a zwłaszcza dla rosyjskich elit, była atrakcyjna. O ile na polskim dworze królewskim mówiło się językiem powszechnie praktykowanym w Europie, czyli najpierw łaciną, potem francuskim, to na dworze carów w Moskwie aż do końca XVII wieku to język polski był językiem arystokracji, językiem dyplomacji,

językiem Kremla. Nic bardziej niż to nie świadczy o polskich wpływach kulturowo-cywilizacyjnych.

Rosjanie byli i są zazdrośni nawet o... polską narodowość autorów zamachów na cara! Przykład choćby rosyjskiej historiografii w kontekście zamachu na cara Aleksandra II z 13 marca 1881 roku. Za zamach odpowiedzialna była rosyjska organizacja, nie bójmy się tego słowa – terrorystyczna – „Narodna Wola”. Do jego przeprowadzenia przeznaczono niebudzącą większych podejrzeń kobietę Zoję Pierowską. Rzeczywiście rzuciła bombę, która eksplodowała, zabijając dwóch stangretów, konie i bodaj jednego oficera z ochrony cara. Car przeżył, wyszedł, otrząpął się i powiedział: „Dzięki Bogu, my żywi”. Wtedy do akcji włączył się Polak Ignacy Hryniewiecki. Ten nasz 26-letni rodak z Grodzieńszczyzny był skuteczny: bomby rzuconej przez Polaka car już nie przeżył. Ale w rosyjskich podręcznikach historii istnieje w kontekście tego zamachu przede wszystkim Pierowska, a nie Hryniewiecki....

Polaka i Rosjanek stracono, ale zamach nie tylko przeszedł do historii, lecz wpłynął także na znaczne zastrzeżenie kar dla nawet potencjalnych tylko zamachowców. Siedem lat później wykryto zamach na Aleksandra III i pojmano niedosłego sprawcę niejakiego Aleksandra Ulianowa. Tak, tak, starszego brata Włodzimierza Ilicza, tego, który przeszedł do historii pod partyjnym pseudonimem „Lenin”. Ulianow nie za fakt zamachu, lecz za sam zamiar zamachu położył głowę. I to mimo tego, że matka Ulianowa, a córka znanego lekarza z Astrachania (stolica rosyjskiego kawioru), błagała cara o łaskę – Aleksander III był bezlitosny.

Cóż, brat Lenina tak naprawdę życie stracił przez Polaka Hryniewieckiego, który potrafił zabić cara, w przeciwieństwie do Rosjanki – i Rosjanina.

A może ten rosyjski kompleks wobec Polaków wynika także z faktu, że szefem CzeKa (czyli późniejszego KGB), odpowiadającej za śmierć 6 mln Rosjan w czasach rewolucji i po niej, był polski szlachcic Feliks Dzierżyński? ■



Olga Doleśniak-Harczuk

Pandemia wryje nam się w pamięć

Jestem pewien, że przez to, że ten kryzys spadł na nas tak nieoczekiwanie, i poprzez wszystkie restrykcje, którym musieliśmy się poddać, by stoczyć z nim walkę, to doświadczenie mocno na nas wpłynie, będziemy o nim pamiętać. Bo to nie jest coś, co oglądam na ekranie telewizora, to nie jest jakiś program telewizyjny, lecz wydarzenie, które dotyczy mnie samego – z profesorem Jürgenem Margrafem, specjalistą w dziedzinie psychologii klinicznej i psychoterapii Ruhr Universität Bochum, członkiem Niemieckiej Narodowej Akademii Nauk, Leopoldina, rozmawia
Olga Doleśniak-Harczuk.

► Jakiego Pana zdaniem będą społeczne konsekwencje pandemii koronawirusa?

One mogą być dwojakie. Zaczęć do tych na plus. W przypadku społeczeństwa niemieckiego widać już pierwsze pozytywne. Niesamowita solidarność międzyludzka wyzwolona zagrożeniem. Świadomość, że aby to przetrwać, trzeba się trzymać razem. Badania potwierdzają, że Niemcy wykazali się jak na razie dalece posuniętą solidarnością i akceptacją dla metod, jakimi posługuje się rząd w walce z pandemią. Większość społeczeństwa popiera te działania, ale to jest w sumie typowe zjawisko w sytuacjach kryzysowych, chociaż w Niemczech jest ono zdecydowanie bardziej widoczne niż na przykład w Stanach Zjednoczonych.

Ciekawe jest to, jak w czasie pandemii zmieniło się podejście do pewnych profesji. Zawody, które do tej pory nie cieszyły się prestiżem, dziś są bardziej doceniane – czy to są ekspedientki, panie obsługujące kasy w marketach, osoby sprzątające. Każdy z nich spotyka się z jakąś formą wdzięczności. I to są pewne pozytywne efekty obserwowane przy okazji kryzysu. Kolejne to docenianie wartości, powrót do tego, co jest w życiu naprawdę ważne. Czas spędzony z najbliższymi, zacieśnianie więzi.

► Na razie brzmi dobrze, z tego co Pan mówi, wiele osób może przewartościować swoje życie, wrócić do korzeni. A jednak w pewnej chwili sielanka może ustąpić miejsca lękowi. O miejsce pracy, o przyszłość, o to, że życie, które się wiodło, długo, a może już nigdy nie wróci na dawne tory...

Oczywiście są i skutki negatywne. Te, które dotkną naszej gospodarki. Ekonomiści prognozują zapaść, PKB – w zależności od komentatora – ma spaść od minus 4 procent do minus 20 procent. Pewne jest, że wielu ludzi straci pracę. Mój syn pracuje w branży eventowej, zajmuje się organizowaniem masowych imprez z wykorzystaniem multimedii, przyszłość takich miejsc pracy i firm stoi dziś pod znakiem zapytania. Najbardziej jednak na pandemię stracą najubożsi. W raporcie Leopoldiny wskazywaliśmy, że ciężar kryzysu gospodarczego wywołanego pandemią spadnie przede wszystkim na najsłabszych ekonomicznie, na osoby samotnie wychowujące dzieci, w Niemczech to bardzo duża grupa, ale i na bezrobotnych, osoby z zaburzeniami psychicznymi etc. Pytanie, jak sobie z tymi poradzimy. Tak zwana niższa warstwa społeczna – celowo używam tego terminu, ponieważ dla mnie jest on tu najbardziej adekwatny, mimo że w Niemczech w ostatnich latach używaliśmy eufemizmów takich jak „warstwa uboga edukacyjnie”. Otóż niższa warstwa społeczna bory-

ka się z różnego rodzaju problemami, to wynika z mojego doświadczenia zawodowego. Grupa ta przyjmuje pewien sposób myślenia, które często utrudnia wyrwanie się z trudnej sytuacji życiowej, kiedy natomiast nakłada się na to jeszcze sytuacja kryzysowa, obciążenie staje się podwójne.

► **Wspomniał Pan o raporcie Leopoldiny. Był to dokument, w którym eksperci Akademii w połowie kwietnia zawarli pewne rekomendacje stopniowego otwierania życia społecznego i gospodarczego Niemiec. Kilka dni wcześniej kraj związkowy Nadrenia Północna-Westfalia opublikował swój plan wychodzenia z narodowej kwarantanny. W obu raportach podkreślano możliwe skutki narodowej kwarantanny na psychikę ludzką. Co robi z naszą psychiką bieżący kryzys?**

To zależy od tego, jak ocenimy sytuację, od tego, czy uznamy ją za taką, którą możemy kontrolować i przewidzieć jej dalszy ciąg czy nie.

► **Przecież nie da się kontrolować czegoś, co już weszło do powszechnego użycia jako „niewidzialny wróg”...**

Ależ owszem, możemy. Kontrola to kwestia subiektywnej oceny, nie chodzi o obiektywną ocenę sytuacji, lecz właśnie subiektywną. Wiele badań naukowych to potwierdziło. Zaczyna się od właściwej komunikacji. Jeżeli rządy potrafią rzetelnie i odpowiedzialnie komunikować rozwój sytuacji i kolejne planowane i podejmowane kroki, to już wkraczamy w sferę tego, co można nazwać prognozą. Przekaz musi być spójny i konsekwentny, a nie jednego dnia taki, następnego już inny. Ale nie kończy się na komunikacji ze strony władz. My sami zyskujemy poczucie, że kontrolujemy sytuację, jeżeli możemy uczynić coś, co na nią wpływa. Jeżeli dzięki temu, że noszę maseczkę w sferze publicznej, że myję dłonie 20 sekund, że zachowuję wymagany odstęp względem innych, mogę przyczynić się do ograniczenia rozprzestrzeniania się wirusa, to wzrasta we mnie poczucie kontrolowania sytuacji. I jest to odwrotność postawy, którą można streścić jako: „nic nie ma sensu, i tak wszyscy umrzemy”.

► **Dobrze, a zatem nosimy maseczki, myjemy ręce i wydaje się nam, że kontrolujemy sytuację. Tylko czy to poczucie przypadkiem nie ulatnia się w miarę postępu pandemii, na zasadzie „robię wszystko jak trzeba, a koronawirus jak był, tak jest”?**

We wszystkim, czego doświadczamy, bardzo istotne jest to, czy coś przytrafia się nam jednorazowo, czy następuje falami. W pierwszym przypadku jesteśmy w stanie się do pewnych sytuacji szybko przyzwyczaić, niezależnie od tego, czy jest ona dla nas pozytywna, czy negatywna. Po prostu prędzej czy później osławiamy się z nową rzeczywistością, zmianą, stratą etc. Jeżeli jednak rozwój sytuacji wymyka się przewidywalności – w przypadku pandemii mogą to być komunikaty, że wirus może znowu uderzyć jesienią, a może latem, raz za rok, raz za trzy miesiące itd., a jeszcze do tego dojdzie nieumiejętna komunikacja na linii rządu–społeczeństwo – poczucie kontroli topnieje. W psychologii mówi się o sile czynników wzmocnienia. To termin określający każdy bodziec, który następuje po reakcji i zwiększa jej siłę. Uczymy się szybciej, jeżeli regularnie otrzymujemy wzmocnienie [na przykład w formie nagrody, wtedy mówi się o pozytywnym wzmocnieniu – przyp. O.D.H.], ale jeżeli to wzmocnienie jest zmienne, to znaczy raz pojawia się natychmiast, raz trzeba poczekać dłużej i człowiek już w pewnym momencie nie wie, kiedy może się go spodziewać, to traci się poczucie kontroli.

► **Sądzi Pan, że kryzys koronawirusa stanie się pewnym wydarzeniem epokowym, czymś, co zostawi trwały ślad w tkance społeczeństw, w pamięci kolektywnej, tak jak upadek żelaznej kurtyny, ataki na World Trade Center, kryzys ekonomiczny roku 2008 itd.? To są pewne wydarzenia, które nas w pewnym sensie ukształtowały. Z pandemią będzie podobnie?**

Jestem pewien, że przez to, że ten kryzys spadł na nas tak nieoczekiwanie, i poprzez wszystkie restrykcje, którym musieliśmy się poddać, by stoczyć z nim walkę, to doświadczenie mocno na nas wpłynie, będziemy o nim pamiętać. Bo to nie jest coś, co oglądam na ekranie telewizora, lecz wydarzenie, które dotyczy mnie samego. Proszę zauważyć, jak było z upadkiem żelaznej kurtyny, upadkiem Muru Berlińskiego, w Polsce z powstaniem „Solidarności”, w USA z atakiem na World Trade Center czy kryzys AIDS. Wydarzenia, które wrosły się w naszą pamięć, bo je dobrze pamiętamy. Ja w sposób szczególny wspominam początki AIDS, jako początkujący naukowiec byłem wtedy na Uniwersytecie Stanforda i z bliska widziałem, jak postępuje AIDS. Niewyobrażalna skala umieralności, widok wielu umierających ludzi, a umierali nie tylko homoseksualiści, pamiętam, jak podchodziło się do łóżek zarażonych, jaki strach temu towarzyszył. Ale co nam pozostało po tym wszystkim? Po kryzysie AIDS zostało nam tyle, że wciąż zbyt

mało ludzi praktykuje zasady bezpiecznego współżycia seksualnego, są państwa w Afryce, gdzie wciąż tłumaczy się ludziom, że jak wezmą prysznic, to wirus zniknie. Nie zawsze więc wyciągamy wnioski ze wstrząsów, z kryzysów. Pozytywnym przykładem jest Azja, gdzie rządy i urzędy niektórych państw dość szybko wyciągnęły wnioski z epidemii SARS i szybko zorientowano się w sytuacji, mimo tego, że w Chinach na początku próbowano tuszować sprawę. W Niemczech zyskaliśmy blisko dwa miesiące, by przygotować się na epidemię. Niestety, nie zareagowaliśmy na zagrożenie od razu.

► Jak Pan to tłumaczy?

Spojrzelismy na sytuację w Azji z zachodnią arogancją i jeszcze snuliśmy własne teorie. Tajwan i Korea Południowa poradziły sobie dużo lepiej. Jak się patrzy na odsetek umieralności w tych państwach, to rodzi się głęboki podziw dla sposobu opanowania kryzysu. Ja dorastałem w Belgii i z przerażeniem patrzę na tamtejsze statystyki zakażenia i umieralności na COVID-19. Belgia, która ma cztery razy mniej mieszkańców niż Niemcy, odnotowuje od nich więcej zgonów. Chociaż trzeba podkreślić, że te liczby też nie są dokładne, naukowcy nie rozumieją, dlaczego nasze rządy w Europie, nie mówię bowiem tylko o rządzie Niemiec, nie przeprowadzają losowych testów na obecność koronawirusa, testów przeprowadzanych niezależnie od występowania symptomów. Tylko z taką wiedzą możemy stawiać prognozy dalszego rozwoju epidemii, to jest niezmiernie istotne, bo przecież na podstawie tych danych podejmuje się ważne decyzje dla całych społeczeństw. Zamiast tego mówimy tylko o liczbach absolutnych. Ale te liczby też kształtują się różnie w zależności od państwa i przyjętej metody walki z koronawirusem. Spójrzmy na Szwecję czy Wielką Brytanię, zatrważające statystyki umieralności. To są państwa, które na początku puściły wszystko na żywioł. Wielka Brytania potem się wycofała, ale straty i tak były ogromne. W Niemczech długo stawiano na dobrowolność ograniczeń. Jako psycholog mogę powiedzieć, że normy są przestrzegane wtedy, jeżeli przyjmiemy je za swoje. Jeżeli są one nam narzucane, łamiemy je. Dlatego też apelowałem do niemieckiego rządu, by nie odwoływał się jedynie do rozsądku, suche rozporządzenia to za mało, by ludzi przekonać o słuszności i sensie pewnej postawy. Jeżeli jestem przekonany, że to, co robię, wynika z troski o moje własne dobro, o dobro moich bliskich, a w dalszej perspektywie dobro całego świata, ma to zupełnie inny wymiar niż działanie pod przymusem. Prezydent Niemiec w swoim orędziu powiedział: „Wszyscy ratujemy życie”. I miał rację. Kanclerz Merkel też w odpowiednim momencie ogłosiła obostrzenia. Wszystko obyło się bez paniki.

► A jednak zarzucono kanclerz Merkel, że zbyt długo zwlekała z reakcją na kryzys...

Może faktycznie powinna trochę wcześniej odnieść się do sytuacji, ale i tak zachowała się w tej sytuacji całkiem dobrze.

► Chyba społeczeństwo też jest tego zdania, sondaże wskazują, że Merkel cieszy się ogromnym poparciem, w rankingu popularności polityków zajmuje pierwsze miejsce, jak Pan tłumaczy ten fenomen – pamiętając o tym, że po oddaniu przewodnictwa w CDU już w zasadzie postawiono na kanclerz Niemiec krzyż.

Myślę, że ludzie przyzwyczaili się do Angeli Merkel, ona jest pewnym elementem stałym. Kiedy Angela Merkel została kanclerzem Niemiec, nie byłem jej szczególnie zwolennikiem, wydawało mi się, że zależy jej wyłącznie na władzy, wiele lat też uważałem, że Merkel odcina kupony od reform przeprowadzonych przez poprzedni rząd, ale już nie kontynuuje polityki tego rządu. Potem częściowo zmieniłem zdanie na temat pani kanclerz, widząc, że potrafi podejmować decyzje, które nie są wyłącznie zdeterminowane żądzą utrzymania władzy. W życiu społeczeństw tak już bywa, że jak wszystko dobrze się układa, to tego się nawet nie zauważa, jest jakiś taki przesyt, w sytuacji kryzysowej szuka się kogoś silnego, kto będzie oparciem w trudnym czasie. Merkel cieszy się aktualnie dużym zaufaniem, nawet na wschodzie Niemiec, gdzie długo dominowała wobec niej pewna wrogość, zrobiło się ciszej. A kandydaci na następnego przewodniczącego CDU i na kanclerza spierają się teraz między sobą, kto lepiej radzi sobie z sytuacją kryzysową. To dla nich czas testu.

► A który z kandydatów ma największe szanse?

Nie jestem na tym polu specjalistą, ale jak myślę o ministrze zdrowia Jensie Spahnie, który najpierw opowiada ludziom o tym, że mają trzymać dystans społeczny, a potem pakuje się do jednej windy z kilkusetoma pracownikami kliniki i zdjęcie tej katastrofy obiega świat, to chyba jego szanse znacznie zmalały. Co do Armina Lascherta, jako premier Nadrenii Północnej-Westfalii może liczyć na spore poparcie w CDU. Markus Söder miałby duże szanse, by kandydować o kanclerstwo. Jest bardzo aktywny w walce z pandemią. Cała sytuacja z wyborem następcy Annegret Kramp-Karrenbauer też jest ciekawa. Najpierw ogłosiła, że odchodzi, a teraz w czasie pandemii nie ma możliwości wybrać następcy. Przy całej złożoności tej sytuacji mam wrażenie, że mimo wszystko system dobrze działa. ■

Podczas gdy cały świat walczy z kryzysem wywołanym pochodzącym z Chin koronawirusem, Moskwa próbuje wyciągać z globalnej pandemii polityczne korzyści. Rosjanie chcą wykorzystać kryzys do zniesienia sankcji, pogłębienia różnic we wspólnocie zachodniej i skompromitowania instytucji takich jak NATO i UE. Pod pretekstem pomocy w walce ze „wspólnym nieszczęściem” Kreml ma też nadzieję wpłynąć na Zachód, by zaakceptował aneksję Krymu. Cel maksimum to przebudowa układu światowego, swego rodzaju Jałta 2.0.

Maseczkowa dyplomacja Kremla

Antoni Rybczyński



fot. Sefi Karan/AA/ABA/CA/PAP

Jednym z pierwszych istotnych kroków, jakie Rosja podjęła w polityce zagranicznej po wybuchu pandemii, była próba – wraz z sojusznikami – wniesienia pod obrady ONZ rezolucji znoszącej automatycznie wszelkie międzynarodowe sankcje pod pretekstem walki z COVID-19. Dokument nosił tytuł „Deklaracja solidarności w walce z koronawirusem”. Wzywał też kraje do „porzucenia wojen handlowych i jednostronnych sankcji omijających Radę Bezpieczeństwa ONZ”. Zgromadzenie Ogólne odrzuciło wersję moskiewską, jednak przesłała inna, łagodniejsza w tonie, lecz również taką rosyjska dyplomacja będzie wykorzystywała przy naciskach na znoszenie sankcji.

► Sugestie o nowym porządku światowym

16 marca rosyjskie MSZ ostro skrytykowało Stany Zjednoczone za utrzymywanie „antyhumanitarnych” sankcji ekonomicznych wobec Iranu, które jakoby są „ważną przeszkodą na drodze skutecznej walki z koronawirusem” i przyczyniają się tym samym do wzrostu liczby ofiar. 24 marca MSZ Rosji wezwało USA do zniesienia wszystkich sankcji nałożonych na Iran. To samo mówiło MSZ Chin kilka dni wcześniej. Podczas szczytu G-20 (w trybie telekonferencji) Putin zaproponował likwidację międzynarodowych sankcji odnośnie do leków, żywności, wyposażenia i technologii podczas pandemii. Aby wzmocnić ten przekaz, jednocześnie Kreml wysłał transport sprzętu medycznego do USA pod przykrywką „pomocy humanitarnej”. Jak się potem okazało, w rzeczywistości pomoc ta została zakupiona, w części przez same USA. Co więcej, część sprzętu dostarczonego Amerykanom to respiratory Aventa-M wyprodukowane przez firmę wchodzącą w skład państwowej korporacji Rostech, na którą USA sankcje nałożyły jeszcze w lipcu 2014 roku. Transport z Moskwy był prowokacją, w którą dali się złapać Amerykanie. Zaraz potem rosyjska propaganda zaczęła głosić, że przyjęcie przez rząd USA tej „pomocy” potwierdza bezsensowność sankcji w obliczu wspólnego zagrożenia.

Potężna kampania dezinformacji towarzyszyła również pomocy dla Włoch. Tutaj rosyjska propaganda podkreślała słabość UE, wzywała też do zniesienia sankcji. Oświadczenie szefa administracji rosyjskiej na okupowanym Krymie Siergieja Aksjonowa, że część regionalnych legislatur włoskich uznaje aneksję Krymu, wskazuje też, że Rosja – w swej masceczkowej dyplomacji – będzie też dążyła do uznania zajęcia Krymu. – Kiedy „trzecia wojna światowa” z koronawirusem zakończy się, będzie trzeba zwołać konferencję „nowej Jalty”, choćby i na Krymie, by omówić nowy porządek światowy – powiedział Aleksandr Malkiewicz, szef moskiewskiej Fundacji Ochrony Wartości Narodowych. Kolejni najważniejsi rosyjscy politycy wspominają o potrzebie

dialogu, odbudowy zaufania, no i rzecz jasna, w ramach tej odbudowy, znoszenia sankcji. W sytuacji pandemii koronawirusa i na progu globalnego kryzysu świat potrzebuje nowych stosunków międzynarodowych, „oczyszczonych z sankcji” – mówił 8 kwietnia były prezydent i premier Rosji, a obecnie wiceprzewodniczący Rady Bezpieczeństwa Dmitrij Miedwiediew. Jego zdaniem, nowe relacje powinny opierać się na dążeniu państw do wzajemnej pomocy i wsparcia „na progu bardzo trudnego kryzysu globalnego, związanego z pandemią koronawirusa”. – Rosja jest gotowa do dialogu z USA na temat nowych systemów broni, w tym hiperdźwiękowej, w kontekście dyskusji o stabilności strategicznej; chce też rozmawiać o przyszłości układu nowy START – to powiedział z kolei 14 kwietnia Siergiej Ławrow. Szef dyplomacji rosyjskiej oświadczył, że w warunkach pandemii koronawirusa „jednostronne sankcje”, które zmniejszają możliwości przeciwdziałania epidemii, są „absolutnie amoralne i nieludzkie”. Wezwał do porozumień międzynarodowych, które mówiłyby o niedopuszczalności takich sankcji.

► „From Russia With Love”

Chętnie używanym przez Rosję narzędziem „maseczkowej dyplomacji” są wysyłane do innych krajów transporty materiałów medycznych, a także personelu mającego pomagać w walce z pandemią. Najgłośniej było o tych do Włoch i USA, ale też objęło Serbię czy Mołdawię. Transporty „pomocy” służą kilku celom. Zaczynijmy od propagandowych. Do opinii publicznej ma dotrzeć przesłanie, że to Rosja jest zdolna pomagać innym, podczas gdy USA skupiły się na własnych problemach, zaś UE jest decyzyjnie sparaliżowana. Ale są też cele czysto polityczne i ekonomiczne. Po pierwsze, chodzi o presję na zachodnie kraje, by wycofały sankcje. Po drugie, przykrycie działań operacyjnych wywiadu wojskowego (jak we Włoszech). Po trzecie, transporty pomagają otworzyć nowe rynki zbytu dla Rosji. Ale też, po czwarte, chodzi o rywalizację z Chinami. Tutaj kłania się przede wszystkim przypadek Serbii.

Chińska pomoc dla Serbii zaczęła płynąć 21 marca, dwa tygodnie przed pierwszym transportem pomocy rosyjskiej. Airbus A330 wylądował z ładunkiem maseczek i odzieży ochronnej. Serbski prezydent Aleksandar Vučić powiedział chińskiemu ambasadorowi, że „bez was Chińczyków, Europa miałaby trudno sama się obronić, i nie kryjemy jak niewiele możemy zrobić bez pomocy Chin i naszych chińskich braci”. Wcześniej taka retoryka płynęła z Belgradu tylko do Rosjan. Vučić mówił, że UE nie pomaga wschodnim sąsiadom. Oczywiście serbski prezydent musiał szybko poprosić o pomoc także Putina – wszak to jednak Rosja jest głównym sojusznikiem Belgradu. Pomoc rosyjska była późniejsza

niż chińska, ale większa, i także przyleciał personel wojskowy. Rosjanie w sumie wysłali do bazy lotniczej pod Belgradem 11 samolotów, nie tylko ze sprzętem medycznym, lecz także z 87 wojskowymi i 16 pojazdami wojskowymi. Łącznie do Serbii skierowanych zostało osiem brygad lekarsko-pielęgniarskich „wyposażonych w nowoczesny sprzęt medyczny” i oddział „specjalistów z zakresu ochrony radiologicznej, chemicznej i biologicznej”. Rosyjscy żołnierze wspólnie z serbskimi dezynfekowali budynki, organizowali centra medyczne i działali nie tylko w stolicy, lecz także w mniejszych miastach, a nawet wsiach. Podobne podejście – wojskowe – Rosjanie wykazali też w przypadku Bośni i Hercegowiny, a dokładniej jej serbskiej części. Na Bałkanach Moskwa zastosowała ten sam model „pomocy humanitarnej” co wcześniej we Włoszech. Bruksela zbyt późno zorientowała się, że może stracić w ten sposób wpływy, i w końcu KE wydzieliła dla krajów Zachodnich Bałkanów niebędących członkami UE bezpłatną pomoc o wartości 38 mln euro oraz długoterminowe kredyty: dla Serbii 93,4 mln euro, dla Bośni i Hercegowiny 81 mln, dla Kosowa i Północnej Macedonii po 68 mln, dla Czarnogóry 53 mln i dla Albanii 50 mln euro.

W przypadku Stanów Zjednoczonych chodziło głównie o efekt propagandowy i wzmocnienie dezinformacyjnej kampanii. Kiedy samolot wylądował na amerykańskiej ziemi, istniał medialnie tylko jeden przekaz rosyjski. Moskwa mówiła o „pomocy o charakterze humanitarnym”. Tymczasem Departament Stanu, informując o przybyciu samolotu z Rosji z wyposażeniem medycznym, powiadomił, że Stany Zjednoczone nabyły od Rosji ten sprzęt. Ostatecznie wyjaśniło się, że USA pokryły koszt połowy przekazanego im z Rosji sprzętu medycznego do walki z koronawirusem, drugą połowę sfinansował zaś państwowy Rosyjski Fundusz Inwestycji Bezpośrednich wspierający biznes amerykański w Rosji. Jak oznajmiono na Twitterze na koncie rosyjskiego MSZ we wpisie opatrzonym hasłem #RosjaPomaga, sprzęt ma „pomóc USA walczyć z pandemią COVID-19 i ratować życie amerykańskim obywatelom”. Za rosyjską pomoc dziękował Rosji prezydent USA Donald Trump, mówiąc o „bardzo, bardzo dużym samolocie z pomocą”. Doniesienia o rosyjskiej pomocy dla Ameryki wywołały w Stanach Zjednoczonych kontrowersje. Dostawę medycznego sprzętu za „propagandową żyłę złota” dla Kremla uznał były specjalny przedstawiciel prezydenta USA w międzynarodowej koalicji do walki z Państwem Islamskim Brett McGurk. Rosyjskie media rządowe z upodobaniem bowiem pokazywały kadry z lądowania samolotu i wyladowyiwanych kartonów opatrzonych napisem „From Russia With Love”. Ambasador Rosji w USA napisał zaś na Facebooku, że ma nadzieję, iż rząd

amerykański pomoże Rosji w przyszłości, gdy będzie potrzeba – „bez żadnej polityki”.

► Włoska specoperacja

To jednak Włochy stały się głównym celem największej operacji specjalnej Rosjan w czasie pandemii, dlatego że właśnie tam doszło do najpotężniejszego kryzysu zdrowotnego, a zarazem jest to kraj należący w UE do najbardziej przychylnych Moskwie. 21 marca Władimir Putin zadzwonił do premiera Giuseppe Conte i zaoferował pomoc. Zaraz potem odbyła się telefoniczna rozmowa ministrów obrony. Już nazajutrz we Włoszech zaczęły lądować, jeden za drugim, rosyjskie samoloty transportowe. Na pokładzie sprzęt i personel medyczny. Na czele rosyjskiej wyprawy stał generał major Siergiej Kikot, zastępca dowódcy rosyjskiej formacji specjalizującej się w walce z bronią radiologiczną, chemiczną i biologiczną. Oficjalnie przyleciało 122 wojskowych z oddziałów Wojsk Radiologicznej, Chemicznej i Biologicznej Obrony (RChBD). Generał Kikot to zastępca dowódcy tej formacji. Zasłynął, przedstawiając oficjalne stanowisko Rosji, że reżim Asada nie użył broni chemicznej przeciwko ludności cywilnej w Doumie w 2018 roku.

Ładujące samoloty – przy bogatej medialnej oprawie – witał pod Rzymem, na wojskowym lotnisku Practica di Mare, sam szef włoskiego MSZ – Luigi Di Maio. Stał tam Rosjanie wyruszyli konwojem na północ, do Lombardii. Rosjanom udało się zestawić kadry z lądowania samolotów z pokojową „pomocą” z niedawno pokazywanym we włoskich mediach przybyciem amerykańskich wojsk na manewry natowskie Defender-Europe 2020. Przesłanie: my Rosjanie pomagamy wam Włochom, choć jesteście w NATO, a wasz główny sojusznik wam nie pomaga. Moskwa rozegrała to perfekcyjnie od strony medialnej – i wszystko było super do momentu, gdy sami Włosi zorientowali się, że padli ofiarą rosyjskiej manipulacji. Jak napisała „La Stampa”, 80 proc. przysłanej pomocy rosyjskiej to rzeczy „całkowicie bezużyteczne lub mało potrzebne”. Włoski dziennikarz, komentując przylot kilkunastu rosyjskich samolotów z około stu wojskowymi specjalistami i sprzętem, napisał, że maszyny te przywoziły 600 wentylatorów, 326 tys. maseczek ochronnych, tyśiąć kombinezonów, 10 tys. testów diagnostycznych i dwie maszyny do ich badania. „I po to 15 samolotów Iljuszyn, z których każdy może przewieźć 40 ton ładunku?” – sarkastycznie pytał autor, przylot wojskowych samolotów i specjalistów porównując do sowieckiej inwazji na Afganistan. Moskwa zareagowała z furią. Rzeczniczka MSZ Maria Zacharowa oskarżyła włoską gazetę o szerzenie fake newsów, łącząc ją z jakąś rzekomą nieokreśloną spółką brytyjską. Rzecznik ministerstwa obrony Rosji generał Igor Konaszenkow reagował jeszcze

ostrzej, dodając, że pomoc rosyjska dla Włoch nie była związana z żadnymi warunkami. Zarzucił turyńskiej gazecie, że „ukrywając się za ideałami wolności słowa i pluralizmu opinii, manipuluje rusofobicznymi fake newsami najgorszego rodzaju z epoki zimnej wojny”. Generał ocenił, że „La Stampa” korzysta z „podręczników antysowieckiej propagandy, które jeszcze nie zgniły”. W tej sytuacji władze włoskie nie mogły milczeć. Minister obrony i szef MSZ wyrazili wdzięczność Rosji za przysłaną w marcu pomoc. Zaapelowali jednak do Moskwy o przestrzeganie wolności prasy. We wspólnej nocie szef resortu obrony Lorenzo Guerini i minister spraw zagranicznych Luigi Di Maio zapewnili, że Włochy są wdzięczne za pomoc, jaką otrzymały z Moskwy.

Ogromne wątpliwości wzbudził skład rosyjskiej misji. „Jeśli w Bergamo potrzebowano zasobów NBC [nuclear-biological-chemical – przyp. aut.], dlaczego nie sięgnięto po nie już miesiąc wcześniej? A skoro już się ich używa, to dlaczego nie włoskich? Nasza armia ma być może nawet najlepsze oddziały NBC w NATO” – mówił były rzecznik ministerstwa obrony Włoch, Andrea Armato. Po co Rosja wysłała do Włoch specjalistów i sprzęt z dziedziny, w której włoska armia nie ma sobie równych? Być może po to choćby, by potraktować Włochy jako poligon, na którym może testować nowy sprzęt. I zbierać też informacje o włoskiej armii i NATO. Wszak nie jest tajemnicą bliski związek oddziałów RChBD z GRU. Z pewnością na włoskiej ziemi znaleźli się operacyjni oficerowie wywiadu wojskowego. Misji towarzyszyła dwójka dziennikarzy kanału Zwiezda TV, którzy od lat uczestniczą w operacjach zagranicznych kojarzonych z GRU (m.in. Syria i Estonia). Rosyjski konwój przejechał z lotniska pod Rzymem do Lombardii 600 km. Po co, skoro w promieniu 100 km od Bergamo znajdują się co najmniej cztery lotniska zdolne przyjąć maszyny wielkości Il-76? Lądowania w krótkich przerwach czasowych kilkunastu samolotów wojskowych przypominały operację desantową na Krymie...

Moskwa wykorzystuje sytuację i działa na rozbięcie jednności Unii Europejskiej i Sojuszu Północnoatlantyckiego. Taki cel miał tweet senatora Aleksieja Puszkowa, jakoby Polska nie przepuściła samolotów do Włoch. Szybko został rozpowszechniony w sieci, a gdy polski rząd zdementował to kłamstwo, Puszkow po prostu usunął wpis... Przy okazji operacji „Italia” w internecie pojawił się też filmik, na którym jakiś mężczyzna w anonimowym miejscu ściąga z masztu flagę UE (obok maszt z flagą włoską) i wciąga rosyjską. Po czym do kamery pokazuje kartkę z napisem po włosku „Dziękujemy Rosji! Dziękujemy Putinowi!”. Gdzie to nagranie powstało – nie wiadomo. Wiadomo, że obejrzały je dziesiątki tysięcy ludzi. Potem wyszło na jaw, że za wpisy w mediach społecznościowych wychwalające misję Rosjan włoscy internauci mogli dostawać pieniądze. ■

Tajwan w czasie ZARAZY

Hanna Shen



Tajwan to kraj, który dziś może być wzorem dla innych w kwestii tego, jak radzić sobie z epidemią COVID-19. Poza walką z wirusem, w tym samym czasie musi stawiać czoła zagrożeniu ze strony komunistycznych Chin. Jednocześnie ta niewielka wyspa pokazuje ogromne serce, pomagając innym państwom.



fot. DAVID CHIANG/PAP/EPA

W styczniu, gdy już wiadomo było, że wirus COVID-19 szaleje w chińskim mieście Wuhan i przenosi się na inne części ChRL, naukowcy z John Hopkins University przewidywali, że poza Państwem Środka to Tajwan będzie jednym z państw najbardziej dotkniętych koronawirusem. Wyspa znajduje się przecież 130 km w linii prostej od Chin, ponad 400 tys. Tajwańczyków pracuje w ChRL, a w zeszłym roku wyspę odwiedziło 2,7 mln turystów z Chin. Ta bliskość Tajwanu z Chinami miała świadczyć o tym, że wyspę pokryje zaraza. Tak się jednak nie stało.

Pierwszy przypadek zachorowania na Tajwanie wykryto u kobiety, która wróciła z Wuhan 21 stycznia 2020 roku. Do 23 kwietnia liczba zachorowań na COVID-19 wynosiła 427, z czego 6 to przypadki śmiertelne, a wyleczono 253 osoby. Jak na kraj z 23 mln mieszkańców, to liczby świadczące o tym, że Tajwan w walce z koronawirusem odnosi sukces.

► Szybka reakcja i nieufność wobec komunistów

Tajwanowi na pewno pomogło doświadczenie epidemii SARS z 2003 roku. To nauczyło wszystkich, że do zagrożenia wirusem należy podchodzić poważnie i nie można sobie pozwolić na traktowanie go jak „zwykłej gryпки”. Od 2003 roku Tajwan był też instytucjonalnie przygotowany na epidemię. To wtedy stworzono kryzysowe Centrum Zarządzania Zdrowiem Publicznym. W styczniu bieżącego roku w jego ramach powołano Główne Centrum Dowodzenia Epidemiologicznego (CECC), które koordynuje działania wszystkich ministerstw, agencji rządowych i władz lokalnych i działa całą dobę. Zadaniem zatrudnionych tam „epidemiologów śledczych” jest m.in. ocena ryzyka związanego z każdym przypadkiem i wyśledzenie jego kontaktów.

Innym ważnym elementem tajwańskiego sukcesu było niedawanie wiary danym przekazywanym przez komunistyczne Chiny. Tajwan już 31 grudnia 2019 roku podjął pierwsze kroki prewencyjne, rozumiejąc, że sytuacja w ChRL jest dużo poważniejsza niż podawała chińska władza. Ostatniego dnia roku 2019 wyspa wprowadziła masowe kontrole pasażerów samolotów wylatujących z Wuhan.

Tajwańczycy dostali informację od personelu medycznego z Chin, że wirus może się przenosić z człowieka na człowieka i przekazali to 31 grudnia do wiadomości Światowej Organizacji Zdrowia (WHO). Ta jednak zignorowała przekaz z Tajpej i przez kolejne dwa tygodnie podawała w świat wersję Pekinu o tym, że nie ma przesłanek, by twierdzić, iż nowy wirus przenosi się z człowieka na człowieka. Tajwan

nie mógł w tej kwestii zrobić nic więcej, bowiem ze względów politycznych (presji ze strony Pekinu) nie jest członkiem WHO.

Wiele skutecznych działań na Tajwanie było możliwe dzięki zastosowaniu nowoczesnej technologii. W ciągu jednego dnia połączono dane z Narodowego Biura Ubezpieczeń Zdrowotnych z Biurem Imigracyjnym, dzięki czemu można było szybko zidentyfikować i przesledzić 14-dniową historię podróży potencjalnych pacjentów. Dodatkowo dane z kart wjazdowych cudzoziemców pozwoliły zidentyfikować osoby wysokiego ryzyka. Te poddano kwarantannie i monitorowano za pomocą telefonów komórkowych.

Na wyspie niewiele osób łamie nakaz kwarantanny. Ci, którzy się odważą, są karani wysoką grzywną (na przykład na początku marca jeden z obywateli dostał mandat w wysokości 1 mln TWD, czyli około 139 tys. zł). Co więcej, wyspa wychodzi z założenia – w przeciwieństwie do Chin – że ważnym elementem walki z koronawirusem jest ułatwienie ludziom dostępu do odpowiednich informacji. CECC codziennie organizuje konferencje prasowe, podczas których przekazuje najnowsze wiadomości o epidemii oraz podjętych przez władze tajwańskie decyzjach i działaniach.

Tajwan jednakże radzi sobie z epidemią również dlatego, że ma bardzo dobrze funkcjonujący system medyczny. W rankingu Health Care Index oceniającym systemy opieki zdrowotnej w 93 krajach na świecie, ten tajwański przez ostatnie dwa lata z rzędu zajmował pierwsze miejsce. Bardzo ważnym krokiem było ponadto zadbanie o rezerwy strategiczne. Aby nie dopuścić do braku masek ochronnych, 24 stycznia 2020 roku rząd Tajwanu ogłosił tymczasowy zakaz eksportu masek ochronnych. 6 lutego wprowadzono system racjonowania masek, wymagający od obywateli przedstawienia karty ubezpieczenia zdrowotnego przy ich zakupie. Na początku lutego ogłoszono mobilizację tajwańskich sił zbrojnych w celu powstrzymania rozprzestrzeniania się wirusa i obrony przed nim. Żołnierzy wysłano m.in. do hal produkcyjnych głównych producentów masek ochronnych, aby tam pomogli w obsłudze 92 dodatkowych linii produkcyjnych. W tej chwili wyspa produkuje 15 mln masek dziennie.

► Tajwan pomaga

W internecie są teraz popularne dwa hashtagi: #TaiwanCanHelp i #TaiwanIsHelping. We wpisach nimi opatrzonymi można często znaleźć informacje, w jaki sposób wyspa pomaga innym krajom w czasie zarazy.

W odróżnieniu od tzw. pomocy z Chin, tajwańskie wsparcie to nie sprzedaż, a darowizny. I tak na przykład wyspa wysłała 10 mln maseczek do USA i Europy. Pół miliona z nich trafiło już do Polski. Ale to niejedyna pomoc, jaką nasz kraj otrzymał z Tajwanu. 22 kwietnia na międzynarodowym lotnisku Taoyuan po raz pierwszy wylądował samolot Polskich Linii Lotniczych LOT. Przyleciał po odbiór 10 ton sprzętu medycznego ofiarowanego Polakom przez rząd Tajwanu. Podróż trwała o 2 godziny dłużej, niż zakładano, bowiem Chiny nie zgodziły się, aby samolot LOT przeleciał nad ich terytorium. Podobną pomoc wyspa przekazała też krajom w Azji i Ameryce Łacińskiej. W kwietniu Tajwan wspomógł żywnością i 480 tys. masek Watykan.

Ale wsparcie idzie nie tylko ze strony władz Tajwanu. Pomagają również zwykli obywatele. Są to często historie, które pokazują, jak wielkie serce mają mieszkańcy wyspy. Na przykład na początku kwietnia Giuseppe Didone, włoski misjonarz na wyspie, poprosił Tajwańczyków o pomoc dla swoich rodaków. W ciągu niespełna sześciu dni zebrano prawie 4 mln dolarów. „W ciągu ostatnich kilku dni widziałem, jak pacjent chory na raka przyjechał do szpitala [w którym pracuje misjonarz – przyp. aut.], aby przekazać darowiznę. Widziałem starszą wiekiem sprzedawczynię warzyw, która czeka w kolejce, aby przekazać chirurgiczne maski i część jej zarobków. Czy możecie wyobrazić sobie, jak mnie wzruszyło to, co zobaczyłem?” – powiedział ks. Didone.

Coraz więcej krajów idzie śladem Tajwanu i rozumie, że rezerwy strategiczne muszą być produkowane na miejscu. I tu doświadczenie i zdolności Tajwanu też się przydadzą. Kraje takie, jak USA, Japonia, Brazylia, Arabia Saudyjska i Polska składają zamówienia na maszyny do produkcji masek właśnie na wyspie.

Tajwan prowadzi także badania służące stworzeniu szczepionki przeciw koronawirusowi. Współpracy w tej kwestii z amerykańskim Narodowym Instytutem Zdrowia podjęła się tajwańska firma biofarmaceutyczna Medigen Biotech Corp. Medigen poinformował, że wkrótce rozpocznie pierwsze testy na zwierzętach i zakończy pierwszy etap testów w czerwcu. Następnie firma planuje zwrócić się do Agencji ds. Żywności i Leków (FDA) o przeprowadzenie podwójnie ślepej próby klinicznej w drugiej połowie tego roku, koncentrując się na skuteczności i bezpieczeństwie szczepionek.

W kwestiach medycznych i radzenia sobie z sytuacjami kryzysowymi, takimi jak wybuch epidemii koronawirusa, Tajwan ma wiele do zaoferowania – zaawansowane umiejętności i technologie medyczne, które mogą pomóc w kontrolowaniu globalnych epidemii.

► Chińskie trolle i militarne groźby

Poza walką z wirusem Tajwan musi w tym samym czasie stawiać czoła wojnie dezinformacyjnej prowadzonej przez Chiny. CECC na swoich codziennych konferencjach często musi dementować fake newsy krążące w mediach społecznościowych, a rozpowszechniane głównie przez tzw. wumao dang, czyli armię chińskich trolli.

„Wumao dang” to całkiem poważna armia, bo składająca się z 2 mln tzw. analityków opinii w internecie, umieszczających na forach internetowych prokomunistyczne komentarze, a także zbijających dyskutujących z tropu, wprowadzając jakiś temat zastępczy. „Wumao dang” to dobrze opłacani pracownicy rządu Chin, podlegający różnym ministerstwom i publikujący jako „zwykli obywatele” na forach i portalach społecznościowych w internecie na całym świecie.

i szybka izolacja wszystkich pasażerów tego lotu doprowadziła do tego, że cała wyprawa nie skończyła się tragedią – większym rozlaniem się wirusa na wyspie. Następne loty ewakuacyjne Tajwańczyków odbywały się już przy dużo większej kontroli ze strony tajwańskiej na lotniskach w Chinach. Ale mimo to loty były opóźniane, bo Chińczycy nadal próbowali wcisnąć do samolotów pasażerów, których nazwisk nie było na uprzednio ustalonych przez obie strony listach.

W czasie epidemii Tajwan doświadcza także większego zagrożenia militarnego ze strony Chin. W ostatnich tygodniach Pekin zwiększył liczbę i intensywność ćwiczeń wojskowych wokół wyspy. Prowadzone manewry przez ChRL to test polityczny nie tylko dla Tajpej, lecz także Waszyngtonu, a jednocześnie działanie sygnalizujące ciągłą wrogość Pekinu wobec Tsai Ing-wen, tajwańskiej prezydent z proniepodległościowej partii DPP, która

**CORAZ WIĘCEJ KRAJÓW IDZIE ŚLADEM TAJWANU I ROZUMIE, ŻE REZERWY STRATEGICZNE
MUSZĄ BYĆ PRODUKOWANE NA MIEJSCU.**

Rozprowadzane przez nich fałszywe informacje na Tajwanie mówią m.in. o tym, że władze na wyspie nie radzą sobie z epidemią i usiłują ukryć przed mieszkańcami prawdziwe dane dotyczące zakażonych i zmarłych. Celem takich działań jest sianie paniki i wprowadzenie chaosu na wyspie.

I tak na przykład jedno z kont na Facebooku opublikowało słabej jakości zdjęcie z pożarem przed siedzibą prezydencką na Tajwanie. Podpis fotografii: „Wojsko przejęło kontrolę nad Tajpej. Administracja prezydent Tsai Ing-wen pali ludzi, którzy zachorowali na wirusa”.

Wyspa doświadczyła też czegoś, co sami Tajwańczy nazwali próbą podłożenia im ze strony Chin żywej broni biologicznej. 3 lutego, gdy władze Tajwanu po negocjacjach z Chinami zorganizowały pierwszy lot ewakuacyjny dla Tajwańczyków w chińskim mieście Wuhan, epicentrum epidemii, okazało się, że strona chińska nie dotrzymała umowy dotyczącej listy pasażerów wpuszczanych na pokład samolotu. Chińczycy wpełnęli do samolotu osobę zakażoną koronawirusem, której imienia i nazwiska nie było na liście. Dokładna kontrola już na lotnisku w Tajwanie

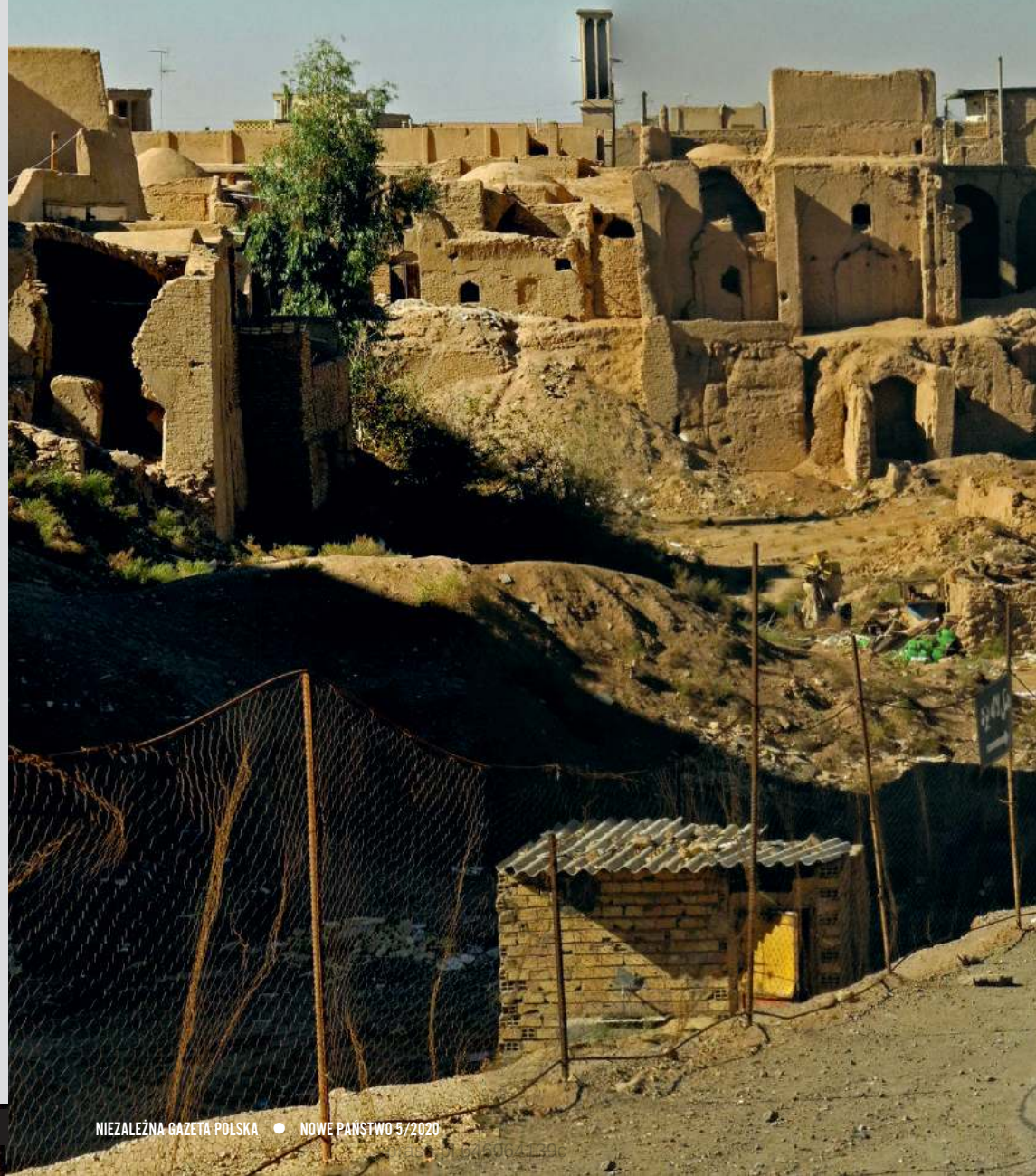
została ponownie wybrana na urząd w wyborach w styczniu tego roku. Wśród działań militarnych Chin w ostatnim czasie trzeba wymienić „bliskie” spotkanie samolotów należących do sił powietrznych Tajwanu i ChRL w marcu tego roku. Chińskie maszyny – myśliwce Shenyang J-11 oraz samolot wczesnego ostrzegania i kontroli Shaanxi KJ-500 miały przeprowadzać rzadko spotykane nocne ćwiczenia w pobliżu Tajwanu. Tajpej twierdzi, że były to pierwsze nocne ćwiczenia przeprowadzone tak blisko wyspy.

Miesiąc później, w momencie gdy amerykańskie lotniskowce USS „Theodore Roosevelt” i USS „Ronald Reagan” zostały zmuszone do dokowania z powodu epidemii koronawirusa, sześć chińskich okrętów, w tym lotniskowiec Liaoning, przepłynęły najpierw przez Cieśninę Miyako, a w następnie, kierując się na południe, przepłynęły na wschód od Tajwanu. Państwo Środka chciało pokazać w ten sposób, że lepiej radzi sobie z obecną sytuacją niż panujący dotąd na morzach Amerykanie. Chiński dziennik „Global Times”, tuba propagandy KPCh, napisał, że Chińczycy mieli odnieść sukces tam, gdzie „zawiodła” amerykańska marynarka. ■

Miasto w okolicy limes



Stefan Czerniecki
czerniecki.net



Bez wody. Bez stałych źródeł. Bez rzek. Za to w otoczeniu gór i wielkich pustynnych otchłani. Z hamadą, która od czasu do czasu zagości w gazetowych czołówkach kolejnym rekordem ciepła. Wreszcie z ludzkim geniuszem. Rzucającym wyzwanie nawet w takim miejscu. Symetrycznym środkiem ciężkości starożytnej Persji.





Obwoźny handel uliczny jednej z dzielnic Yazd

– Myślisz, że jest otwarte? – Matusz jest najwyraźniej sceptyczny.

– Musi być. To jedna z głównych atrakcji tego miejsca – odpowiadam, nadal szukając jakiejś otwartej furtki w długim jasnokremowym murze.

– Coś średnio uczęszczane miejsce, jak na największą atrakcję – Mateusz nie wydaje się przekonany. – Nikogo tu nie widać.

– Hej, zamiast biadolić, pomóż mi się tam dostać – odpowiadam wyprowadzony nieco z równowagi. – Mamy dwie opcje: albo będziemy tu stać i narzekać, że pusto i nie ma wejścia, albo się zepniemy i znajdziemy sposób, aby przejść ten mur. Co wybierasz?

– Stefan, nie przesadzaj... Może najzwyczajniej w świecie mają dziś zamknięte?

– Spójrz! – przerywam koledze. – Jest! Brama!

Rzeczywiście. Niewielki parking. Zupełnie pusty plac. Wypalone słońcem pojedyncze kamienie. I bardzo mała brama. Obok widać jakąś tablicę. Zapisaną

w język perskim. Mijamy ją obojętnie. I tak nic nie zrozumiemy. To jednak musi być to miejsce. W najbliższej okolicy nie ma przecież żadnej innej bramy.

– Salām! – witam się ze starszawym panem, który na nasz widok wychodzi z pobliskiej budki.

– Salāmat bāszid! – słyszę chrypiącą odpowiedź.

– My na wieże... – przechodzę łagodnie na angielski, dobrze wiedząc, że dalsza konwersacja w języku perskim jest na nic. Do tej pory zdążyłem oswoić się zaledwie z kilkoma zwrotami tego dialektu. Na więcej nie było czasu. Ani umiejętności.

Ale pan najwidoczniej nie zna angielskiego i mruczając pod nosem kolejne sylaby, wskazuje nam palcem wydeptaną ścieżkę. Domyślam się, że to droga, którą mamy podążać. Zresztą, nie mamy nic do stracenia. „Taszakkor mikonam” – rzucam na pożegnanie.

Jesteśmy znów sami. O tyle lepiej, że już po drugiej stronie murów. Czyli teoretycznie zamiar osiągnięty. Te-



Charakterystyczne wieże badgir współtworzą pejzaż. „Łapacze wiatru” są tu niemal wszędzie

raz trzeba tylko znaleźć nasz cel. O to jednak nie powinno być już trudno.

Charakterystyczne dwie wieże widać bowiem z daleka. Teraz już wiemy na pewno, że dobrze trafiliśmy. Idziemy coraz rażniej. I – co tu wiele ukrywać – pewniej. W zasięgu wzroku dalej jednak nie widać nikogo. Pan wskazujący drogę też gdzieś zniknął. Wokół jedynie kamienista pustynia. Jasnobrunatne kamienie hamady. I wznoszące się powoli łagodne wzgórza. Prócz tego pustka.

Na środku wielkiego, piaszczystego, ogrodzonego murowanym ogrodzeniem placu stoją dwie wieże. Po między nimi na ziemi leży czasa. To cmentarz. Cmentarz zoroastrian.

► Religia sprzed 3000 lat

Była tu jeszcze, zanim do Persji przybył islam. Jej wyznawcy do dziś nazywani są przez muzułmanów „czciicielami ognia”. I to właśnie tutaj, w Yazd, znajduje się

ich główna siedziba. Centrum religii, której wiernym pozostało około 40 tys. ludzi. Religii monoteistycznej, której początki sięgają 1000 roku przed Chrystusem. Religii nazywanej zoroastryzmem.

W jej mitologii można doszukać się wielu elementów wspólnych dla największych religii monoteistycznych świata. W zoroastryzmie jest bowiem mowa i o stworzeniu świata w siedem dni, i o koncepcji sądu ostatecznego, i o wędrówce dusz do piekła, czyścieca i nieba. Jest nawet o nadejściu mesjasza.

Dla zoroastrian woda, ogień i ziemia są święte. Nie wolno więc profanować ich zwłokami. Nawet najbliższych osób. Stąd konieczność wybudowania ceglanych wież. Wież, z którymi wiąże się isticie turpistyczna tradycja.

► Wieże milczenia

Aby zachować zwyczaje i wierzenia, wierni składali w wieżach zwłoki swoich bliskich. Zapoczątkowywali



Persowie to bardzo zaradna nacja. Wybudować miasto 3000 lat przed Chrystusem pośrodku pustyni. W dodatku z zachowaniem odrobiny luksusu. To trzeba potrafić

w ten sposób tzw. powietrzny pogrzeb. Nagie zwłoki układano na dnie skonstruowanych z piaskowych cegieł wież, a następnie oddalano się. Od tej pory jedynym świadkiem wydarzeń stawał się nasselar, człowiek odpowiedzialny za ostatnią drogę zmarłego.

To właśnie do jego zadań należało szczególnie zamknięcie wieży. I oczekiwanie. To, na co miał teraz czekać, zwykle następowało dosyć szybko. Jego zwiastunem był charakterystyczny trzepot skrzydeł na horyzoncie. Po chwili nieprzyjemny wysokotonalny pisk. Przybyły. Dalsza rola miała należeć do nich. Sępy. Ptaki nie musiały długo szukać. Przez otwarte z góry wieże wlatywały do środka i wyszarpywały wystawione na pożarcie zwłoki. W ten sposób

zachowywano przykaz o separacji zwłok od świętych dla zoroastrian wody, ognia i ziemi.

Wszystko było tu przemyślane. Po pierwsze konstrukcja wieży. To właśnie ona gwarantowała, że ciało będzie skonsumowane wyłącznie przez sępy. Do zamkniętej ceglanej kolumny nie dostawał się bowiem żaden inny padlinożerca, który mógłby rozwlec ciało. Sępy bowiem w swojej naturze żerują wyłącznie na miejscu. Po drugie zawarte w ślinie ptaków enzymy działały na padlinę antybakteryjnie. Ciała umierających na liczne w tamtych czasach choroby zakaźne były w ten sposób skutecznie zdezynfekowane. Bez potrzeby narażania osób żyjących.



Gdy ptaki wyfrwały z wież, wspomniany już nasselar, odczekawszy kilka dni, wchodził ponownie do wnętrza wieży. Umieszczał pozostałe szczątki w specjalnym otworze ulokowanym pośrodku wieży, a następnie posypywał wapnem. Kości zmarłych chowano zaś w studnach, niewielkich skalnych jaskiniach, zlokalizowanych pod miastem. W ten sposób ceremonia pogrzebowa dobiegała końca.

Ostatnie „powietrzne pogrzeby” miały tu miejsce w 1970 roku. Potem zostały oficjalnie zakazane. Dziś wieże stoją puste. I nieużywane. Pozostała tylko historia.



Przed Meczetem Piątkowym

► Konstytucja a życie

Współcześnie zoroastrianie chowają swoich bliskich zmarłych w specjalnych betonowych wannach. Na cmentarzu. W pobliżu wież milczenia. Takich pogrzebów jest jednak coraz mniej. Bo i z roku na rok w irańskim Yazd żyje coraz mniej „czcicieli ognia”.

Ich główna świątynia zlokalizowana na rogu ulic Kashani i Atashkadeh otoczona jest dziś wysokim murem. Dodatkowo porośniętym drzewami. Z ulicy nie widać zupełnie jej kształtów. „Władze wolą, byśmy nie byli zbyt widoczni. A dostęp do nas nie był ułatwiony” – żartują sami zoroastrianie. Ile w tym żarcie prawdy? Ciężko stwierdzić. Ta jest bowiem taka, że współczesny Iran za konwersję z islamu na inną religię karze śmiercią. I jakkolwiek wolność tej religii jest wpisana w irańską konstytucję, przedstawiciele tego wyznania natrafiają w kraju na wszelakie utrudnienia. Zoroastrianin nie otrzyma pracy w administracji publicznej. Każdego zoroastriańskiego kandydata do Medżlisu musi zatwierdzić szyicki duchowny. Na średnich i wyższych stanowiskach urzędniczych również trzeba być szyitą. Pozostaje praca jako kierowca, gонец bądź sprzedawca. Wszystko to sprawa, że „czcicieli ognia” jest dziś w Yazd coraz mniej. A ci, którym naprawdę zależy na zachowaniu wiary, emigrują. Najczęściej do Europy. Już na stałe.

► Spontaniczne interesy

Środkowy Iran. Pustynna rzeczywistość nicości. Kolejne kamienie przysypywane są delikatnymi górkami piachu. Sucho i słonecznie. I ani skrawka cienia. Przez okrągły rok dzienne temperatury nie spadają tu poniżej 25 stopni Celsjusza. Latem słupki rtęci nie wskazują mniej niż 40 stopni. Jest naprawdę gorąco. To jednak i tak względny chłód, gdy porówna się to z oddaloną o jakieś 40 kilometrów stąd pustynią Dasz-e Lut, gdzie w 2005 roku odnotowano nieprawdopodobną wręcz temperaturę 70,7 stopni Celsjusza. Irańska pustynia nie rozpieszcza.

„Widziałeś te kominy nad miastem?” – zwraca uwagę Mateusz. Rzeczywiście. Nad domami Yazd widać charakterystyczne ceglane urządzenia. Trzeba będzie podpytać się miejscowych o ich zastosowanie. Na okazyjnie nie trzeba długo czekać.

– Hej wy! – idąc zupełnie wyludnioną uliczką słyszymy krzyk stojącego w drzwiach domu mężczyzny. – Pojdźcie no na moment!

– Idziemy? – Mateusz chyba nie jest pewny zaproszenia.

– Nas jest dwóch. On sam. Chyba możemy spróbować – uśmiecham się do kolegi.

– Sa'id, idź przygotuj panom herbatę! – słyszymy nagle. Najwyraźniej plan trzeba zrewidować. Panów jest co najmniej dwóch. Wycofać się jednak już nieznacznie. Wchodzimy do środka.

– Skąd przyjechaliście? – uśmiechnięty brodaty mężczyzna prowadzi nas do większego pomieszczenia, gdzie już szykowany jest niski stolik z ustawionymi nań charakterystycznymi szklaneczkami do herbaty.

– Z Polski.

– Wspaniale!

– Dlaczego?

– Pomożecie nam w promocji. Wraz z kolegą rozwijamy nasz hotelik. Szukamy kontaktów – w tym momencie cały balon napięcia flaczaje niczym przebitą szpilką. Chyba nie mamy się czego obawiać. Panowie zaczęli nas w interesach.

– Słucham?...

– Sa'id, przenieś, proszę, tę ulotkę, co wydrukowaliś niedawno... – uprzejmy pan zaczyna kolegę, który właśnie polewa wszystkim herbatę.

Po kilku sekundach na stoliku przed nami ląduje niewysoki stosik prostych ulotek. Są zdjęcia, jest adres, kontakt. Panowie ewidentnie startują z nowym biznesem. I potrzebują pomocy.

– Gdybyście kiedykolwiek wrócili do Yazd, zaoferujcie nam. Będziecie zadowoleni, naprawdę – opowiada spokojnie mężczyzna.

– I gdybyście mieli znajomych, najlepiej jakąś grupę... – dodaje Sa'id.



Słynne zoroastriańskie wieże milczenia są zlokalizowane na obrzeżach współczesnego Yazd

► Rytm południa

– To nasze klimatyzatory. Takie wiatrowe wieże – wyjaśnia Irańczyk, gdy już udaje się nam załatwić sprawę promocyjno-noclegowe. Wreszcie mogę zapytać o nurtujące nas obiekty na tutejszych dachach.

– Nazywamy je badgir. Czyli „łapacze wiatru” – uzupełnia siedzący obok Sa'id. – Zasada ich działania jest bardzo prosta. Do otwartej nad dachem części komina wpada ciepłe powietrze...

– Musicie bowiem wiedzieć, że w Yazd latem jest naprawdę upalnie... – wtrąca się pan, którego imienia nadal nie udało nam się poznać.

– Dokładnie – przytakuje Sa'id. – Ciepłe powietrze wpada do górnej części komina i poprzez małe kanaliki kierowane jest w dół, w kierunku domu. Tam ulega rozprężeniu.

– Najczęściej na dole takiego domu znajduje się niewielki zbiornik z zimną wodą – uzupełnia siedzący obok mężczyzna. – W ten sposób rozgrzane powietrze, które wpada, może być szybciej schłodzone.

– A następnie skierowane z powrotem do badgira – kontynuuje Sa'id. – W ten sposób w upalnym domu tworzy się przyjemny, orzeźwiający przeciąg. Taka starożytna forma wentylacji.

– Działająca do dziś – uśmiecha się drugi Irańczyk.

Rzeczywiście. We współczesnym panoramie Yazd „łapacze wiatru” wystają wyraźnie ponad poziom irań-



skich dachów. Są większe, bywają mniejsze. Wszystkie jednak o identycznej konstrukcji. Takiej formy wentylacji nie spotkają nigdzie indziej na świecie.

W ogóle spacer po Yazd to wielka pochwała dla ludzkiego umysłu. Powstałe 5 tys. lat przed Chrystusem miasto na samym środku pustyni. Z dala od mórz, z dala od rzek. Z siecią podziemnych kanałów prowadzących wodę z okolicznych półpustynnych gór do poszczególnych domostw. Tak przyprowadzoną wodę gromadzono następnie w specjalnych podziemnych cysternach. To one – charakterystyczne wystające nad powierzchnię kopuły – współtworzą dziś tak nietypowy wygląd miasta.

Gdy dodamy do tego pastelowy kolor budowli, gliniane dachy, wyjdzie nam miasto nieprzystające do współczesnego świata. Schowane daleko, 500 kilometrów na południe od stolicy kraju. W cieniu pustynnych piachów. Jakby nieco zapomniane. Żyjące w nieco innym rytmie niż północ kraju. Może bardziej konserwatywnym. Wciąż jednak dla białego turysty niegroźnym. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

► Leje, kolatki i czador

Sucho. Wręcz pyliście. Niektórzy z przechodniów zatykają sobie usta i nos chustkami. Trudno mi w tej chwili uwierzyć w powszechną w Yazd legendę, że

miasto nazywane jest „miastem rowerów”. Ponoć to właśnie tutaj mamy największą statystycznie liczbę rowerów przypadających na jednego mieszkańca. A przecież przy takich warunkach jazda rowerem wydaje się najwyższą formą masochizmu. Widocznie jednak lokalni mieszkańcy mają w tej kwestii odmienne zdanie.

Wchodzimy na tutejszą starówkę. Uliczki zaczynają złobić głębokie leje w miastowym pejzażu. W tej chwili można odnieść wrażenie, że idziemy wyraźnie poniżej poziomu gruntu miasta. Z dwóch stron otaczają nas wspinające się stromo ściany. Przynajmniej nie wieje.

Co pewien czas mijamy drzwi okolicznych, skonstruowanych z piskowej cegły domów. Do każdego z nich prowadzą drzwi wyposażone w dwie kołatki. Dwie różne kołatki. Zrobione z innego materiału, mającego inny kształt i wagę. W czym rzecz? Ot, bardzo pragmatyczna przyczyna. Dźwięk każdej ze stukających o drzwi kołatek jest nieco inny. Różny ze względu na inną wagę i kruszec. Wszystko po to, aby gospodarz wiedział, czy oczekujący pod drzwiami gość to kobieta, czy mężczyzna. W jakim stroju wolno mu go przywitać, kto ma się akurat pofatygować do otwarcia drzwi: gospodarz czy może pani domu. A jeśli ona: to czy w czadorze, czy może bez niego. To oczywiście melodia przeszłości. Jednak kołatki ostały się do dziś.

► Pochwała ludzkiego umysłu

Gdyby poszukać geometrycznego środka ciężkości dla Iranu, prawdopodobnie nie znajdowałby się on daleko stąd. Jesteśmy w tej chwili praktycznie w idealnym centrum. Stąd wszędzie jest daleko. Do Teheranu 500 kilometrów. Do południowego wybrzeża 500 kilometrów. Do granic z Irakiem czy z Afganistanem po 600 kilometrów. Dystans i separacja. Alienacja.

Co ciekawe, właśnie w takim, zdawałoby się zupełnie odludnym i oddalonym od cywilizowanego świata, miejscu powstało miasto, które jest dziś uznawane za jedno z najstarszych na świecie. Podania mówią o nieprzerwanym zamieszkanii Yazd już od ponad 7000 lat. Fenomen ludzkiej myśli. I umiejętności przetrwania. Na samym środku pustyni. Z dala od mórz, z dala od rzek. W centrum niczego. W pustce.

Patrząc na wymyślone tu rozwiązania inżynierskie, na patenty z wydobywaniem wody, chłodzeniem domów, można jedynie zastanawiać się, do jakiego stopnia ekstremum człowiek byłby w stanie dojść, by nadal w nim przetrwać. Przykład Yazd pokazuje, że póki co nadal wynik oscyluje w okolicach limes dążącego do nieskończoności. I może lepiej nie sprawdzamy już, gdzie to limes dokładnie się znajduje. ■

Olga Doleśniak-Harczuk



Wirus wywrócił stół

25 kwietnia w Berlinie miał się odbyć nadzwyczajny zjazd CDU, podczas którego delegaci mieli wyłonić nowego przewodniczącego partii. Takiego, który zastąpiłby na tym stanowisku umęczoną Annegret Kramp-Karrenbauer. Z powodu sytuacji pandemicznej chadecy zjazd odwołali i wiele wskazuje na to, że na nowego lidera przyjdzie im poczekać do grudnia. Na nowego kandydata na kanclerza również. Do czasu wyborów panowie chyba wydrapią sobie oczy. Angela Merkel zaś swoim zwyczajem przeczeka, a niewykluczone, że jeszcze raz zawalczy o przywództwo.

Wszranki mieli stanąć premier Nadrenii Północnej-Westfalii Armin Laschert, wieczny następca tronu Friedrich Merz i były minister środowiska Norbert Röttgen. Kryzys pomeszał wszystkim szyki. Merz wyładował na kwarantannie. Röttgen nie wytrzymał konkurencji z kolejnymi depeszami o spustoszeniu koronawirusem a Laschertowi jak spod ziemi wyrósł poważny wróg – sam premier Bawarii Markus Söder. W miarę luzowania obostrzeń nałożonych na fali walki z pandemią, kandydaci zaczęli dzielić się dodatkowo na zwolenników i przeciwników jak najszybszego odmrażania gospodarki. Armin Laschert jako zdecydowany propagator luzowania ograniczeń wyszedł przed szereg,

irytując swoim pośpiechem prawdopodobnie samą kanclerz. Jego determinacja jest tak silna, że Niemcy internauci zaczęli masowo produkować memy o tym, „co Armin zrobi lepiej od innych i czego żąda”. Kiedy Markus Söder odwołał tegoroczny Oktoberfest, na fałszywym koncie Lascherta w mediach społecznościowych pojawił się komunikat, że... tegoroczny Oktoberfest przenosi się do Nadrenii Północnej-Westfalii. Później do dyskusji odmrożeniowej włączyli się stojący przez ostatnie dwa miesiące nieco z boku Merz i Röttgen, obaj sprytnie podgryzają niecierpliwego Lascherta, stając po stronie wyważonej i ostrożnej Merkel. Tak buduje się sojusze w dobie pandemii. Ciekawe ile przetrwają. O to, jak rozłożą się w najbliższym czasie ak-

centy w nadwątlonej kryzysem niemieckiej polityce i czy ostateczna gra o berliński tron rozegra się między Arminem Laschertem i Markusem Söderem, zapytałam trzech ekspertów. Każdy z nich ma nieco inną prognozę.

► **Alexander Kissler**, pisarz, publicysta, szef działu Kultura magazynu „Cicero”: Podwójna przewaga może się okazać podwójnym balastem

Kryzys koronawirusa nałożył się na walkę o przewodnictwo w CDU. Do czasu pandemii Armin Laschert miał najlepsze karty, ponieważ w przeciwieństwie do innych kandydatów – Friedricha Merza i Norberta Röttgena – zajmuje jako premier kraju związkowego Nadrenia Północna-Westfalia ważne polityczne stanowisko. Laschert miał również tę przewagę, że po jego stronie jest minister zdrowia, Jens Spahn, obecnie jeden z najbardziej prominentnych członków rządu federalnego. Podwójna przewaga może się jednak okazać podwójnym balastem. Spahn będzie coraz bardziej narażony na krytykę za zarządzanie koronakryzysem, a Laschert będzie musiał stawić czoła zarzutom, że zbyt długo nie traktował z właściwą uwagą zagrożenia, jakie stanowi koronawirus. W Nadrenii Północnej-Westfalii było na początku epidemii najwięcej zakażonych, a Laschert jeszcze pod koniec lutego zapewniał, że sytuacja jest „pod kontrolą”. Laschert został przyparty więc do ściany. A po drugiej stronie jest premier Bawarii, Markus Söder, który oficjalnie nie jest kandydatem na przyszłego kanclerza Niemiec z ramienia CDU/CSU, ale to on prezentuje się jako zdecydowany macher, który zrobi wszystko dla dobra Bawarii, i to bez żadnego oglądania się i naradzania z premierami pozostałych landów. Laschert wypada więc w zestawieniu z Söderem zdecydowania gorzej, a ponieważ doskonale to wyczuwa, próbuje odwrócić od siebie uwagę, krytykując poczynania Bawarczyka. Ten z kolei nie pozostawia żadnych wątpliwości co do tego, że uważa Lascherta za ciamajdę. I tak prawdopodobnie będziemy świadkami, jak nadzieje Lascherta na przewodnictwo w CDU, a później i kanclerstwo obracają się w pył.

► **Marco Gallina**, pisarz, publicysta tygodnika katolickiego „Die Tagespost”: Wiele Niemców z zazdrością spogląda w kierunku Bawarii

Laschert pokazał, że nie jest nawet w stanie właściwie założyć maseczki ochronnej. Poza tym należy do obozu politycznego, który twierdził, że Niemcy są dobrze przygotowani na kryzys koronawirusa. Ponieważ jest sojusznikiem ministra zdrowia, sprawa wygląda tak, że albo obaj zwyciężą, albo obaj polegą. Söder jako premier Bawarii postawił mocniejsze akcenty, zareagował na zagrożenie wcześniej od innych, jako pierwszy ogłosił też na swoim terenie stan klęski żywiołowej. I jeszcze do tego Söder znakomicie radzi sobie medialnie. Wiele ludzi z zazdrością spogląda w stronę Bawarii, która wyszła na prowadzenie wszystkich krajów związkowych.

► **Profesor David Engels**, historyk, publicysta, ekspert Instytutu Zachodniego: Merkel może zostać na jeszcze jedną kadencję

Wielkie kryzysy mają generalnie tendencję, by nawet najbardziej palące kwestie natury strukturalnej odsuwać w cień, a słup światła kierować na walkę z bieżącymi przeciwnościami. Każdy rząd, który jako tako wzbudzi poczucie, że jest kompetentny w tym, co robi, i wykaże się aktywnością, przynajmniej przez pewien czas zyska na sile. To wiąże się z kolei z osiągnięciem pewnego spokoju w społeczeństwie, który jest zabójczy dla każdej opozycji. W przypadku Niemiec dochodzą pewne specyficzne elementy, ogromna potrzeba poczucia harmonii odczuwana przez Niemcy może zakończyć się tym, że ostatecznie zasługi za zwalczanie koronawirusa pójdą na konto nie Lascherta czy Södera, a Angeli Merkel, którą uważam za zdolną do podjęcia wyzwania jeszcze jednej kadencji w Kanzleramcie. Prawdziwa polityczna walka rozpęta się jednak na poważnie dopiero wtedy, kiedy trzeba będzie uporać się z gospodarczymi skutkami pandemii, ale i z kwestią, na ile można poluzować wprowadzone obostrzenia, co jak to zazwyczaj w polityce bywa – może się stać również argumentem w dalszej walce z politycznym wrogiem. Tym wrogiem jest jednak aktualnie Alternatywa dla Niemiec, która na dziś stanowi jedyną opozycję spoza ogólnego politycznie poprawnego konsensusu i jeżeli partia ta umiejętnie by wykorzystała sytuację, co jest raczej mimo wszystko mało prawdopodobne, to mogłaby się teoretycznie wybić na obronę wartości obywatelskich. Jako partia stojąca naprzeciw tych, których opanowała pokusa zabawy w socjalistyczną transformację. Pytanie, czy będą w stanie opracować koncepcję, która w równym stopniu mogłaby dogodzić zarówno poturbowanej kryzysem klasie średniej, jak i tym, którzy chcą utrzymania jako tako wolnego systemu rynkowego.

► **Na koniec**

Wizja Angeli Merkel, która dożyłotnio rozstrzyga spory swoich podopiecznych, niczym potwornie już tym wszystkim zmęczona, lecz w gruncie rzeczy dobroliwa przedszkolanka, ma potencjał. I jest z drugiej strony w tych umizgach męskiej części niemieckiej sceny politycznej do Merkel coś kabaretowego, ale i wcale mówiącego o kondycji całego społeczeństwa. Kobieta, która obaliła Kohla, przeprowadziła zieloną transformację, otworzyła niemieckie granice dla imigrantów, a teraz z niewzruszoną miną walczy z pandemią, wciąż dla większości Niemców jest głównym gwarantem, że wszystko będzie dobrze. I nawet nie można jej specjalnie zaszufładować. Bo niby co na tej szufładce napisać? Post-Adenauer w spódnicę! ■

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

► Hongkong

18 kwietnia policja w Hongkongu aresztowała 15 najbardziej znanych działaczy prodemokratycznych. Wśród nich znalazł się 81-letni założyciel Partii Demokratycznej, Martin Lee, zwany ojcem demokracji Hongkongu, 72-letnia publicystka i prawniczka Margaret Ng oraz Jimmy Lai, wydawca i założyciel dziennika „Apple Daily”, który znany jest z krytyki władz w Hongkongu i Pekinie.

Większość zatrzymanych wypuszczono tego samego dnia za kaucją i wezwano do stawienia się do sądu 18 maja. Zatrzymanym mają być postawione zarzuty organizowania masowych protestów i udziału w nich – demonstracje wstrząsnęły azjatyckim centrum finansowym w zeszłym roku, a władza uznała za nielegalne.

Powszechnie uważa się, iż aresztowania w Hongkongu to próba ze strony Pekinu uciszenia demokratów przed wrześniowymi wyborami do miejscowego parlamentu, które opozycja może wygrać.

Zatrzymania zostały skrytykowane m.in. przez Wielką Brytanię i USA. „Pekin i jego przedstawiciele w Hongkongu nie przestają podejmować działań sprzecznych ze wspólną deklaracją brytyjsko-chińską, która zapewniała Hongkongowi przejrzystość, rządy prawa, i gwarantowała, że będzie on nadal korzystać z rozległego zakresu autonomii” – stwierdził sekretarz stanu USA Mike Pompeo. A Martin Lee w artykule opublikowanym na łamach „The Washington Post” tak opisał obecną sytuację w Hongkongu: „Mieszkańcy Hongkongu stoją teraz w obliczu dwóch plag z Chin: koronawirusa i ataków na najbardziej podstawowe prawa człowieka. Wszyscy mamy nadzieję, że wkrótce zostanie opracowana szczepionka przeciwko koronawirusowi. Ale kiedy prawa człowieka i praworządność Hongkongu zostaną zabrane, to pozostanie śmiertelny wirus rządów autorytarnych”.

Od 1997 roku Hongkong jest specjalnym regionem administracyjnym Chińskiej Republiki Ludo-

wej. Jego mieszkańcy coraz częściej okazują na ulicach swoje niezadowolenie z rządów komunistów, które przyniosły korupcję na najwyższych szczeblach władzy, powiększające się koszty utrzymania, rosnącą (a niechcianą) emigrację i ograniczenia swobód obywatelskich.

W czerwcu 2019 roku w Hongkongu rozpoczęły się protesty przeciwko ustawie dotyczącej ekstradycji do Chin. Ostatecznie rząd Hongkongu wycofał się z projektu, ale protesty trwały nadal, do momentu wybuchu epidemii COVID-19, bo demonstrujący domagali się m.in. dymisji Carrie Lam, szefowej administracji w Hongkongu, i możliwości wybrania nowego szefa w wolnych wyborach.

► Instytut Konfucjusza

Szwecja zamknęła ostatni w tym kraju Instytut Konfucjusza (IK). Jest to pierwszy kraj w Europie, który całkowicie zrezygnował ze współpracy z chińską instytucją, będącą częścią tzw. miękkiej siły Komunistycznej Partii Chin. Eksperci uważają, że zamknięcie IK to znak, iż niedługo przyjazne relacje między Szwecją a Chinami mocno oziębły.

Do 2015 roku współpraca pomiędzy oboma krajami układała się pomyślnie. Chiny założyły swój pierwszy europejski Instytut Konfucjusza na Uniwersytecie Sztokholmskim w 2005 roku, a Volvo, duma szwedzkiego przemysłu samochodowego, przeszło w ręce chińskie w 2010 roku. Jednak sytuacja uległa zmianie po aresztowaniu Gui Minhai, obywatela Szwecji, który wydawał w Hongkongu skandalizujące książki o życiu chińskich przywódców. Gui został porwany przez chińską bezpiekę podczas pobytu w Tajlandii w 2015 roku, a w lutym 2020 roku został skazany przez sąd w Ningbo na 10 lat więzienia za „nielegalne dostarczanie informacji wywiadowczych za granicę”.

W wypowiedzi dla brytyjskiego dziennika „The Times” Björn Jerden, szef programu dotyczącego Azji w szwedzkim Instytucie Spraw Międzynarodowych w Sztokholmie, powiedział, że zamknięcie działalności IK w Szwecji to wyraźna oznaka zmian stosunku jego kraju do Chin. „Nastawienie opinii publicznej wobec Chin stało się znacznie bardziej negatywne w Szwecji. Jest to dość znaczące, ponieważ Szwecja była jednym z najbardziej aktywnych krajów w Europie pod względem liczby tych umów [tj. dotyczących otwierania IK w Szwecji – przyp. aut.]” – stwierdził Jerden.

Po masakrze na placu Niebiańskiego Spokoju w 1989 roku komunistyczne władze Chin Ludowych robiły wszystko, aby ocieplić swój wizerunek za granicą. Jeden z chińskich think tanków zasugerował wówczas prezydentowi Hu Jintao, aby władze położyły nacisk na chińską kulturę. Tak narodził się pomysł stworzenia Instytutów Konfucjusza zarządzanych przez Chińskie Biuro Międzynarodowej Promocji Języka Chińskiego (Hanban), które znajduje się pod ścisłą kontrolą władz. Często porównuje się Instytut Konfucjusza do Instytutu Francuskiego, British Council czy niemieckiego Instytutu Goethego, których działalność sponsorują rządy krajów reprezentowanych przez te instytucje. Państwa te płacą za wynajem biur w budynkach komercyjnych. Instytut Konfucjusza działa inaczej. Zakłada swoje siedziby na czołowych uniwersytetach zagranicznych, przez co staje się częścią instytucji naukowej danego kraju. Jak uważa była australijska dyplomatką, a obecnie wykładowczyni na Wydziale Studiów nad Chinami na Uniwersytecie Sydney, prof. Jocelyn Chey, właśnie taki układ pozwala władzom chińskim mieć bezpośredni wpływ na program danej uczelni i kierunek rozwoju studiów nad Chinami.

Jeden z najwybitniejszych żyjących intelektualistów chińskich prof. Yuan Hongbing, który wykłada prawo na uczelniach w Chinach i przyjaźni się z obecnym prezydentem Chin Xi Jinpingiem, a także premierem Li Keqiangiem, mówi otwarcie: „Instytuty Konfucjusza to Konfucjusz przybrany w szaty marksizmu”.

Coraz więcej uczelni na świecie wycofuje się ze współpracy z Instytutem Konfucjusza. W 2013 roku kanadyjski McMaster University ogłosił, że zamyka funkcjonujący na uczelni chiński Instytut Konfucjusza ze względu na sposób, w jaki strona chińska rekrutuje mających pracować w nim nauczycieli. Uczelnia otrzymała informacje od samych wykładowców, że zanim otrzymają oni pracę w Instytucie i zgodę na wyjazd z Chin za granicę, muszą zobowiązać się na przykład do dostarczania informacji na temat innych nauczycieli czy studentów, a także podpisać dokument stwierdzający, że nie przylączą się do prześladowanego w Chinach ruchu propagującego tradycyjną chińską dyscyplinę doskonalenia za pomocą ćwiczeń i medytacji, czyli Falun Gong.

► Korea Południowa

15 kwietnia w Korei Południowej odbyły się wybory parlamentarne. Podczas głosowania wprowadzono zastrzeżone środki bezpieczeństwa, zadbano m.in. o to, by głosujący zachowali odpowiednią odległość od siebie, nosili maski, a przed wejściem do lokalu wyborczego mierzona im była temperatura.

Zwycięstwo odniosła Partia Demokratyczna prezydenta Moon Jae-ina, zdobywając łącznie z koalicjantem 180 miejsc w 300-osobowym Zgromadzeniu Narodowym. Główna partia opozycyjna, konserwatywna Zjednoczona Partia Przyszłości (UFP), ma 103 mandaty. Jeszcze w styczniu sondaże nie dawały zwycięstwa partii rządzącej. Prezydent Moon krytykowany był za złą politykę zagraniczną, nieradzenie sobie z problemami gospodarczymi, a media co chwila donosiły o kolejnych skandalach politycznych.

Jednak w związku ze skutecznymi środkami walki z koronawirusem rządzącym udało się odzyskać zaufanie wyborców.

Korea Płd. była dotknięta epidemią jako jeden z pierwszych krajów. W pewnym okresie plasowała się nawet na drugim miejscu po Chinach pod względem liczby zachorowań. Jednak dzięki masowym testom, których wykonano ponad 600 tys., i konsekwentnej izolacji osób zakażonych i tych, które kontaktowały się z nimi, epidemię udało się wyraźnie ograniczyć.

Walka z koronawirusem była głównym punktem kampanii wyborczej Partii Demokratycznej i doprowadziła do tego, że formacja prezydenta Moona zdobyła przeważającą większość w parlamencie – największą od czasów pierwszych demokratycznych wyborów w 1987 roku.

Po raz pierwszy też do parlamentu Korei Płd. wybrany został zbieg z Korei Północnej. Thae Jong Ho, były północnokoreański dyplomata, który w 2016 roku wraz z rodziną uciekł z ambasady w Londynie, zdobył mandat w Gangnam, dzielnicy Seulu zamieszkałej przez bogaczy i celebrytów. Kandydował z ramienia opozycyjnej partii konserwatywnej. Thae Jong Ho jest dziś zażartym krytykiem reżimu Kima i tego, co określa jako zbyt „chłodną” reakcję świata na prowokacje Pjongjangu. Korea Północna nie pozostaje dłużna wobec Thae i nazywa go „ludzką szumowiną”. Nowy południowokoreański parlamentarzysta jest pod całkowitą ochroną w razie próby zabójstwa ze strony północnokoreańskich agentów. Thae stwierdził, że postanowił ubiegać się o mandat do parlamentu, aby pomóc Korei Południowej zrozumieć prawdziwą naturę Korei Północnej i opracować lepszą politykę zjednoczenia. Powiedział, że jego zwycięstwo da również nadzieję mieszkańcom Północy, którzy cierpią z powodu reżimu Kim Dzong Una. ■

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński



Niczego dobrego z tego nie będzie

Póki co wszyscy są zajęci koronawirusem. Putin może więc planować nową wojnę – mówi Jurij Felsztinski, doktor historii, autor wielu opracowań z historii Rosji, współautor z Aleksandrem Litwinienką książki „FSB wysadza Rosję” o roli FSB w zamachach terrorystycznych w Moskwie i Wołgodońsku w 1999 roku. Obecnie mieszka w USA. Wywiad z nim ukazał się 31 marca 2020 roku na rosyjskim niezależnym portalu Kasparov.ru.

► **Specoperacja z przyjęciem poprawek do konstytucji płynnie przeszła w specoperację walki z koronawirusem. Obywatele nie zawsze rozumieją motywy decyzji podejmowanych przez władze. Co Pańskim zdaniem obecnie dzieje się w Rosji?**

Nic dobrego. I nic dobrego tam nie będzie. Proszę mnie źle nie zrozumieć. To ogromny kraj, w którym żyje 146 mln ludzi. Każdy z nich ma swoje życie, wielu jest szczęśliwych, tak jak szczęśliwi byli ludzie – oczywiście nie wszyscy – w Związku Sowieckim. W Rosji już dawno wszystko się wydarzyło. Dawno – to znaczy 20 lat temu, w 2000 roku. Nieduża grupa ludzi przejęła i uzurpowała władzę w kraju i do dziś ją dzierży, podporządkowując swoim interesom życie pozostałej ludności. Jedni uważają tych uzurpatorów za złodziei, drudzy – za bandycką mafię, inni – za zbirów ze służb. Jeszcze inni widzą w nowej władzy elementy pierwszego, drugiego i trzeciego. Nie wiadomo więc, jak nazwać tę władzę. Kiedy żyłem w ZSRS i byłem studentem, miałem 17–20 lat, większość moich kolegów z roku, nawet ci najmądrzejsi, nie interesowała się życiem kraju. Myśleli wyłącznie o sobie. To uważało się za normę. Co więcej, interesowanie się życiem kraju było niebezpieczne, dlatego że do głowy zaczynały przychodzić pytania, na które szukanie odpowiedzi było ryzykowne. Zacząłem je sobie zadawać i w efekcie w styczniu 1978 roku w wieku 21 lat wyjechałem z kraju, rozumiejąc, że inaczej mnie posadzą. Wydaje mi się, że dziś w Rosji jest podobna sytuacja. W wielu wymiarach życie lepsza niż była w ZSRS. Dziś jest gospodarka rynkowa, są otwarte granice. Wielu żyje dostatnio, a nawet bogato. Stopniowo, przez 20 lat, wszyscy przywykli do tego, że w ogóle nie ma wolności, w tym wolności słowa, prasy, wyborów... I do tego, że telewizję kontrolują Kreml i Łubianka. Wszyscy żyją bez tego. Wielu z łatwością się pogodziło. Ktoś, komu z tym bardzo źle, wychodzi protestować na ulicę. Zatrzymują demonstrantów, biją ich, potem wypuszczają. Oni znów wychodzą. I znów ich wsadzają... Bardzo szanuję tych ludzi – którzy wychodzą na ulice, wiedząc, że mogą być pobici lub aresztowani. Ale ten ruch protestu moim zdaniem do niczego nie prowadzi, dlatego że dla ludzi, którzy obsadzili Kreml i Łubiankę, jest absolutnie wszystko jedno, ile народу wychodzi protestować – choćby był to cały kraj. Na ich styl życia nie ma to żadnego wpływu. Ot, zmienili konstytucję, ktoś wrzucił ja-

kieś poprawki o Bogu, na co wszyscy zwrócili uwagę. A najważniejsza była jedna poprawka: o bezterminowej prezydenturze Putina. Zgodnie z nową konstytucją Rosja formalnie stała się dyktaturą z dożywotnim prezydentem na czele. Ale że nikt z tym niczego zrobić nie może, dyskutować o tym nie ma sensu. Wszyscy tylko zachichotali, ponieważ dla każdej bezstronnej, racjonalnie myślącej osoby jasne jest, że nikt nie walczy o przywództwo w Rosji z Putinem, że Putin nigdy nie odda władzy. A jak dokładnie zostanie to oprowiane i nazwane – oczywiście nie ma to znaczenia. [...] Przy braku presji ze strony światowej społeczności rosyjska władza zachowuje się gorzej niż ta sowiecka. Putin ma całkowicie wolną rękę. I to jest to, do czego długo i uparcie dążył od pierwszego dnia pełnienia obowiązków prezydenta, od 31 grudnia 1999 roku.

► **Nie trzeba czytać poprawek, aby zrozumieć, że w Rosji w najbliższej przyszłości nastąpi transformacja istniejącego modelu rządów. Jak Pan myśli, jak mogą podzielić się wpływy? W jakim stopniu Władimir Putin jest zależny od siłowników i na ile siłownikom i korporacjom państwowym potrzebny jest Putin? Czy będzie on w stanie utrzymać swoją pozycję na szczycie władzy?**

W Rosji już dawno doszło do transformacji i władzy, i „modelu zarządzania”, i podziału sił... Tak więc to wszystko, co pańskie pytanie odnosi do przyszłości, ja uważam za dokonaną już przeszłość. Na pewno dziś Putin czuje się dużo pewniej niż w 2000 roku, jako że minęły lata, ludzie do niego przywykli i postrzegają go jako integralną część „krajobrazu”. Był Stalin – długo. Był Breżniew – długo. Teraz jest Putin – też długo. Jaka może być w obecnej Rosji transformacja modelu zarządzania? Umrze Putin – będzie transformacja. Umarł Stalin. Umarł Breżniew. Umrze i Putin. Tylko nikt nie wie kiedy. A jaki jest dziś w Rosji model rządów? Bardzo prosty. KGB-FSB (bezpieczeństwo państwowe) sfalszowały talie i w efekcie wszystkich ograły, robiąc z dyrektora FSB prezydenta. Przejęły tylko jedno stanowisko, ale najważniejsze. Szuler z uczciwymi oczami (dlatego jest szulerem) ograł zmieszanego przeciwnika (nazwiemy go dla prostoty rosyjskim wyborcą), zabrał wygraną (Rosja) i zakończył grę. Wszystkie kolejne partie szuler grał na swoich zasadach, wcześniej o nich nie informując, a dopiero po zakończeniu kolejnego rozdania mówi: a teraz prezydentem będzie mój

podwładny Miedwiediew; lub: a teraz prezydentem będę znowu ja, ale nie na osiem lat, lecz na 12. Po tych nowych dwunastu już zaczęliśmy się zastanawiać, co teraz szuler znów wymyśli (w końcu trzeba mieć sumienie i przynajmniej przestrzegać przyzwoitości!). Okazało się, że szuler nie ma sumienia i przyzwoitości. Po prostu poinformował ludność, że po 2024 roku postanowił pozostać prezydentem jeszcze na kolejne dwadzieścia lat. Wyjaśnijcie mi teraz, po co miałby zmienić tak wygodny „model zarządzania”, w którym on zawsze wygrywa? I dlaczego ma redystrybuować dostępne siły, skoro wszyscy sami mu wszystko przynoszą, a kiedy nie przynoszą, zabiera to siłą, skoro ma jej mnóstwo? W Rosji nikt więcej nie ma siły. Tylko Kreml i Łubianka. Władzę w Rosji trzyma bezpieczeństwa, jest jak korporacja. To struktura – która przeżyła upadek ZSRS i jest jedyną ocalałą sowiecką organizacją – z której nikt nie odchodzi, tylko do grobu. Nawet nie na emeryturę, a do „czynnej rezerwy”. Każdy uczestnik tej struktury wie, że powinien być jej oddany do końca. Nie oznacza to jednak, że nie może w osobistych interesach kraść, zabijać, kłamać, być bogatym lub superbogatym... To wszystko jest dopuszczalne. Ale przy jednym warunku: jesteś częścią wszechpotężnej struktury pod nazwą FSB (dziś akurat tak się nazywa), śrubką w ogromnej maszynie. I ponad tą strukturą czegoś jeszcze mocniejszego nie ma. Putin nie musi „zależeć od siłowników”. On sam jest siłownikiem. On nie musi „opierać się na siłownikach”. On jest ich nieodłączną częścią. Prawą ręką jednego ciała (lub lewą). Lub nawet głową. Od 2000 roku nie ma w Rosji żadnych oligarchów. Są agenci Kremla (Putina) i Łubianki. Państwowych korporacji też nie ma. Są biznesy, w tym bardzo duże, przejęte przez FSB, infiltrowane przez FSB i kontrolowane przez FSB poprzez wprowadzonych do nich oficerów FSB, oficerów czynnej rezerwy FSB i agentów FSB. No ale nie będziemy przesadzać z monopolem FSB na władanie Rosją. Coś tam należy do Ministerstwa Obrony (także infiltrowanego przez FSB) i GRU (samodzielnej struktury). Czy Putinowi uda się zachować taki stan rzeczy? A jak mógłby go nie utrzymać, skoro nie ma żadnego sprzeciwu? Jak można stracić tę władzę, jeśli Rosja to jedyny kraj, w którym partie polityczne wchodzące do parlamentu i także infiltrowane przez FSB, nie angażują się w polityczną walkę o władzę? W Rosji powstał system, w którym Kreml i Łubianka stoją ponad politycznymi partiami i nad państwem. Dokładniej zaś Kreml i Łu-

bianka są personifikacją rosyjskiego państwa i władzy państwowej. Uwierzcie, nie przesadzam. Wskażcie dowolnego politycznego lidera w obecnej Dumie, a z dużym prawdopodobieństwem będę mógł powiedzieć, kiedy i przez jaki wydział FSB został on zwerbowany. Żyrinowski – projekt KGB. Rogozin – projekt KGB. Podbie-
rziekin – projekt KGB... Itd. itd. itd.

► **Koronawirus i zawirowania gospodarcze uderzyły w wizerunek władzy. Czy to możliwe, by podporządkowanie ludności rządzącym przestało być bezwarunkowe? Jakie grupy mogą wystąpić przeciwko władzy i prezydentowi? Czy reżim w odpowiedzi zacznie dokręcać śrubę, a może nawet zamykać kraj?**

Koronawirus... Wyobraźmy sobie, kiedy Putin został właśnie ogłoszony prezydentem na całe życie, kiedy globaliści są pokonani na całym świecie, a nacjonaliści przejmują władzę... Kiedy Trump wyszedł cało ze śledztwa Muellera i po impeachmentie, kiedy Anglia porzuciła UE, a w wyborach do europarlamentu prawica uzyskała niezły wynik, kiedy w Czechach i na Węgrzech agenci Putina już stoją na czele swych państw... Na tym absolutnie korzystnym dla Putina tle taki nieoczekiwany prezent od losu, bonus: globalna pandemia, koronawirus! Ale czy tylko jednemu Putinowi pomógł koronawirus? Trump przez cztery lata walczył z uchodźcami, wymyślał, jak zamknąć granicę z Meksykiem, wyrzucał pieniądze na mur. Koronawirus przyszedł i zamknął granicę w 24 godziny, nikt nawet nie pisał. Trump żądał, żeby przestali wpuszczać nowych imigrantów do Stanów Zjednoczonych: zatrzymali imigrację z powodu koronawirusa. Według Trumpa Unia Europejska i Kanada przez te wszystkie lata były jego głównymi rywalami w walce o „Amerykę przede wszystkim”. Z powodu pandemii zatrzymali komunikację lotniczą z Europą i zamknęli granicę z Kanadą. Podczas zamieszania w Ameryce nikt nawet nie zwrócił uwagi na fakt, że Trump nie przerwał komunikacji powietrznej z Rosją. Została zamknięta tylko z UE. Wsparcie dla Trumpa po raz pierwszy podczas całej jego prezydentury przekroczyło 50 proc. Wciąż nie wyobrażaliśmy sobie, czym według Trumpa jest „izolacjonizm”. I właśnie go mamy. Każdy dla siebie. „Najpierw Ameryka”. Tymczasem w Europie żaden Hitler nie byłby dziś w stanie zamknąć granic między krajami UE. Koronawirus zrobił to w ciągu kilku dni. Żadna rosyjska inwa-

zja nie mogłaby zatrzymać życia, zniszczyć gospodarki, załamać rynków – koronawirus tak. Jaki wrzask by się podniósł wśród rosyjskich posiadaczy zagranicznych paszportów, drugiego obywatelstwa, osób z zezwoleniem na pobyt czy właścicieli nieruchomości za granicą, gdyby Putin zamknął Rosję. Teraz zrobił to z powodu koronawirusa i wszyscy są zadowoleni. Poprawił się „wizerunek” władzy [...]; Nie ma już grup protestujących (to jest odpowiedź na pytanie), ponieważ nie można się gromadzić z powodu wirusa. Co jeszcze trzeba ograniczyć, jeśli wszyst-

niez najbardziej nieudane operacje są tak naprawdę bardzo udane. Strategiczne cele Putina to utrzymanie władzy w interesie korporacji „Łubianka” (już to załatwił) i zajmowanie terytoriów. Nie ma innych zadań. Jest oczywiście zadanie zniszczenia Unii Europejskiej i NATO, ale należy to wziąć pod uwagę w kontekście planów zajęcia terytoriów i rozszerzenia stref wpływów Kremla (i to Kremla, a nie Rosji). Związek Sowiecki nie włączał w swój skład krajów Układu Warszawskiego ani Kuby. Ale w strefę wpływów sowieckich wchodziły. Ideał Putina: Piąta Międzynarodówka (z Putinem na cze-

KORUPCJA OPARTA NA ROSYJSKICH PIENIĄDZACH STAŁA SIĘ JEDNĄ Z FORM HYBRYDOWEJ WOJNY KREMLA PRZECIWKO CYWILIZOWANEJ LUDZKOŚCI, NIE MNIEJ NIEBEZPIECZNĄ NIŻ SZANTAŻ NUKLEARNY.

ko jest już przykręcone do granic możliwości, a kraj (podobnie jak reszta świata) jest zamknięty? Zobaczymy także, jak, gdzie i jak szybko wszystkie te zamknięte drzwi otworzą się po zakończeniu pandemii. Myślę, że po wszystkim będziemy żyć w innym świecie. Ten świat, podobnie jak po 11 września 2001 roku, będzie gorszy niż ten, który opuścił nas na zawsze. Po prostu jeszcze o tym nie wiemy.

► **Polityka zagraniczna reżimu to seria coraz mniej udanych operacji specjalnych przeciwko krajom zachodnim. Czy „wyzerowany” prezydent może zdecydować się na podniesienie temperatury konfrontacji? Dlaczego kraje Europy i USA nie spieszą się z udzieleniem twardej odpowiedzi Władimirowi Putinowi, wszak doświadczenie Saudyjczyków i Turków pokazuje, że jest to i skuteczne, i bezpieczne. Reakcja przywódców zachodnich wydaje się nieuzasadniona łagodna.**

Putin ma tylko jeden cel: terytorialne zdobycze. W tym sensie nie różni się ani od Stalina, ani od Hitlera – mierzy sukces przycinaniem ziemi. Dlatego nie uważałbym, że jego aktywne działania przeciwko Zachodowi były nieskuteczne. Niektóre bardzo udane (Krym, Abchazja, Osetia Południowa), niektóre mniej udane (Donbas, seria zabójstw i otruc, nie zawsze gładkie wsparcie sił prawicowych w Europie i USA). Ale ponieważ popełnione przestępstwa nie są karane, można uznać, że rów-

le), która obejmuje wszystkie państwa europejskie, a ich prezydentami i premierami są agenci Putina, na przykład Zeman w Czechach, Orbán na Węgrzech, Salvini we Włoszech, Schroeder w Niemczech i tak dalej. O jakiej reakcji przywódców zachodnich można mówić, jeśli Rosji pozwolono się przekupić w sposób banalny i skupować przywódców politycznych i gospodarczych Europy? Niektórzy zasiadają w rządach „międzynarodowych” korporacji za rosyjskie pieniądze, inni przyjmują rosyjskie pieniądze jako darowizny na swą działalność polityczną lub społeczną... Korupcja oparta na rosyjskich pieniądzach stała się jedną z form hybrydowej wojny Kremla przeciwko cywilizowanej ludzkości, nie mniej niebezpieczną niż szantaż nuklearny. Nikt nie chce się kłócić z Putinem, wszyscy pragną się z nim przyjaźnić. Ma ropę naftową, gaz, broń nuklearną i wielomilionową populację, które gotów jest poświęcić (dla dożywotniego prezydenta nie ma potrzeby martwić się o kolejne wybory, a i ludzie w poważnym odsetku nie zwracają szczególnej uwagi na śmierć w interesie państwa).

► **Wydaje się, że gospodarczo Rosja zaczyna coraz bardziej tracić na rzecz innych krajów na arenie międzynarodowej. Czym to zagraża krajowi i reżimowi?**

Niczym nie grozi. Związek Sowiecki, a następnie Rosja, zawsze ekonomicznie przegrywały z Zachodem, ponieważ zależały tylko od po-

pytu na ropę i gaz. W czasach Jelcyna ceny ropy nie wzrosły powyżej 12 dolarów za baryłkę, jeśli się nie myłę. Po dojściu do władzy Putina ceny zaczęły rosnąć. Nie było w tym zasługi Putina. Tylko szczęście. Za każdym razem, gdy ceny dochodziły do 100 dolarów za baryłkę, a Rosja prosperowała, Kreml rozpoczynał wojny. W 2008 roku przeciwko Gruzji, w 2014 roku przeciwko Ukrainie. Ropa była wówczas warta ponad 100 dolarów za baryłkę. Teraz ceny spadły, ponieważ Arabia Saudyjska postanowiła tym sposobem zaatakować strategicznego przeciwnika – Iran. Wydaje się, że można się zrelaksować, ponieważ Rosja nie ma petrodolarów na kolejną wojnę. Ale jest jedna kluczowa okoliczność: 2020 jest ostatnim rokiem Trumpa w Białym Domu (jeśli nie zostanie wybrany ponownie). Nowy prezydent, prawdopodobnie Biden, nie będzie poplecznikiem Putina, jakim był Trump, i nie bę-

nie będzie, ponieważ tylko w paranoicznej głowie Putina żyje scenariusz, w którym cały świat marzy o skrzywdzeniu Rosji lub jej zrujnowaniu. Tymczasem cały świat marzy o tym, by Rosja stała się częścią cywilizacji europejskiej. Szkodzą Rosji i niszczą ją wyłącznie jej przywódcy ostatnich stu lat: Lenin, Stalin, całe kierownictwo radzieckie, a teraz Putin, od 2000 roku aż do jego śmierci.

► **Jak Pan w związku z tym ocenia stabilność reżimu? I czego możemy się spodziewać, jeśli upadnie? Jaki scenariusz jest możliwy?**

Reżim każdego imperium, w tym postsowieckiego zwanego Federacją Rosyjską, jest zawsze stabilny aż do upadku, który zawsze przychodzi nieoczekiwanie. Federacja Rosyjska rozpadnie się w następnej rundzie historii. Jeśli Putin rozpocznie wojnę euro-

PUTIN MA TYLKO JEDEN CEL: TERYTORIALNE ZDOBYCZE. W TYM SENSIE NIE RÓŻNI SIĘ ANI OD STALINA, ANI OD HITLERA – MIERZY SUKCES PRZYCINANIEM ZIEMI.

dzie służył interesom Kremla w Waszyngtonie, jak Trump. Jeśli planować kolejną inwazję, to albo teraz, gdy wszyscy są zajęci koronawirusem, albo przekładać wojnę do 2021 roku i później, w nadziei na drugą kadencję dla Trumpa. Oczywiście jest to ryzykowne dla Putina. Czas działa przeciwko niemu w tym sensie, że nie będzie żył wiecznie. W takim zółtym tempie nie dotrzesz do granicy z Białorusią do samej śmierci; o Ukrainie nawet nie wspominając.

► **Na ile Rosji grozi izolacja? Jest ona w ogóle możliwa?**

Postawiłbym pytanie inaczej. W izolacji mamy KRLD (z powodu dyktatorskiego reżimu w KRLD) lub – częściowo – Iran, z powodu rządowego obskurantyzmu w tym kraju. Ten rodzaj izolacji nie zagraża Rosji, ponieważ rządząca w niej junta chce być częścią cywilizacji zachodniej: podróżować za granicę, mieszkać w drogich hotelach, posiadać nieruchomości, edukować dzieci za granicą, nosić odpowiednie zegarki i prowadzić samochody zachodnie. Zanurzenie Rosji w izolacji, jak miało to miejsce w KRLD, nie jest dla nich korzystne. Ale – mając na myśli Zachód – Rosji w izolację wpędzać nikt

pejską, przybliży tę rundę i przyspieszy upadek Federacji Rosyjskiej. Jeśli ta wojna będzie się toczyła tak jak teraz – w formacie hybrydowym – może nie dojść do otwartej konfrontacji zbrojnej z Europą i NATO, ale Putin nie odniesie wymiernych zwycięstw. Może szkodzić Zachodowi długo i bezkarnie. Putin z powodzeniem to robi i nadal będzie to robił. Putin nie ma z tego żadnej korzyści – to przyjemność. Jeśli Federacja Rosyjska dobiegnie końca – w takiej formie, w jakiej na razie istnieje – będzie winien wyłącznie Kreml. Myślę, że w tej nowej rundzie historycznej – jeśli staniemy się jej świadkami lub uczestnikami – nie powinniśmy powtarzać błędów z 1991 roku i ograniczać się do rozbiórki pomnika Dzierżyńskiego. Myślę, że słusznie byłoby zakazać działalności i rozwiązać FSB i wszystkie jej spółki zależne oraz zburzyć budynek Łubianki jako symbol sowieckiej i obecnej rosyjskiej tyranii. Oczywiście podniosą się głosy, które będą twierdzić, że budynek jest solidny i lepiej nie usuwać go z powierzchni ziemi, a otworzyć tam muzeum pamięci ofiar despotyzmu. Myślę jednak, że w tym przypadku nie warto oszczędzać na rozbiórce. W końcu muzeum można otworzyć na Kremlu. Choć, jeśli wszystko będzie rozwijać się tak jak teraz, będziemy musieli zburzyć też Kreml i zakłócić spokój grobom pod kremlewskim murem. ■



Tomasz Sakiewicz

Nowy model

Zmiany gospodarcze wywołane pandemią koronawirusa ostatecznie, mimo ogromnych problemów, będą miały dla Polski i większości świata bardzo pozytywny charakter.

Premier Mateusz Morawiecki przy okazji debaty nad tarczą antykryzysową mówił o potrzebie nowego modelu gospodarczego. Oczywiście sama walka z postępującym kryzysem gospodarczym wymaga potężnych zmian w finansach publicznych. Ale rzecz ma szerszy charakter i warto zauważyć ten moment, bo to, co się dzieje, dla gospodarki i społeczeństw ma historyczne znaczenie. Oczywiście pierw-

uniknione, ale dzięki pandemii przeskoczyliśmy co najmniej o dekadę. Oczywiście trochę inaczej zaczęliśmy korzystać z mediów – przykład „Gazety Polskiej”, która miała czytelników przyzwyczajonych do kupowania w kioskach. Obecnie ponad 10 proc. przeszło na prenumeratę elektroniczną. Wbrew pozorom pandemia stworzyła ogromną szansę dla wszystkich gazet. Wystarczy mieć około 40 proc. sprzedaży elektronicznej

DZIĘKI EPIDEMII NIE SKRÓCI SIĘ, A WRĘCZ WYDŁUŻY CZAS ŻYCIA LUDZI, BO BACZNIEJ ZACZĘLIŚMY PRZYGLĄDAĆ SIĘ SWOJEMU ZDROWIU, HIGIENIE, ODŻYWIANIU ITD. TO RODZI OCZYWIŚCIE WYZWANIA PRZED OPIEKĄ SPOŁECZNĄ I SYSTEMAMI EMERYTALNYMI.

szą zmianą będzie upadek czy poważne problemy jednych gałęzi gospodarki i rozwój innych. Gołym okiem widać burzliwą ekspansję internetu, całego sektora e-commerce i oczywiście branży farmaceutycznej. To wszystko nie skończy się wraz z pandemią, wręcz przeciwnie – sukces tych branż zachęci inwestorów do przesuwania tam kapitału. Ważniejsza jednak jest zmiana zachowań ludzi. Nauczyliśmy się lepiej wykorzystywać internet, a wojna o sieci telekomunikacyjne będzie równie twarda jak kiedyś walka o nowe złoża surowców. Potężnego kopniaka otrzymał cały przemysł naftowy. Zapotrzebowanie na ropę w większości wróci, ale ten przemysł słusznie będzie zaliczany do ryzykownych branż. Znakiem czasu jest fuzja Orlenu, Lotosu i Energi. Wielkie koncerny będą dywersyfikowały produkcję źródeł energii w zależności od potrzeb i możliwości rynku.

Jeszcze ciekawsze będą zmiany w sposobie organizacji pracy. Wiele firm doskonale sobie poradziło na home office. To pokazuje, że inwestycje w kosztowne biura mają ograniczony sens. Pomijam konieczność dojazdu, co generowało i koszty, i stratę czasu. Zmiany mogą nie będą tu radykalne, ale jednak przyspieszą. Były nie-

w stosunku do papierowej, by utrzymać redakcję. Takich zmian będzie dużo więcej. Pewnie powstanie nowy rodzaj menedżerów zajmujących się zdalną organizacją pracy. Dzięki epidemii nie skróci się, a wręcz wydłuży czas życia ludzi, bo baczniej zaczęliśmy przyglądać się swojemu zdrowiu, higienie, odżywianiu itd. To rodzi oczywiście wyzwania przed opieką społeczną i systemami emerytalnymi. Ubocznym skutkiem epidemii może być jeszcze większy problem bezpłodności. To razem będzie powodować coraz szybsze starzenie się społeczeństw. Z drugiej strony pozrywane kontakty międzyludzkie przez fale migracji do dużych miast będą obecnie mniej dotkliwe, bo znacznie się powrótno w prowincję i jednocześnie wyrobiliśmy w sobie obyczaj kontaktów wideo, co jednak podtrzymuje więzy.

Zmiany gospodarcze ostatecznie, mimo ogromnych problemów, będą miały dla Polski i większości świata bardzo pozytywny charakter. Ucierpią państwa uzależnione od eksportu. Przede wszystkim Rosja, Chiny, kraje arabskie i w pewnym stopniu Niemcy. Reszta nadrobi straty i pójdzie do przodu. ■

niezależna

ŁĄCZYMY **HISTORIĘ**
Z NOWOCZESNOŚCIĄ

Najpopularniejszy konserwatywny portal w Polsce



niezalezna.pl

eprasa.pl 646064139c